



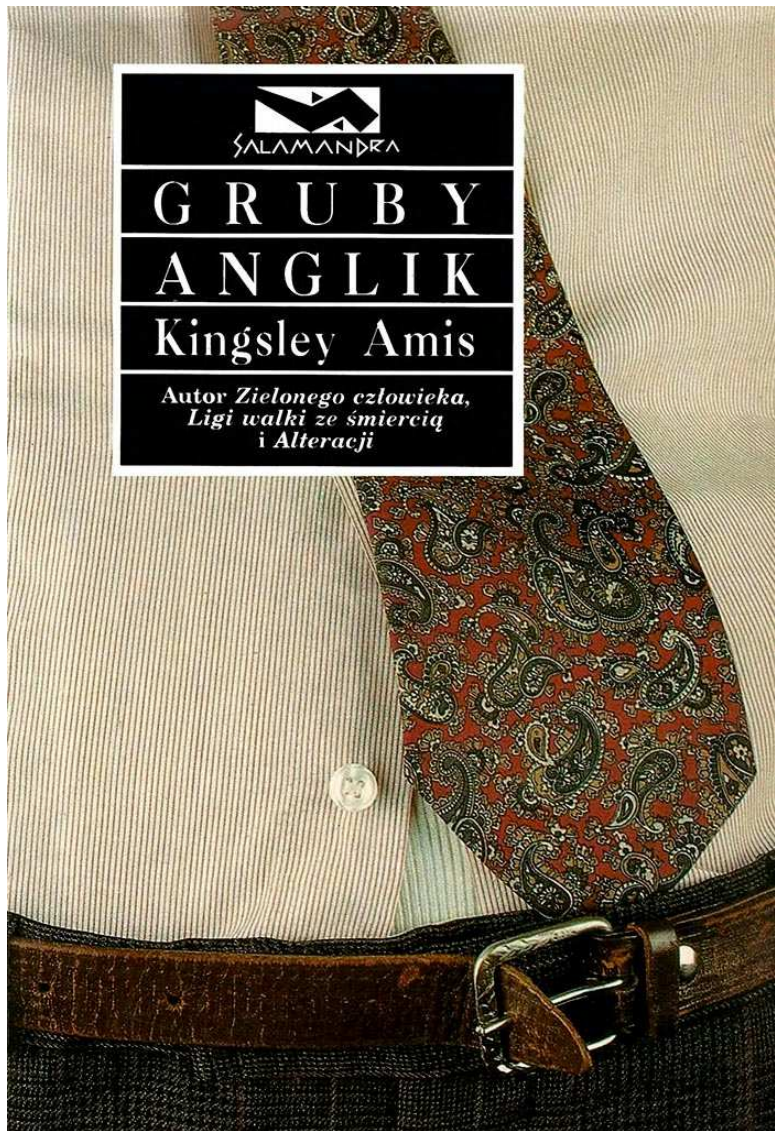
SALAMANDRA

GRUBY

ANGLIK

Kingsley Amis

*Autor Zielonego człowieka,
Ligi walki ze śmiercią
i Alteracji*



Kingsley Amis
G R U B Y
A N G L I K

Tłumaczenie Marta Strzałko



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ 1995

Dla Jane

1

– Jaki on jest?

– Całkiem miły, wydaje mi się. Wesoły. Chociaż bez poczucia humoru. Cholernie duński.

– Myślisz, że to właśnie dlatego nie ma poczucia humoru? Bo jest tak cholernie duński?

– Niekoniecznie, choć na pewno coś w tym jest. Skandynawowie to kochani ludzie, ale raczej nie można o nich powiedzieć, że są dowcipni i błyskotliwi, prawda? Na pewno nie bardziej niż Niemcy. Poza tym wydaje mi się, że on staje się jeszcze bardziej duński w obecności żony. Co oczywiście zdarza mu się często. Przypuszczam, że czuje się zobowiązany do pracowania nad jej duńskością. Widzisz, ona twierdzi, że jest Amerykanką. Jego zdaniem jest Dunką.

– Które z nich ma rację?

– Hm, w pewien sposób oboje. Formalnie ona. Wprawdzie urodziła się w Danii, ale jej rodzice wyjechali z nią do Stanów, kiedy miała dziesięć lat. Zamieszkali gdzieś w Idaho czy Iowa. Gdy miała dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata pojechała w odwiedziny do Danii. Tam spotkała Ernsta. Została z nim i potem się pobrali. To było wtedy, gdy Ernst rozpoczynał pracę na czymś w rodzaju wydziału na uniwersytecie w Kopenhadze. Potem wziął roczny urlop naukowy i dostał kontrakt w college'u Budweiser. Wziął naturalnie ze sobą Helene i dzieciaka. Można powiedzieć, że ona jest obywatelką amerykańską, która spędziła ponad połowę życia w innym kraju, zresztą w tym, w którym się urodziła. To dziwaczne.

– Sądziś, że rozstrzygnięcie tego, czy Helene jest Amerykanką czy Dunką, ma w ogóle jakieś znaczenie?

– Wydaje mi się, że tak. Nie uważasz, że tego typu sprawy mają zawsze największe znaczenie? Zresztą na pewno tak jest w tym przypadku. On wie, że ona chciałaby tu zostać. On zaś bardzo chce wracać do Kopenhagi po skończeniu pracy w Budweiser, czyli najpóźniej latem przyszłego roku. Tu mu się nie podoba.

– Tu, w Budweiser?

– Ogólnie. On jest silnie...

– Jak długo już jest w Stanach?

– Około sześciu tygodni, ale...

– Pierwsza podróż?

– Tak, ale musisz pamiętać, Joe, że teraz ludzie wiedzą już trochę o Stanach, zanim tu przyjadą. Te wszystkie filmy, programy telewizyjne, ci wszyscy piosenkarze i wszędzie obecni Amerykanie. To wszystko...

– Wiedzą?! Całkiem sporo? Jak myślisz, na ile prawdziwy obraz Ameryki mogą mieć na tej podstawie?

– No, jest to w każdym razie... jakiś wstęp.

– Chcesz jeszcze trochę?

– Jeszcze małego.

Mężczyzna zadający pytania, Joe Derlanger, wysoki, chudy Amerykanin około pięćdziesiątki przeszedł kilka kroków. Mężczyzna udzielający wyczerpujących odpowiedzi, niski, gruby Anglik, Roger Micheldene siadł i zamyślił się na chwilę. Potem zdjął brązowo-szarą tweedową marynarkę. Nawet w cieniu drzew, przy basenie było strasznie gorąco. Zdecydowanie za gorąco jak na ostatni tydzień października. Pot perlił się między rzadkimi kępkami rudych włosów na czubku głowy grubasa. Wypełniał zagłębienia w zgięciach kolan. Przy każdym ruchu wydawały one mlaszczące dźwięki. Najchętniej Roger rozebrałby się nie tylko z marynarki, ale wiedział, że jego wygląd na to nie pozwala. Rozmiar jego piersi byłby do zaakceptowania pod warunkiem, że zrzuciłby połowę swojej wagi i zmienił płeć. Talia złała mu się z biodrami i musiał zacząć nosić szelki. Po namyśle zdjął je także i schował do kieszeni. Szerokie na dwa palce, szkarłatne z niebieskimi sylwetkami ryb nadawały się dobrze do noszenia po domu. Tutaj zaś mogły wyglądać sztucznie. Choć Roger zwykle uważał, by nie stosować się do amerykańskich zwyczajów i gustów nawet w najmniejszych drobiazgach, to jednak tego dnia nie chciał wyglądać afektownie. Nie chciał również wyglądać grubo. Jednak jedyne co mógł zrobić, to pozostać w takim odzieniu, które dawało gwarancję uniknięcia udaru. Rozpiął więc kilka guzików koszuli na piersiach. Dmuchnął kilka razy pod nią i zapiął ją.

Joe Derlanger wrócił z barku przy przebieralniach, gdzie stały drinki. W rękach trzymał dwa duże giny z tonikiem. Miał na sobie żółtą lnianą koszulkę oraz długie spodenki kąpielowe, których wzór przypominał nakrycia do poduszek w domach stenotypistek. Na nogach miał trampki. Poza naturalnym owłosieniem na przedramionach i łydkach nie miał na sobie niczego więcej. Wyglądał tak, jakby było mu przynajmniej o dwadzieścia stopni chłodniej niż Rogerowi. Jak on ma dobrze, pomyślał Anglik, ale właściwie może nie. Jeżeli uczucie chłodu ma być związane z infantylnym sposobem ubierania się, to już lepiej się pocić.

Joe wręczył Rogerowi drinka, spoglądając z powagą jak szef gangu, który przed akcją rozdaje broń towarzyszom.

– Co on właściwie robi, ten Ernst Bang? Bang? Czy on się tak naprawdę nazywa? Co robi ten facet?

– Bang to dość popularne nazwisko w pewnych regionach Skandynawii. Jest filologiem. Germańskim naturalnie.

– Filolog? To coś ze słowami i sylabami, co?

– Mniej więcej. Ernst jest autorytetem w dziedzinie języków północnogermańskich, zwłaszcza wczesnoislandzkiego i farerskiego.

– Coś takiego! Ale po co komu entuzjasta wczesnoislandzkiego w... Czeka chwilę.

Wstał z krzesła i spojrział tam, gdzie w odległości około stu metrów od wyźwirowanej drogi odchodził podjazd pod dom. Tamtędy właśnie jechał w tumanie kurzu wielki, zielono-brązowy samochód.

– To muszą być oni. – Joe także wstał z krzesła, spojrział na dom i krzyknął głośno opryskliwym tonem: – Grace, Grace. Przyjechali!

– Dobrze – odpowiedział głos przynajmniej tej samej siły, tyle tylko, że o jedną trzecią oktawy wyższy.

– No to chodź tu!

– Idę!

Kręcąc się i potrząsając głową, Joe wszedł do pobliskiej szopy i wyciągnął z niej krzesła. Ustawił je okręgiem na betonowym placyku przy basenie. Sposób, w jaki to robił, przypominał zachowanie tresera zwierząt – sadysty. Zły obrót spraw wyzwał w nim agresję. Ta zależność towarzyszyła wszystkim poczynaniom Joego wobec świata przedmiotów, jak zauważył Roger.

Z siedmiu grzechów głównych specjalnością Rogera były żarłoczność, lenistwo i lubieżność, szczególnie gdy się złościł. Podczas pierwszego spotkania obu mężczyzn incydent z zamkiem od aktówki uświadomił Rogerowi, że w ostatniej z wymienionych dziedzin ma potężnego rywala. Właśnie tego poranka Roger znalazł w łazience wszystkie ręczniki ciasno przywiązane rogami do chromowanego wieszaka. Supły były zmoczone wodą, co utrudniało jeszcze ich rozwiązywanie. Zastanawiał się nad tym faktem do momentu, aż jego własny ręcznik spadł dwukrotnie na podłogę, zsuwając się z gładkiego metalu. Joe nie uwzględniał innych ludzi w swoich planach, zawziął się jedynie na Rogera.

– Zamierzałem ci opowiedzieć o tym chłopaku, Irvingu Macherze – rzekł Joe, walcząc z krzesłami. – Świetny, młody, żydowski dzieciak z Nowego Jorku. Nie ma sprytniejszego od niego. Na niższym roku w Budweiser...

– Niższy rok? Czy to oznacza pierwszy rok?

– Nie, tak nazywa się przedostatni. I ta jego powieść. Szczerze mówiąc, jest to najbardziej wkurzająca rzecz, jaką możesz sobie wyobrazić. Wywróci ci wnętrzości. To jest o...

– Wspominałeś już o tym wczoraj.

– Tak? W każdym razie możesz jutro rzucić na to okiem. Wszyscy szalejemy na punkcie tej powieści. Mam nadzieję, że sprawę uda się załatwić do kwietnia.

– Jaką wypłacasz zaliczkę?

– Dwa, może dwa i pół tysiąca dolarów.

– To dużo jak na debiut.

– Jesteśmy pewni tej cholernej powieści. Będziesz mógł to wziąć, co, Roger?

– Hm, kilka ostatnich debiutów amerykańskich, które wzięliśmy, nie zostało dobrze przyjętych. Rada jest im zdecydowanie przeciwna.

– Ale to jest coś nadzwyczajnego.

Rozmawiając i obserwując samochód, który zatrzymywał się właśnie przed domem, Joe dalej ustawiał krzesła. Ostatnie z nich przechyliło się w stronę basenu. Gwałtownym ruchem ramienia Joe postawił je z powrotem, kopiąc od tyłu kolanem. Żelazne nóżki zazgrzytały na betonie.

Roger obserwował to chłodno, ale jego serce waliło.

– Mam nadzieję, że zobaczę tę książkę – powiedział.

– Na Boga, gdzie jest ta kobieta?! – krzyknął Joe. – Halo, Grace, chodź tu. Zejdź na dół!

Nadchodząca piątka ludzi zeszała z wyźwirowanej drogi i zbliżała się, idąc po przystrzyżonej trawie.

Trzy osoby – dwóch mężczyzn i kobieta – były Rogerowi obce. Jedną z pozostałych dwóch, które toczyły ze sobą ożywioną dyskusję, Anglik znał jako Ernsta Banga, wykładowcę w instytucie językoznawstwa Otto Jespersena uniwersytetu w Kopenhadze, obecnie stypendystę college'u Budweiser. Druga zaś była powodem, dla którego Roger pojawił się u Joego.

Poderwał się na nogi w odpowiednim momencie i wciągnął brzuch, który jeszcze przed chwilą dawał się we znaki z powodu nadmiernego już ściśnięcia. Jak na taki brzuch było to imponujące osiągnięcie. Wspomnienia przemknęły mu przez głowę. Zastąpiło je rzeczywiste pożądanie w chwili, gdy spojrział na jasne włosy mieniące się w słońcu, twarz, wąskie, lecz wydatne wargi, długie, nagie, opalone nogi i bujne, kształtne ciało w białej sukience w niebiesko-zielony wzorek.

Pozostało szesnaście dni na podjęcie ostatecznej decyzji: w jedną albo w drugą stronę, pomyślał.

Nastąpiła seria przywitań i przedstawień. Roger zostawił na ewentualną, późniejszą inspekcję młodego człowieka, Nigela Pargetera, któremu chyba jedynie angielskie pochodzenie dało prawo do pojawienia się w tym towarzystwie. Natomiast warta była choćby chwilowego zainteresowania młoda Amerykanka w wieku studenckim, której imienia Roger zapomniał. Była ciemna i wyglądała cudzoziemsko, ale nie z tego powodu, że wcale się nie uśmiechała. Zbyt intensywnie poruszała ramionami i biodrami. Mimo to jednak widać było wyraźnie, że jest własnością Irvinga Machera.

Roger zapamiętał na zawsze, jak szybko i dogłębnie znienawidził autora *Blinkie Heaven*. Wiele później zdarzyło mu się to samo podczas spotkania z producentem telewizyjnym, również Amerykaninem, w Mirabelle. Facet zmonopolizował na cały wieczór uwagę wytwornej i obłudnej panny, z którą Roger pokazał się, by zrobić wrażenie i za której kolację płacił z własnej kieszeni. Same wina kosztowały go pięć i pół funta. Matka Natura wyposaża w system wczesnego ostrzegania i trzeba nauczyć się z niego korzystać.

Z brązowymi, krótko przyciętymi włosami, w modnej, niebieskiej koszulce Irving Macher nie miał w sobie nic godnego uwagi poza parą niespokojnych, szarych oczu. Ich stała nerwowość nie wynikała z tego, że tyle się wokół działo, ale z tego, że nie rozumiały tego, co widziały. Atmosfera wielkiego interesu, jaki przypadł w udziale dwudziestojednolatkowi, skoncentrowała całą nienawiść Rogera. Macher wyzwał w nim złe odruchy.

W tej chwili nie to jednak było najważniejsze. Doktora Banga Roger widział po raz ostatni trzy dni wcześniej w miejscu oddalonym od tego o piętnaście mil. Jeżeli zaś chodzi o panią Bang, to spotkał się z nią półtora roku temu, cztery tysiące mil stąd. Niemniej jednak to właśnie doktor Bang z radością potrzasał ręką Rogera przez dziesięć sekund, klepał go po ramionach i cieszył się ze spotkania. Pani Bang uśmiechnęła się lekko i nadstawiła do pocałowania policzek lub raczej całą szczękę. Roger próbował znaleźć w jej zachowaniu samokontrolę wynikającą z ostrożności, ale na próżno. Czy wtedy gdy nieoczekiwanie odwiedził ich dom nie opodal kampusu college'u Budweiser, to naprawdę była ona, a nie jej mąż, który był z małym Bangiem w Iowa czy Idaho? Tak, to była ona.

– Jak się masz, Helene? Wyglądasz świetnie.

– Nieźle, dzięki. Jak tu pięknie. Jak miło ze strony państwa Derlangerów, że zaprosili nas tutaj.

– Zawsze przywiązywali dużą wagę do życia towarzyskiego. Sądzę, że i dla ciebie jest to ważne. W każdym razie znaleźli wam przyzwoity dom.

– O tak. I sąsiedzi są mili. Stale się kręcą, i te wszystkie dzieci. Najlepiej ma Artur.

Na dźwięk tego imienia Roger zeszywniał. Reakcja przeszła nie zauważona, ale uczucie przygnębienia pozostało. Zawsze potem wydawało mu się śmiertelnie ważne, by każdy następny Artur, jakiego pozna, był dobrze po trzydziestce. W przypadku Artura Banga jego pięcioletnią osobę cechowała przerażająca dojrzałość ujawniająca się w celowości gestów i głębokim namyśle, zanim cokolwiek powiedział. Jaki jest teraz? Musi mieć chyba około siedmiu lat.

– A jak się ma Artur? – spytał Roger gorliwie.

– Świetnie. Chodzi do małej szkoły, gdzie uczy się wiele uniwersyteckich dzieci. Nauczyciele są nim zachwyceni, szczególnie jego zdolnościami i stylem uczenia się.

– Cudownie – stwierdził Roger z przekąsem.

Z niechęcią przypomniał sobie spotkanie z Helene w Regent Park, kiedy pragnął kochać się z nią, choć do dyspozycji pozostawały mu tylko słowa, a Artur, siedząc w swoim wózku, nie spuszczał z nich wzroku. Innym razem, gdy Roger usiłował trzymać ją za rękę w małym pokoiku w Oskar Davidsen, Artur opluł go potrawą numer 91 składającą się ze smażonych klopsów, czerwonej kapusty, galaretki z mięsa i buraków. Szkoła. Oczywiście, to musiało nadejść. Roger poczuł emocje godne klasycznego francuskiego kochanka, który wspomina powściągliwość męża swojej kochanki.

– Szybko rośnie, prawda? Był małym dzieckiem, kiedy go ostatni raz widziałeś.

– Gdy go po raz pierwszy zobaczyłem, to zgoda.

Od razu był niezłym aktorem, mały gnojek. Wyrzucił na kolana nowego garnituru Rogera cały talerz dżemu z pigwy, zrobionego przez babcię i przysłanego z Iowa czy Idaho.

– Hm, to już chyba trzy, cztery lata minęły od czasu, gdy się widzieliśmy po raz ostatni, prawda?

– W kwietniu 1961 roku w Londynie – odpowiedział Roger, usiłując za wszelką cenę usunąć ton zaskoczenia i rozczarowania ze swojego głosu.

Doktor Bang rzadko nie wtrącał się do rozmowy tak długo jak tym razem. Teraz rzekł swoim duńskim gardłowym tonem:

– Kobiety nie mają poczucia czasu, prawda Roger? Oczywiście wiemy, wszyscy to wiedzą, że mają inny zmysł, o wiele bardziej...

– Właśnie, że mamy poczucie czasu. Tylko że ty jeszcze nigdy nie zechciałeś tego docenić.

– Słyszysz? Czy to nie straszne? I chyba nic nie mogę zrobić. Jest niereformowalna. A ja się tak staram. To „właśnie, że mamy” brzmi jakby wypowiedziane przez boski niemal autorytet. I ta gramatyka. Helene coraz bardziej się amerykańizuje. W języku objawia się to najszybciej.

– Daj spokój – rzekł Roger, śmiejąc się. – Nie jesteś w pracy. Napijmy się.

– Przepraszam, ale dopóki ludzie dookoła mnie mówią, moja praca nie ustaje. Zdobywam w ten sposób doświadczenie. Nie mogę się zdystansować.

– Znam jednego czy dwóch...

– Ale zrozum – przerwała Helene, zwracając się do męża – z tego, co powiedziałeś, nie wynika dla mnie, dlaczego mówienie z akcentem amerykańskim ma być złe. Więcej ludzi tak mówi niż po brytyjsku.

– Ale nie jest to jedyny...

– Mam cię, Roger: niezdolność do przeprowadzenia logicznej konwersacji. – Ernst odwrócił się do Helene i zajął się sprzeczką. – Nie chodzi o to, co jest dobre, a co złe. Sprawa poprawności nie ma tu nic do rzeczy. Podobnie jak liczba użytkowników języka. To wszystko jest proste, na półkuli wschodniej, na której, jak wiesz, leży Skandynawia, tradycyjną formą angielskiego nauczanego jako drugi język jest forma brytyjska. Teraz...

– Ale nie jesteśmy na półkuli wschodniej. Jesteśmy w Ameryce, a tradycyjną formą angielskiego jest tu...

– Nie rozważamy tego, co tradycyjne, a co nietradycyjne. Chodzi o to, który...

– Sam powiedziałaś, że nie powinieneś nigdy...

Roger wyłączył się z dyskusji do czasu, aż Joe zaproponował wszystkim przejście nad basen. Zawsze gdy Roger był w towarzystwie Bangów, połowę czasu zajmowały rozmowy Banga z Helene. Był zadowolony, że przynajmniej rozmawiali ze sobą po angielsku. Na ogół, gdy rozmowa stawała się bardziej gorączkowa, przechodzili na duński. Wtedy, mimo że lubił patrzeć na to, jak duński zmienia kształt ust Helene, Roger czuł się zupełnie wykluczony z rozmowy.

Po względnie dokładnej inspekcji twarzy Helene, której mógł dokonać teraz w spokoju, doszedł do wniosku, że w wieku dwudziestu dziewięciu lat wygląda lepiej niż kiedykolwiek. Szczupła, z powabnie nieproporcjonalnym biustem, ze szczupłymi nadal biodrami i ramionami. W okolicy obojczyków, które wystawały przez lekko opaloną skórę, przybyło ze dwa milimetry ciała. Wreszcie fetyszysta twarzy podniósł wzrok. Tam bowiem była najlepsza część jej ciała. Wąskie usta i nos. Spojrzenie dużych oczu, pełne uśpionej brutalności przeszywało ciało Rogera. I te włosy. Bogactwo ich barw od popielatego przez bladozłoty do cytrynowego było przesadne, prawie obrażające jego poczucie przyzwoitości. Jak zwykle były lekko potargane. Policzki zaś nieznacznie zaróżowione. Tak samo jak pięć lat temu, gdy ją zobaczył po raz pierwszy na swoim przyjęciu w Langeliniepavillonem. Całkiem serio pomyślał wtedy, że miała przed chwilą sprzeczkę z portierem lub szatniarką. Pod koniec wieczoru zrozumiał, że nie było to prawdą.

Co ona w każdym razie widziała w tym Bangu? Co ją z nim łączyło? Na oko doktor Bang miał dużo do zaoferowania: wysoki, młody, szczupły, z małą głową i ciemnymi włosami, sylwetką tancerza baletowego, obdarzony niezwykle ekspresywną siłą mima. (Jeszcze dziesięć lat temu Roger przejmowałby się jego wyglądem.) W kwestii tego, co można mieć do powiedzenia, mąż Helene miał już znacznie mniej do zaoferowania. Dlaczego więc zawsze do niego mówiła? Prawda, ich rozmowa na ogół była kłótnią. Ale ona zawsze wykazywała zainteresowanie. Jak to było możliwe?

Oboje Bangowie po gwałtownej wymianie słów po duńsku zwrócili się do Rogera. Mówili do niego równocześnie. Zdarzało się to często. Zazwyczaj właśnie wtedy, gdy nie mówili do siebie. Roger próbował dzielić swoją uwagę i być miły. Ludzie jego pokroju powinni wykorzystywać każdą okazję do pokazania swojego dobrego usposobienia.

- Cały ten upór wystarczy, by zrobić z człowieka...
- ...coś, co porzucasz w pośpiechu. Dlaczego niektóre kobiety oddałyby wszystko za...
- ...wywierając na nią nacisku w ogóle. Chodzi tu o normalne...
- ...urodzona tam, naturalnie mogę mówić tym językiem, ale w moim paszporcie jest napisane, że jestem...

– ...zrobić oficjalny wniosek do władz, które w przypadku Duńczyka...

– ...trzymać się tego...

– ...mniej lub bardziej automatycznie.

Roger skorzystał z chwili ciszy i odezwał się głosem rozsądku, jako moderator w dyskusji. Rozsądek i umiejętność godzenia stron, podobnie jak bycie miłym, nie przytrafiały mu się często. Opanowanie Bangów było tym prostsze, że mieli już wiele takich kłótni za sobą. Z tym że zwykle nie rozpoczynały się one wcześniej niż w połowie spotkania. Niewątpliwie pobyt w Ameryce dodał im energii.

Biorąc szczyptę Town Clerka ze swojej cynowej tabakierki, Roger stwierdził:

– Rozumiem Helene, Ernst. Sam fakt, że ona chce identyfikować się z Ameryką, nie oznacza, że czuje się w najmniejszym stopniu nieszczęśliwa, w jakiś sposób niełojalna lub...

– Dokładnie. Ja to właśnie stale...

– ...ty czy Dania. Z drugiej strony, Helene, musisz zdać sobie sprawę z tego, że obyczaj nakazuje żonie przyjąć obywatelstwo męża. Zatem Dania jest twoją...

– Gdyby można ją było zmusić do tego...

– ...wydaje mi się naturalne, że powinnaś złożyć w najbliższych dniach wniosek.

Roger nie cierpiał stawać po stronie Ernsta. Ale w tym przypadku na rękę było mu to, by jak najwięcej osób poparło pomysł Ernsta. Duńska Helene najprawdopodobniej zostałyby w Danii. A z Danii do Anglii jest już bardzo blisko. Natomiast amerykańska Helene przywodziła na myśl fakt, że więcej jest Amerykanów niż Duńczyków i Anglików.

– Kiedy będziesz już w domu, Helene – kontynuował Roger – to...

– Ale moim domem jest ten kraj – wtrąciła Helene pełna napięcia – i to jest to, co próbowałam...

– Ona i ja urodziliśmy się w tym samym...

– ...tutaj, ale on jest najbardziej uparty.

– ...napić się czy popływać, dopóki słońce jeszcze świeci?!

Szorstki ton Joego lub być może jego propozycja spowodowała, że zamilkli. Małżonka doktora Banga zasłoniła oczy od światła i spojrzała na Joego, wdzięcznie ukazując wzniesiony biust i pachę, co dosyć zirytowało Rogera. Już kiedyś musiał przyzwyczać się do tego, że trójka to kompania. Był absolutnie pewien, że czwórka nie.

– Marzę o basenie – rzekła Helene z uśmiechem, który odsłonił jej znakomite, równe zęby – ale nie mam kostiumu kąpielowego.

– Ja też nie – dodał Ernst.

– Nie ma sprawy. U nas jest mnóstwo kostiumów. Wiecie, nigdy nie wiadomo kto przyjedzie. Taka zapobiegliwość. Jeżeli więc ma pan ochotę, doktorze Bang...

– Jestem Ernst.

– W takim razie Ernst i moja żona zajmą się panią, pani Bang.

– Helene.

Choć raz to, co powiedziała, zabrzmiało duńsko.

– Grace, znajdź coś dla Helene. Dobrze, kochanie?

– No a co z tobą, Rog, staruszkę? Wyglądasz na takiego, któremu przydałaby się...

– Dzięki, Joe. Jeżeli nie zrobi ci to różnicy, nie będę się kąpał.

– Rób, jak uważasz.

Poszli. Roger został sam.

Podjęcie decyzji o tym, żeby nie pływać, należało do najprostszych w jego życiu. Dla mężczyzny, który tak chętnie chodził do łóżka z kobietami, ukrywanie swojej otyłości było chronicznym problemem. Najwyraźniej przejawiało się to w sytuacji, gdy trzeba było kogoś nowego poderwać i doprowadzić do punktu, z którego nie było już odwrotu. Ostatnio jednak, w miarę jak brzuch zaczynał się rozrastać, punkt ten zaczął następować coraz później. Nawet na zaawansowanym już etapie jeden rzut oka starczał, by dziewczyna przypomniała sobie o zobowiązaniach wobec tradycji rodzinnej, męża lub narzeczonego, o koleżance z pokoju, właścicielce wynajmowanego mieszkania albo ludzkości w ogóle. To jeszcze nie wszystko. Ostatnie doświadczenie pokazywało, że brzuch zademonstrowany w całej okazałości w chwili nieuwagi lub zbytniego roznamiętnienia mógł spowodować całkowite cofnięcie wcześniejszych względów. Innymi słowy hamował afekt. Studził. I to w dowolnym momencie. Wykluczone, by stało się tak z Helene. Szkoda, że miała ona zupełnie inny temperament niż reszta jego kobiet. Te, z którymi na ogół chodził do łóżka, nie traktowały osobiście tego, co się potem działo. Dawało to większy luz. Helene zaś była zawsze bardzo zasadnicza. Szczególnie nalegała, by stosować coś, co można by nazwać „równą dozą nagości”. Nigdy w życiu nie zdecydowałyby się na prezentację uroków własnego ciała, podczas gdy on siedziałby w fotelu w swoim

nieskazitelny, zachodnioangielskim tweedzie.

W chwilach gdy nie ogarniała go pasja wywołana pożądaniem i złością na Helene i jej zasadę, Roger stwierdzał, że nie jest to aż tak nierozsądne. Zdawał sobie sprawę, że za naprawdę skrupulatną inspekcję jej ciała, o której marzył niezmiernie, musiałby zapłacić demonstracją uroków własnego cielska. Na to nie mógł pozwolić. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak zadowolić się kilkoma spojrzeniami na jej figurę, gdy wyskakiwała lub wskakiwała do łóżka, jej plecami, gdy się ubierała lub rozbierała i ewentualnie małym fragmentem piersi, zanim zgasła światło. Zobaczenie jej więc w stroju kąpielowym, stwierdził Roger w duchu, mogłoby istotnie zmienić jego wyobrażenie o niej. Zdobyłby wizualne doświadczenie jej ciała, nawet jeżeli nie dokładne, to przynajmniej w ogóle jakieś. Miał tylko nadzieję, że wrażenie nie będzie zbyt silne. Zadowolony ze swojego sprytu uśmiechnął się do siebie i wyciągnął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne. Jeżeli będzie od czasu do czasu poruszał delikatnie głowę, to nikt nie powinien się zorientować, w jakim kierunku patrzy. Okulary zaś idealnie zakryją wybałuszone, być może niechący, oczy. Kiedy czekał na pojawienie się Helene, przyszło mu do głowy, że zabiegi te nie będą potrzebne, jeżeli będzie zachowywał się jak rzeźba ze starego, czerwonego piaskowca. Przesunął krzesło do przodu. Przetarł twarz, zażył szczyptę tabaki, przełknął drinka i rozejrzał się wkoło. Jedyne Grace Derlanger i, o dziwo,

Irving Macher nie zamierzali się kąpać. Stali z boku, rozmawiając. Właściwie to Macher mówił. Jego głos był, zdaniem Rogera bez powodu, zbyt głęboki i donośny. Tak samo jak bez uzasadnienia, według Rogera, Macher zainkasował dwa czy dwa i pół tysiąca dolarów.

– I masz pretekst do zdobywania pieniędzy – mówił Macher jakby w obronie własnej. – Co więcej, to twój obowiązek. W ten sposób pozbywamy się przeświadczenia, że obowiązkiem jest brak pieniędzy. Powiedz, kto spełniałby taki obowiązek? A przecież obowiązek jest czymś, co ludzie na ogół spełniają. Zobacz. Co zrobiłabyś żołnierzowi, który poszedł się bić, ale zapomniał karabinu? Postawiłabyś go pod sąd wojenny, prawda? I miałabyś rację. Ktoś, kto nie potrafi się bronić, osłabia zdolność do samoobrony u innych. Armia to rozumie. I wiele więcej. Armia to właściwy rodzaj organizacji, dlatego że istnieje po to, by robić to, co jest konieczne i niezbędne. Szkoda, że nie można wykorzystywać armii na większą skalę. Wszystko, co mamy, to uczeni, a oni są kiepscy. Nie odpowiadają mi. Zbyt dużo estetyzują. Ale wracając do pieniędzy; myślenie o nich we właściwy sposób ogromnie wyzwala. Moi rodzice mają pieniądze i za to ich podziwiam i szanuję. Kiedyś było dla mnie kłopotliwe to, że tyle o nich słyszę. Przestało być. Pieniądze to fajna sprawa.

Ostatnie słowa Roger słyszał już z bliska, ponieważ Grace zauważyła go siedzącego samotnie i skierowała się w jego stronę, wiodąc za sobą rozmówcę. Usadowiła swoje krępe ciało na najbliższym krześle. Patrzyła na Machera przez grube szkła okularów. Nie drgnął żaden mięsień jej twarzy. Nie wiadomo więc było, czy to, co mówi Macher, uważa za bzdurę. Rogerowi wydawało się, że tak, ale nie był pewien. Upewnienie się, że to nonsens wymagało ustalenia rodowodu ogólnego nonsensu, nonsensu humanistyczno-humanitarnego, nonsensu akademickiego, protestanckiego i freudowskiego. Brednie Machera ustały, zanim Roger zdążył zagłębić się w te rozważania.

Odwrócił głowę i stwierdził z zadowoleniem, że nadchodzą Bangowie. Ernst obejmował Helene, co częściowo zasłaniało Rogerowi widok. Nie na tyle jednak, by nie mógł stwierdzić, że kostium Helene składa się z dwóch niezależnych od siebie części. Do Bangów dołączyli Joe i Anglik Pargeter, głośno rozmawiając. Za nimi podążała dziewczyna Machera. Ponieważ cała grupa stale się poruszała, Helene pojawiała się w zasięgu wzroku tylko przelotnie. Roger jak snajper wyczekiwał odpowiedniej chwili, by ucelować w punkt.

– Zrobię ci drinka – powiedział Roger po dobrej chwili wpatrywania się w grupę. Nie czekając na odpowiedź, wstał i ruszył do barku z drinkami. Był już blisko Helene, gdy ona odwróciła się do basenu, by powiedzieć coś dziewczynie Machera. Czyniąc to, ukazała Rogerowi swoje plecy, przodem zaś stanęła do tego miejsca, gdzie Roger przed chwilą siedział. Gdy wrócił na miejsce, trzymając drinki, Helene znów była odwrócona frontem w inną stronę.

– Hej, wy! No dalej! – zawołał z gwałtownością i nieoczekiwaną jowialnością, tak że Grace i Macher spojrzeli na niego. – Co z wami. Nie kąpiecie się. Boicie się wody czy co? Pokażcie, co potraficie!

– Nie będziemy dłużej tego wysłuchiwać, co, Nigel? – zaryczał Joe – Niech zobaczy, że się myli.

Ruszył wzdłuż basenu, kościsty, ubrany w jasnozielone spodenki. Grupa zaczęła się rozchodzić.

– Pan jest Brytyjczykiem, prawda, panie Dean? – odezwał się Macher do Rogera.

– Tak i nazywam się Micheldene.

– O, przepraszam. To pisze się z łącznikiem, prawda? Jak Mitchell-Dean?

– Nie. To jedno słowo. A dlaczego?

– Hm, nigdy w życiu nie zgadłbym dlaczego, panie Micheldene. A miałbym?

– Nie widzę nikogo innego, kto mógłby.

– Co? Przecież to pańskie nazwisko, prawda?

– I co z tego?

– Więc to pan powinien wiedzieć, dlaczego składa się ono z jednego wyrazu, nie ja!

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Przecież spytał mnie pan, dlaczego pańskie nazwisko jest jednowyrazowe.

– Niczego takiego nie zrobiłem. Spytałem, dlaczego chce pan wiedzieć, czy jestem Brytyjczykiem.

– Ach, o to chodzi. – Macher zaśmiał się cicho. – Przepraszam. Odpowiedź jest prosta.

– Naprawdę?

– Tak. Po prostu chciałem wiedzieć.

– Tylko to?

– Tylko to.

– W takim razie dziękuję.

– Proszę.

Roger cierpiał strasznie w czasie tej wymiany zdań. Jedno cierpienie było ściśle fizyczne i wiązało się z przeforsowaniem wzroku w czasie baczego śledzenia ruchów Helene. Bardziej dotkliwy był ból emocjonalny spowodowany tym, że jeszcze jej nie zobaczył w całej okazałości. Macher zaś skutecznie rozpraszał jego uwagę. W momencie gdy skończył, cała piątka była już w wodzie. Roger poczuł natomiast trzeci rodzaj bólu. Z natury retrospektywny wynikał z żalu, że nie wyciągnął nogi i nie kopnął Machera, krzesła i tego wszystkiego, zanim ten nie otworzył swych potwornych ust.

Basen nie był bardzo długi, ale wystarczający, by Joe mógł pruć od jednego brzegu do drugiego i z powrotem. Robiąc to, parskął i prychał. Wzburzona woda zmieniała Helene w bezładny kształt złożony z różnokolorowych plamek. Światło załamywało się.

Ernst zaczął nurkować. Szło mu to nieźle. W każdym razie zrobił wrażenie na Helene, która przestała pływać i patrzyła na niego. Roger mógł więc bez przeszkód obserwować z bliska tył jej głowy i ramiona. Woda zmieniła kolor jej włosów. Pogłębiła żółty, czyniąc najjaśniejsze pasemka prawie przezroczyste. Na czubku głowy pojawiły się brązowe cienie.

Wszyscy w basenie śmiali się i krzyczeli jeden do drugiego beztrudnie i swobodnie.

– Czy nie wyglądają świetnie? – spytała Grace.

Roger spojrział na nią podejrzliwie. Jak na Amerykankę w średnim wieku na ogół wydawała mu się sympatyczna. Chociaż nigdy go szczególnie nie obchodziło to, co działo się w jej głowie. Prawdą było, że Roger późno zauważył jej spojrzenie na sobie w czasie monologu Machera. Przypatrywała mu się uważnie, z zainteresowaniem, jej nozdrza drżały jakby powstrzymywała się od czegoś. Miał nadzieję, że od ziewania. Spytał więc zdziwionym tonem:

– Kto?

– Jak to? Państwo Bang, oczywiście. Nie sądzisz?

– O tak, naturalnie. Są uroczy.

– Są chyba stworzeni dla siebie.

– Tak.

– Jeżeli on kiedykolwiek uzna, że czas kończyć z tą filozofią czy czymś tam, to musi zagrać w filmie rolę męskiego bohatera typu Tarzana. Jest taki zgrabny. Spójrz na niego teraz. Z takim wyglądem mógłby uchodzić za kobietę, ale nie ma w nim w ogóle nic zniewieściałego. A ona, czy nie jest zachwycająca?

– Absolutnie.

– Takie typowe skandynawskie kolory. I ta figura. Naprawdę jestem zdziwiona, że żaden facet jej nie wyhaczył.

– Jaki facet?

– No wiesz, jakiś z filmu czy telewizji. Z taką urodą nie musiałyby ani śpiewać, ani nawet grać.

– Nie. Nie musiałyby.

– A wiesz, co jest najpiękniejsze?

Roger spojrział na nią z zaskoczeniem.

– Są sobie tak oddani. To widać na pierwszy rzut oka. No, przynajmniej ja to widzę. Całkowicie oddani. On nawet nie spojrzy na inną, a ona to samo. Ona nawet bardziej, nie uważasz?

Roger nie uważał tak.

– A o to dziś tak trudno – ciągnęła Grace – z tymi wszystkimi odchodzeniami, zrywaniami, rozwodami i resztą. O przepraszam, Roger, zachowałam się nietaktownie. Nie miałam na myśli...

– W porządku, Grace.

– Naprawdę, tak to czuję.

– Nic nie mów – rzekł i dodał w duchu: Bo w przeciwnym razie cię walnę. Wy, kluby kobieco-kulturalno-obiadowe organizujące czytanie Sobotniej Krytyki Literackiej, rzeczywiste dziedzictwo korporacji-produkującej-drinki bezalkoholowe-wyczekujące na starą rodzinę z New Hampshire-odwołujące się do Kennedy'ego-kochające-piękne-pooklejane-jankeskie-torby.

Grace zniżyła głos i spytała ostrożnym, niepewnym tonem:

– Czy miałeś jakieś wiadomości od Marigold ostatnio?

– Nie, przez ostatnie lata nie.

Roger był świadom tego, że Macher przysłuchuje się rozmowie, choć nie z pełną uwagą, a to było jeszcze gorsze. Jeżeli ten żydowski pismak zamierza tu zostać z tymi swoimi małymi, wszędzie nadstawionymi uszami, to niech sobie nimi dalej trzepie tak samo żarliwie i z zainteresowaniem, pomyślał Roger.

– Marigold była moją pierwszą żoną – wyjaśniał bardzo głośno – moja obecna żona, jeżeli można ją tak nazwać, ma na imię Pamela.

– O Boże, Roger. Palnęłam głupstwo. Nie wiem, co powiedzieć. Zdaje się, że mam...Kochanie, to w najmniejszym stopniu nie ma znaczenia. – Roger posłał jej swój uśmiech w pełnej okazałości, próbując w ten sposób uświadomić kobiecie swoją moralną przewagę. Grace mu podpadła, ale z odegraniem się będzie musiał poczekać na moment, aż uwolni się od krępującego towarzystwa żydowskiego zarozumialca.

– Właśnie przed przyjazdem tutaj otrzymałem list od Pameli.

– Jak się ma?

– Chyba bardzo dobrze.

Większość jednostronicowych listów, które dostawał, zawierała pytania, czy mógłby ewentualnie znaleźć i przysłać do Anglii unikatowy maszynopis powieści *Perne in a Gyre*, napisanej przez jej nieutalentowanego szwagra pacyfistę. Miało to podobno leżeć w biurze pewnego nowojorskiego wydawcy o nazwisku Strode Atkins, który miał również uczestniczyć w wieczornym spotkaniu, ale, dzięki Bogu, jeszcze się nie pojawił.

– Jakież wiadomości?

– Nie.

Ernst wyszedł z basenu i stał na brzegu, wyciskając wodę z włosów. Helene, stale tyłem do Rogera, wynurzała się również. Grace poszła poszukać ręczników. Roger obserwował Helene rozmawiającą z mężem i dziewczyną Machera. Wzięła ręcznik od Grace, okrążyła basen i zbliżyła się do Rogera na odległość paru metrów. Ręcznik przykrywał wszystko między szyją a kolanami. Jej oczy były lekko załamane od wody. Po chwili usiadła, posuwając się do tego, że ukazała Rogerowi trzy czwarte swoich pleców. Jej kształt podniecał go nawet wtedy, gdy siedziała, obejmując rękoma kolana, a ręcznik przykrywał całe jej ciało. Nie było to jednak tak silne wrażenie jak zwykle. Próbował w myślach zdawkowy ton, jakim mógłby zapytać o wrażenia z kąpieli. Wtedy Macher odezwał się znowu:

– Niezła sztuka, ta dziewczyna.

– Dziewczyna? – Roger z wysiłkiem uświadomił sobie, że nie jest sam.

– Jaka dziewczyna?

– Nie Suzanne Klein, dziewczyna, którą przywiozłem. Nie zauważył jej pan, ta druga. Blondynka. Dunka. Żona profesora. Pani Bang. Helene. Ta dziewczyna. – Macher wskazał palcem.

– O tak. Już chyba wiem, o kogo chodzi.

– Niezła, co?

– Tak. Chyba można tak powiedzieć.

– Cieszę się, że pan się ze mną zgadza. Jaka ona jest?

– Co masz na myśli?

– No, nie wiem. – Macher zaśmiał się. – Pomyślmy, co ja mam na myśli. Nie mogę pytać o to, jaka jest z wyglądu, ponieważ to mogę zobaczyć sam. Tak naprawdę, to patrząc na nią, na jej wygląd uważam, że jest z niej kawał baby. Jeżeli więc nie pytam o to, to muszę mieć na myśli co innego. Czy jest miła, czy wredna, bystra czy tępa, wykształcona czy głupia, niebezpieczna czy powściągliwa. Tego typu sprawy.

Roger wysłuchiwał go, patrząc nieruchomym wzrokiem. Zabieg taki stosował w sytuacjach, gdy nie mógł przerwać rozmowy krwiożerczym słowem ani zastosować fizycznej przemocy. Przedłużając swoje spojrzenie, milczenie i bezruch o mniej więcej pół minuty, powiedział w końcu:

– Rozumiem. Ale abstrahując od tego, czy należy ci w ogóle odpowiadać na pytania, sądzę, że twoje podejście do życia jest zbyt banalne, byś miał prawo interesować się tym, co ja albo ktokolwiek inny myśli o tym lub czymkolwiek innym.

– Nie, panie Micheldene. To byłoby z mojej strony aroganckie. Chyba źle mnie pan osądził. Oczywiście, interesuje mnie to, co myśli pan o pani Bang. Pomijając wszystko, zna ją pan o wiele dłużej ode mnie, prawda? Jest pan starszym człowiekiem, więc pańskie opinie byłyby bardziej dojrzałe i wyważone niż moje.

– Nawet jeżeli by tak było – stwierdził Roger – chciałbym coś zasugerować. Możemy odłożyć naszą dyskusję o pani Bang do czasu, aż nabędziesz doświadczenia umożliwiającego porównanie. Dopiero wtedy.

Wstał z fotela, zdecydowany pójść i zobaczyć Helene od przodu, kiedy Grace zawołała go. Odwrócił się z pewnym wysiłkiem. Grace szła ku niemu przez trawnik w towarzystwie mężczyzny i kobiety w jego wieku. Rozpoznał Strode'a Atkinsa i jego żonę. Oboje byli zadbani, ale już podniszczeni życiem. Od razu wiedzieli, do kogo mają podejść. Roger ze zdumieniem stwierdził, że nie trafia go szlag ze złości. Atkins i jego żona, kobieta chuda, o dużych oczach i prostych, brązowych, postrzępionych włosach spojrzeli na siebie dłużej niż zwykle. Potem mężczyzna krzyknął, potrząsając ręką Rogera:

Anglik, następny, cholerny Anglik! To mi się podoba. Naprawdę. Jestem strasznym anglofilem, a wierz mi, bracie, nie ma ich już zbyt wielu na świecie.

3

Ciekawe, jakim anglofilem jest straszny anglofil? Roger zauważył, że pani Atkins skrupulatnie bada pozornie niczym nie wyróżniającą się kępkę trawy pod swoimi stopami.

– Cholera, chciałem powiedzieć, że kocham Anglików i wszystko co angielskie tak bardzo, że napawa mnie to obrzydzeniem. I o ile wiem, innych też. Choć to, co robię, wydaje mi się słuszne i będę to robił dla tych czy innych powodów. Głównie dlatego, że sam jestem Anglikiem z pochodzenia. Moi przodkowie byli Anglikami, ale nie wiem dokładnie, kiedy to było. Właściwie to chciałbym coś panu powiedzieć, panie Dean.

– Micheldene.

– Przepraszam. Chciałem zapytać, czy pan słyszał, że Tommy, taki angielski G. I.1 Joe, zwykły angielski szeregowiec, wiesz, jak na przykład Wuj Sam, który oznacza Stany Zjednoczone... no, to temu pierwszemu Tommy'emu dano imię Thomas Atkins?

– Tak. Teraz kiedy pan o tym wspomniał, to przypomniałem sobie, że już kiedyś coś takiego słyszałem.

– To moje słowa. Szczera prawda. To świadczy najbardziej o mojej angielskości. Chciałbym jeszcze o coś pana zapytać.

– Słucham.

– Jak wymawia pan słowo – Strode Atkins zmarszczył się i oblizał wargi – słowo „out”?

– „Out” – powiedział Roger bez wahania. Jego metoda działania polegająca na niemym spojrzeniu, z miernym skutkiem wypróbowana na Macherze, nie podziałałaby tu w ogóle. – „Out” – rzekł jeszcze raz dla pewności.

Atkins powoli i z całą powagą skinął głową.

– „Oat” – powtórzył za Rogerem.

– Ale ludzie...

Atkins podniósł rękę.

1 G.I. – skrót od Government Issue (własność państwowa), zart.: żołnierz USA (przyp. tłum.)

– Jak wymawia pan słowo – zmarszczył się jeszcze bardziej, wgapiając się w swoje stopy, pewnie dlatego, że kołysał się na nich delikatnie – „a-b-o-u-t”?

– „About”?

Atkins westchnął żałośnie:

– „Aboat”.

– Ale to tylko...

– W Zachodniej Wirginii są tylko dwa miejsca, dwie doliny, gdzie mówi się czystym osiemnastowiecznym angielskim, takim jakiego naprawdę wtedy używano. Stamtąd pochodzę. A teraz... jak się...

Pani Atkins odwróciła głowę w stronę męża i powiedziała z przekonaniem w głosie:

– Pan Micheldene nie jest zainteresowany zabawą w grę słów. Dlaczego właściwie nie siądziemy?

– Jeżeli szuka pan kogoś, z kim można by porozmawiać na temat wymowy, panie Atkins – odrzekł Roger jowialnie – to mamy tu takiego człowieka. Proszę, przedstawię go panu.

Ruszyli z drinkami w rękach. Dla Rogera był to już chyba piąty czy szósty kieliszek. Dla Atkinsa pierwszy, w każdym razie od momentu przybycia. Po drodze Roger starał się wyjaśnić, kim jest Ernst i co robi. Nie udało mu się jednak przykuć uwagi rozmówcy. Gdy był już tylko kilka metrów od Helene, ona właśnie skończyła mówić coś do Machera, wstała z krzesła i oddaliła się w kierunku przebieralni. Jej włosy prawie wyschły i powiewały lekko na wietrze.

Przedstawiwszy sobie Banga i Atkinsa, Roger szybko porzucił ich towarzystwo. Rozejrzał się wokół po dużej przestrzeni porośniętej zielskiem, którą Derlangerowie nazywali swoim podwórzem. Nie wyglądało ono na wykończone, bez grządek z kwiatami i żywopłotów. Jedyne niski pagórek oddalony o około pół mili, ubarwiony na czerwono i pomarańczowo, wyróżniał się i dlatego stał się przedmiotem dyskusji. Poza nim i paroma domami w zasięgu wzroku nie było nic godnego uwagi. Nawet samochodu na drodze. Na dalekim skraju podjazdu, u podnóża sosny siedziała na tylnych łapkach wiewiórka, rozglądając się wokół z pozorną ciekawością. W chwilę później z pozorną niecierpliwością wskoczyła po pniu na drzewo, strasząc jaskrawoczerwonego ptaka, który poderwał się i odleciał w stronę lasu. Czarna służąca Derlangerów trzasnęła tylnymi drzwiami i poszła w głąb domu. Czy to wszystko warte było tego wysiłku, jakim była uważana obserwacja? Zdaniem Rogera nie.

Co innego zaprzętało jego umysł. Przed końcem wieczoru chciał załatwić sprawę z Helene, a w każdym razie zrobić podejście. Nie po raz pierwszy pozazdrościł pewnemu Francuzikowi, bohaterowi filmu, który Roger kiedyś widział. Facet ten miał lutnię, na której w szczególnych momentach grał odpowiednie akordy. Skutek tego był taki, że wszyscy wokół popadali w nieprzytomne otumanienie poza lutnistą i każdą młodą kobietą, którą lutnista sobie upatrzył. Po czasie potrzebnym na miłą chwilkę we dwoje para zajmowała pozycje wyjściowe. Następny akord przywracał wszystkich do życia. Sprytne urządzenie taka lutnia, ale skąd ją wziąć?

Nie było żadnej szansy na powiedzenie czegokolwiek Helene, bowiem trzeba by ją było odseparować od towarzystwa lub chociaż spowodować, by nie podchodzono do nich co piętnaście sekund. Ani dźwięki lutni, ani nawet wybuch granatu nie odniósłby skutku. Ale Roger musiał znaleźć taki moment. Nadchodzące dwa tygodnie mogły być najlepszym czasem, być może ostatnią szansą na to, by zabrać Helene gdzieś, nawet na kilka dni. Oczywiście nie mogło się to równać z kilkudziesięcioma latami, ale w każdym razie mogłoby to być lepsze niż to, czego doświadczył do tej pory: kilka krótkich chwil po południu lub wieczorem w Kopenhadze i Londynie oraz spora część nocy, gdy Ernst wyjechał do Oxfordu czytać jakieś manuskrypty. Nieprzyjemne dla Rogera było to, że to, co chciał zapamiętać z tych chwil, umykało mu. Jeszcze symulowany wyjazd (ze względu na Artura) z wynajmowanego domu w Hampstead, pół godziny na półpiętrze, bez butów, gdy Artur pił ciepłe mleko i słuchał bajki. I prawdziwy wyjazd o 5.45 rano, gdy zwiększało się prawdopodobieństwo, że przebudzony Artur za chwilę zacznie walczyć z klamką do drzwi sypialni. W ciągu tych kilku dni obecność Artura była wykluczona.

Jednakże, pomyślał Roger, byłbym w stanie stawić czoło całej armii Arturów, jeżeli dałoby się rozciągnąć tych kilka dni w nieskończoność. Czy istniała jakakolwiek szansa na wydobycie Helene ze związku z Ernstem? Ostatnim razem w Londynie obiecała o tym pomyśleć i nawet pocałowała go w usta, gdy odprowadzał ich wszystkich na lotnisko. I potem jej list, który nadszedł miesiąc później. Był jedynie pełen otuchy i przyjazny jak zwykle. (I dlaczego nie nauczyła się literować jego nazwiska?) Chciał do niej zadzwonić i powiedzieć jej prosto w twarz to, co od dawna zamierzał powiedzieć: „Słuchaj, mogłabyś być moją panią”. Nie było to tak, jakby jeden chamek z drugim rywalizowali o kobietę. Tego był całkiem pewien. Co ona naprawdę o nim myślała?

Właśnie wtedy Helene wyłoniła się z przebieralni, czesząc bez entuzjazmu swoje włosy. Wyglądała niezwykle pięknie i delikatnie. Pomodlił się w duchu, by to, że zapomniała kwiecień 1961 roku, było tylko wybiegiem związanym z obecnością Ernsta. Potem ruszył z górki na jej spotkanie. Zatoczył się trochę z powodu ginu lub wciągniętego przez cały czas brzucha i nóg jak szczudeł lub po prostu dlatego, że trawa była śliska. Udało mu się odprowadzić Helene do domu w towarzystwie jedynie: Suzanne Klein, Irvinga Machera, Strode'a Atkinsa i Nigela Pargetera. Spytał ją, jak się pływało. Zdążyła odpowiedzieć, że dobrze, zanim odwróciła głowę w stronę Machera, słuchając tego, co mówił o Williamie Goldingu.

W domu Grace wygrała właśnie sprzeczkę z Joem, który nalegał, by zjedli obiad na dworze. Poprowadziła kobiety na piętro. Joe stał jeszcze przez chwilę, patrząc spode łba. Potem wziął Atkinsa i poprowadził go w głąb domu. Macher zniknął również. Być może wdrapywał się właśnie po rynnie, by dowiedzieć się czegoś więcej o wyglądzie Helene. Roger znalazł się sam z około dwudziestoczteroletnim Pargeterem, krótkonogim okularnikiem. Pargeter spytał:

- Czy to pańska pierwsza wizyta?
- W tym domu?
- Nie, w Stanach?
- Nie. A pańska?
- Tak. Jestem tu dopiero dwa tygodnie. Byłem chory.
- Ach tak, przykro mi.
- Jestem na studiach doktorskich w college'u Budweiser.
- I co pan robi?
- Doktorat na temat Gavina Douglasa.
- Co?! Tego piętnastowiecznego szkockiego fagasa?
- Tak. Zna pan jego prace?
- Nie był Amerykaninem, prawda?
- Oczywiście, że nie.
- To jaki ma pan, do cholery, interes, by tu przyjeżdżać i pisać coś o nim?
- Nie przyjechałem tu po to, by pisać o nim. Chciałem zrobić doktorat i dostałem stypendium w Budweiser, więc...

– Ale wszystkie materiały o Douglasie są w Anglii. Tu, w Pensylwanii, ich pan nie znajdzie.

– Nie byłbym tego taki pewien.

– Naprawdę? – zdziwił się Roger i wyszedł. Najpierw udał się do toalety. Następnie, pod pretekstem, że nie zna domu, chciał pobłąkać się trochę, mając nadzieję, że natknie się na Helene. Obiecał sobie, że przede wszystkim musi ustalić, kiedy może do niej zadzwonić, tak by Ernsta nie było w pobliżu, dopiero potem może ją pocałować. Jeśli zaś będzie miał pecha, natknie się prawdopodobnie na Machera zajętego czymś podłym: kradnącego prekolumbijskie dzieło sztuki lub baraszkującego z Suzanne Klein na holenderskim łożu z epoki kolonialnej.

Przerwał zapinanie spodni, by ogarnąć wzrokiem oprawioną mapę świata wiszącą na ścianie. Obie Ameryki usytuowane były dokładnie na jej środku, co powodowało, że inne miejsca ucięte były w połowie lub pojawiały się dwa razy.

Ile zajmie ONZ czy innej wielkiej organizacji zmiana położenia południka zerowego tak, by przebiegał on przez Waszyngton? I dlaczego – Roger spojrzął w lustro – twarze Amerykanów nie robią się tak czerwone jak jego, nawet wtedy, gdy wypiją tyle co on?

Zszedł na dół akurat po to, by zobaczyć Joego kroczącego z pochyloną głową ku jednemu z dwóch kominków, które stały do siebie plecami na środku pokoju. Niósł naręczę drewna. Zrzucił je z wysokości klatki piersiowej prosto do paleniska. Zbierając polana, które wypadły i nie patrząc w górę, rzekł:

– Jeśli ma być tak potwornie zimno, jak twierdzi Grace, to lepiej zrobmy coś zawczasu, by nie zamarznąć na śmierć. Teraz podpałka. Zwykle była tu...

Śledzony bacznie przez Rogera i Pargetera przetrząsał gruntownie szafkę pod oknem w momencie, gdy Grace weszła do pokoju.

– Kochanie, co ty, na Boga, robisz?

– Ponieważ ma gwałtownie nadejść zima, trzeba rozpalić ogień. Przydałby się też poncz lub przynajmniej gorący rum, który mógłby...

– Joe, chyba oszalałeś, kochanie, ugotujemy się wszyscy. Ja nie miałam na myśli...

– W porządku. Otworzymy okna.

– Kochanie, proszę.

Grace stała z załamanymi rękoma, potrząsając głową z gustowną ondulacją na widok męża czołgającego się na kolanach do następnej szafki i walczącego z drzwiczkami. Pargeter zrobił krok w kierunku Rogera, tak jakby nagle bardzo zapragnął porozmawiać z nim o pogodzie. W chwilę później trzaskając i brzęcząc kieliszkami wszedł powoli Strode Atkins. Ich rozdawanie i próby oderwania plastikowej pieczęci z szyjki butelki ginu przy użyciu jednej ręki wyposażonej w ostry nóż spowodowały, że pomysł rozpalenia ognia wyleciał Joemu z głowy.

Helene powróciła w towarzystwie Suzanne Klein, pani Atkins i Machera. Macher opowiadał, i to na pewno od dłuższego już czasu, o swojej książce.

– Ich wielki strach – mówił, gdy Roger zbliżył się do nich – powoduje, że rozsypują po sobie jedzenie. A to, że wyglądają ohydnie i obskurnie, uprzedza o ich stanie. Zatem w tym sklepie ze śmiesznymi rzeczami dla „migaczy” są specjalne swetry z plamami od zupy na...

– Przepraszam – Roger przerwał wywód – co to jest sklep ze śmiesznymi rzeczami dla migaczy?

– To jest sklep ze śmiesznymi rzeczami dla migaczy, tylko chodzi o to, że oni nie wiedzą, że są tam tylko śmieszne rzeczy. Myślą, że jest to normalny sklep z różnymi rzeczami typu... O, przepraszam, panie Micheldene, pan nie słyszał tego, co mówiłem wcześniej. Migacz to ślepy. Użyłem tu bardziej opisowego wyrażenia. Oddaje ono ich ciągle drganie powiek, które nigdy nie są spokojne. Otwierają, zamykają, wywracają – zademonstrował – trą je i tak dalej. W każdym razie w tym sklepie jest wszystko: psy ślepe na jedno oko, kubki na drobne z napisem „Weź jednego”. A naprawdę świetny jest ociemniały kasjer. Na soczewkach są na biało wypisane wszystkie rodzaje hasel: „Kij ci w oko, ty biały dupku” dla murzyńskich migaczy oraz cały asortyment innych... hm: „W cholere ze wszystkimi zajadłymi syfami” albo „Śmierć wszawemu irlandziarzowi” i tak dalej, w zależności od rozłożenia mniejszości społecznych w dzielnicy, z której pochodzi facet. Dalej dla specjalnych klientów jest dział z dziewczynkami. Trójwymiarowe akty, bardzo szczegółowe, za cztery dziewięćdziesiąt pięć, z hasłami jak przedtem. Na plecach jest napis „Won z tymi zagnojonymi rękoma ty migaczu-zbereźniku”, a na brzuchu...

– Czy tego nikt nie ma zobaczyć? – spytała pani Atkins.
– To nie ma być tak jak z rzeczami malowanymi na szkle, które inni mogą...

– W tym cały knyf. Nie wydaje ci się, że tak jest lepiej? W ten sposób ich obraźliwy charakter przyjmuje czystą postać. Nikt nie ma z tego żadnej satysfakcji, wszystko jest robione dla samej rzeczy. Po prostu idea.

Nic więcej. Jak podłożenie w dziecięcym szpitalu bomby zegarowej, która ma wybuchnąć po twojej śmierci. Pragnienie bieżących bodźców związanych z oglądaniem skutków własnej działalności świadczy o słabości i egoizmie. Tak zachowuje się człowiek, zaś ja zajmuję się...

– Chcielibyśmy teraz posłuchać o Zaciemnieniu – rzekła Suzanne Klein.

– Zmieniłem nazwę. Teraz nazywa się to Ślepe Miejsce. Wiesz, Suzanne, lepiej to odłożmy. Może później.

– Co to jest Ślepe Miejsce? – spytała Helene.

– To burleskowa melina migaczy – rzekła Suzanne, śmiejąc się w beztroski, ekstrawertyczny sposób – gdzie striptizerki mają potworne twarze, ale mistrz ceremonii robi z nich okrutne piękności. No dalej, Irving...

– Hm... no gdy dziewczyna z największym zezem i cała w pryszczach rozbiera się, bohater odzyskuje wzrok i oczywiście spostrzega, że ma wszystko: sweter z plamami po zupie, okulary z napisem „Kij ci w oko, ty biały dupku”, przezroczyste majtki...

– Jak odzyskuje wzrok? – spytała Helene z takim zainteresowaniem, jakby słuchała Ernsta.

– Bogowie mu to dają, jak inaczej? Ze współczucia. Oni zawsze tak robią. Pamiętasz to opowiadanie Chaucera, w którym jest ślepy staruch ze swoją gorącą żoną. To jest naprawdę wspaniałe. On...

Roger przestał słuchać dokonywanego przez Machera streszczenia *Opowiadania Franklina*. Macher z każdym słowem zarabiał sobie na coraz silniejszy cios pięścią, ale czas na to jeszcze nie nadszedł. Należało poczekać do północy na ogólne pijaństwo. Trzeba najpierw rozpoznać wroga, zanim się użyje wobec niego przemocy. Roger zamierzał zadać zbijające z tropu pytanie o to, czy wszystko, co Macher opowiadał, miało być śmieszne. Zrezygnował jednak, gdyż jego zmysł taktyczny mówił mu, że Macher jest aż za dobrze przygotowany na takie uwagi.

Zajął się więc obserwacją kobiet. Suzanne Klein, wyraźnie na doczepkę jako dodatek do podłego towarzystwa Machera, sprawiała przygnębiające wrażenie. Choć w pewien sposób wydawała mu się atrakcyjna. Nie tak atrakcyjna jak Helene, ale o wiele za atrakcyjna dla takiego świrniętego i kopniętego wyznawcy tej samej religii. Ładne kobiety preferują kontakty z potworami.

Jak to się więc stało, że Helene nie związała się serdeczniej i mocniej z nim, Rogerem? Naturalnie Roger nieczęsto uważał się za potwora. Jednak nawet pobieżny rzut oka pozwalał stwierdzić, że JWP Roger Micheldene jest trochę potworniejszy niż powiedzmy doktor Ernst Bang. A kłopot polegał na tym, że Helene jak cała reszta kobiet postrzegала rzeczy pobieżnie. To utrudniało ukazanie jej znaczenia takich wartości jak, dajmy na to, intelekt, dojrzałość i indywidualność.

Sporadycznie i przelotnie spoglądał na Helene. To, co widział, sprawiało, że żałował, iż istnieją takie sprawy jak płęć. Zauważył, że jeden lok wykręcił się w odwrotną stronę niż reszta, a biała suknia zdawała się powoli kurczyć w ciągu ostatniej godziny czy dwóch. Jakby powłoka białej farby została rozpylona na ciele Helene, które ktoś potem nadmuchał pompką rowerową. Taka była, udając kobietę, która się świetnie bawi.

Pani Atkins, wręcz przeciwnie, nie miała takich pretensji. Stała zrezygnowana, dzieląc swoją niezbyt baczną uwagę między szklankę z drinkiem a Machera. Jeszcze rzadziej spoglądała na swojego męża, który zaśmiewał się w drugim końcu pokoju. Jej rzeczywiste zainteresowanie ujawniało się w postaci czujności, którą Roger uchwycił w chwili, gdy napotkał spojrzenie jej szeroko otwartych oczu. Ale to, co stanowiło przedmiot jej zainteresowania, było nie do zidentyfikowania. Na widok jej twarzy, z malującym się na niej przygnębieniem, Roger na próżno usiłował ustalić, kogo mu ona przypomina.

Zapowiedziano kolację. Gdy schodzili ze wszystkimi do jadalni krętymi kamiennymi schodami, Strode Atkins potknął się trzy razy, chwytając się dla utrzymania równowagi klap marynarki Rogera. W pokoju okna zasłonięte były firanami w stylu ludowym i paliły się żółte świece w podwójnym, kręconym, cynowym świeczniku. Nad kominkiem stał kawał niebieskawego kamienia, który jakiś Indianin lub Eskimos ukształtował na podobieństwo człowieka. Podstawki pod talerze zamiast edukować gości scenami z wczesnych sesji Kongresu lub mapą Pensylwanii z częścią New Jersey były zrobione z surowego płótna. Zdecydowanie mniej interesowały Rogera niż to, co na nich stało, czyli talerze ze złoconymi brzegami, na których leżały muszle mięczaków wypełnione ciepłym mięsem krabów i okruszynami chleba. Widok jedzenia i myśl, że posiłek nigdy nie sprzyjał romansowaniu w łóżku zrekompensowały jego żal, że znalazł się między panią Atkins a Ernstem i że Helene siedzi w drugim końcu stołu.

Roger zaczął jeść. Na stole, blisko niego stał koszyk przykryty białą serwetką. Jego zawartość stanowiły kawałki ciepłego włoskiego pieczywa przesiąkniętego masłem czosnkowym. Roger zdecydował, że tego jeść nie będzie w momencie, gdy zachłannie je pożerał. Nie udało mu się też wytrwać w postanowieniu, by zjeść tylko jeden kawałek. Na stół spłynął podany przez czarną służącą kurczak smażony na sposób południowy. Wraz z kurczakiem pojawiła się rzepa, świeża cebula – nie było sensu odmawiać jej sobie po zjedzeniu czosnku – kukurydza z masłem. Nożyk do obierania kolb kukurydzy i pędzelek do smarowania masłem podawane były z ręki do ręki. Roger używał ich często.

Kiedy Ernst i Pargeter uświadomili mu już, jakie straszne kursy dostępne są w Budweiser, Roger mógł skoncentrować się najedzeniu. Gdy czekał na nałożenie sobie naleśników z jagodami ze świeżą śmietaną i cheddarem Wisconsin, myśl o diecie musnęła delikatnie jego umysł jak stary wyrzut sumienia. Wiedział, że ograniczenie się w jedzeniu tego, na co miał akurat ochotę, prędzej czy później przyniosłoby mu sukcesy w sprawach seksualnych. Ta myśl przyszła mu do głowy rok temu na balu wydawców, gdzie czyjaś sekretarka stwierdziła, że to, czego od niej chce Roger, ona jest w stanie zaakceptować pod warunkiem, że Roger przyniesie ze sobą blok do podnoszenia ciężarów i wyciąg. Pięć dni później, pijąc pół filiżanki herbaty bez cukru i mleka kończącej lunch złożony z jajek na miękko bez soli, pozbawionej węglowodanów bułki przypominającej puszysty plastik i małego jabłka, uznał, że gdyby do tego doszło, mógłby również z łatwością wprowadzić rygor w kwestii bankietów i onizmu. Teraz zamierzał zjeść drugą porcję naleśników, połykając przedtem trzy czekoladowe miętówki. Na zewnątrz każdego grubasa tkwi jeszcze większy grubas, który próbuje schudnąć.

Kończąc posiłek kawą Gaelic z wysokim czubkiem zmrożonej śmietany poczuł, że jest w stanie przetrwać do śniadania. Ceremonialnie zapalił cygaro, którym poczęstował go Joe. Okazało się ono tylko najzupełniej przeciętnym rodzajem Manili. Trochę za mocno rozgrzewał się ustnik, ale było dobrze zwinięte, bez cholernych brazylijskich liści w środku. Paliło się lekko. Kilka pierwszych centymetrów powinno nawet być dobre. Wymachując zapalniczką i żądając zapalek, Roger nadstawił ucha, by usłyszeć pełną złości wypowiedź Pargetera na temat nowego programu w Budweiser nazwanego „Literatura światowa 108”. Nadstawił drugie ucho, gdy Pargeter rzekł:

– Ach, przy okazji. Mam dla pana wiadomość od Maynarda Parrisha.

– Tego starego głupca. Czego chce?

– Czy on nie jest pańskim przyjacielem? Sprawiał wrażenie jakby...

– Zrobiliśmy wspólnie tę książkę o Melville'u. Nie mogłem wymigać się od spotkania z nim rok temu. Czego chce teraz?

– Pytał, czy nie byłby pan zainteresowany wygłoszeniem wykładu w Klubie Angielskim. W przyszły piątek będzie tam...

– Dlaczego więc mnie nie zapytał?

– Prosił mnie o to. Chce wiedzieć, czy jest pan zainteresowany. Jeżeli tak, to on napisze do pana.

– Hm, rozumiem, ale nie wydaje mi się naprawdę...

– Ach, byłbym zapomniał. Płacą sto dolarów.

– O!

– Parrish myślał o temacie dotyczącym rynku książki w Anglii i Ameryce.

– Uhm.

– Musisz to zrobić, Roger – rzekł Ernst. – Powiedz, że tak. Możesz mieszkać u nas. Przenocujemy cię bez problemów. – Ernst pochylił się żywo ku niemu. – Przyjedź na weekend. Zrobimy przyjęcie. Helene, Helene, kochanie, Roger przyjeżdża do nas w następny weekend. Czy to nie świetny pomysł?

Wybuchając śmiechem i jednocześnie mówiąc coś do Joego, Helene spojrzała na nich z drugiego końca stołu i odrzekła, że świetnie, po czym odwróciła się z powrotem do Joego.

Zatem ustalone – stwierdził Ernst. – Możesz przyjechać z Nowego Jorku po południu. Jest świetny pociąg. I zrób tak, żebyś nie musiał wracać w poniedziałek. Znakomicie. Powiedz Parrishowi, że tak, Nigel. To na pewno będzie cudowny weekend.

4

Podniecenie Rogera z nagłego obrotu rzeczy trwało godzinę lub dwie. Już wcześniej był całkowicie zdecydowany dostać się w jakiś sposób do domu Bangów, nawet jeżeli oznaczać by to miało sforsowanie drzwi. Ale ten nowy sposób był lepszy.

Delektował się wspomnieniem tego, jak przyjął zaproszenie: zaskoczony, wdzięczny, kalkulując, czy jest mu to na rękę. Nawet nie popatrzył bykiem, gdy Joe, czekając, aż miną trzeźwiące skutki posiłku, zaproponował zabawę.

– Zabawę? – spytał zdumiony Pargeter.

– Jest to pewien wariant zabawy – wyjaśnił Joe. – Musisz zgadnąć przysłówek.

– Jakikolwiek?

– Tak. To może być prawie każdy przysłówek, który można pokazać. Wszyscy będą odgrywać przysłówki po kolei.

– Które przysłówki?

– Są takie, które oczywiście się nie nadają. Na przykład „często” i „czasami”. A to też są przysłówki, prawda? Ernst będzie wiedział. Dokąd on poszedł?

– Obawiam się, że będziesz musiał...

Wysłała się kogoś za drzwi – odpowiedziała Grace. – Wtedy reszta decyduje, jaki przysłówek wybiera: „dumnie”, „interesująco” albo „rozpustnie”, jeżeli Joe będzie decydował w kwestii wyboru. Potem wołamy tego, który stoi za drzwiami, a on każe każdemu z nas w taki sposób coś zrobić – wyczyścić lustro lub zapalić papierosa albo nastawić zegarek. A potem zgaduje słowo.

Pargeter zmarszczył brwi.

– Czy można rozpustnie nastawić zegarek?

– Poczekaj. Zobaczysz Joego w akcji. Ostatnio, gdy graliśmy, kichnął dorośle. Zrozumiesz.

Być może Pargeter rozumiał to w zakamarkach umysłu, ale gdy przyszła kolej na niego i zobaczył Strode'a Atkinsa skaczącego po pokoju (dwukrotnie odbijającego się od ściany) energetycznie, Grace składającą szmatkę energetycznie i Suzanne Klein malującą usta energetycznie, był w stanie powiedzieć tylko: „niewiarygodnie”. Zaraz potem powiedzieli mu, o co chodziło.

Następnie przysłała kolej na Helene. W czasie wybierania dla niej przysłówka Roger rozmyślał nad różnymi wariantami zabawy, w której właśnie Helene mogła odegrać specjalny zestaw przysłówek, które on by zgadywał. Poparł więc Joego w wyborze przysłówka „namiętnie”. Ustawivszy się jak najbliżej drzwi, został wybrany czy raczej sam rzucił się za drzwi, by ją zawołać, zanim ktokolwiek zdążył wrzasnąć jej imię.

Stała i patrzyła na grupy studentów w pracowni, gdzie Joe pracował w weekendy – jeżeli pracował w ogóle. Roger pochwyił ją. Biorąc pod uwagę, że spadło na nią stukilowe cielsko pijanego i cuchnącego czosnkiem Anglika, zareagowała słusznie. Dopiero gdy zaczął jej grozić upadek na magnetofon Joego, wyslizgnęła się. I nawet w tak krótkim czasie dowiodła, że świadectwo biegłości w mowie, już raz wspomniane podczas dyskusji nad francuskim, nie było jej dane bez powodu.

Troszkę sapiąc i ścierając gwałtownie ślady pomadki z twarzy, Roger zdołał wykrztusić pytanie, kiedy może do niej zadzwonić.

– Kiedykolwiek.

– To znaczy... Kochanie, proszę, powiedz, kiedy mogę zadzwonić tak, żeby Ernsta nie było w pobliżu.

– A nie możesz teraz mi tego powiedzieć?

– Ja... ja chciałem się z tobą zobaczyć.

Spojrzała na niego i cień zdziwienia pojawił się na jej twarzy.

– Przecież możesz wpaść, kiedy chcesz. A w każdym razie będziesz się ze mną widział w następny weekend.

– Ja chcę się z tobą zobaczyć sam na sam. Cholera, tak żebyśmy mogli... Szybko, kiedy? Kiedy mogę zadzwonić, Helene?

– Chyba powinniśmy już wracać, co?

– O Boże, Helene, kiedy?

– Kiedykolwiek... No dobrze, między 9 a 10 rano. Wtedy zazwyczaj go nie ma.

– Zadzwonię o 9.30 w poniedziałek. Teraz wracaj. Ja idę na górę. Na razie.

Roger miał w sobie teraz tyle werwy, ile na ogół miewał po zjedzeniu czegoś, co stanowiło około pięć procent jego masy. Przy okazji tej wizyty popatrzył na centralnie ułożone Ameryki nieco łaskawszym okiem. Przemawiał za nimi fakt, że właśnie na tym kontynencie miał być razem z Helene.

Wróciwszy, zobaczył Helene spokojnie obserwującą Pargetera, który pouczany przez innych próbował wypić namiętnie whisky z wodą sodową. Roger obiecał sobie, że zademonstruje pełnię własnej namiętności. Skończyło się na czytaniu fragmentu artykułu z pierwszego lepszego numeru „Life”, który był pod ręką.

– Laos jest w oku burzy – zakrakał Roger, wgapiając się w biust Helene – choć tradycyjnie jest to region spokojny. – Przerzywał parsaniem i drzeniem. Nie wyszło to najlepiej.

Po jakimś czasie postanowiono zaliczyć słowo Helene i przysłała kolej na Rogera. Ledwo wyszedł z pokoju, Macher zawołał go z powrotem. To wróżyło źle. Złowieszcze były również uśmieшки na twarzach obecnych.

Roger postanowił uwinąć się z tym szybko.

– Przejrzyj się w ten sposób w lustrze – zażądał od Joego.

Kręcąc tyłkiem, Joe podszedł do lustra nad kominkiem. Klasnął w ręce za głowę. Uśmiechnął się do siebie. Położył ręce na biodrach. Zmarszczył czoło i wyduł wargi. Wilgotnymi palcami wygładził brwi.

– Kobieco – spróbował Roger.

Usłyszał śmiech, zwłaszcza Machera i Suzanne.

– Nie za bardzo – odrzekł Macher.

– Ale nie znowu bardzo daleko – dodał Atkins.

Reakcje były podobne, gdy Grace z pewną manierą zaczęła chodzić po pokoju z wyimaginowanymi piórami do zbierania kurzu.

– Wyniośle – rzekł Roger.

– No, częściowo – stwierdził Atkins.

Na prośbę Rogera Ernst opróżnił w ten sposób popielniczki. Jego ruchy były szybkie i zdecydowane, jego twarz bez wyrazu. Gdy skończył, odwrócił się do niego i grzecznie się uklonił.

– Skutecznie.

– Nie. Idziesz w złą stronę – rzekł Atkins.

– Helene – zakomenderował Roger. Nie mógł już dłużej tego odkładać. – Kochaj się w ten sposób z tą stojącą lampą.

Zastanowiła się przez chwilę. Potem przemaszerowała w kierunku lampy jak żołnierz gwardii. Roger, który teraz mógł zobaczyć Helene od przodu, w pełni docenił tę nieprzewidzianą okazję. Helene chwyciła stojak z brązu w obie ręce. Musnęła symbolicznie wargami abażur. Odwróciła się i poszła na miejsce. Reszta wybuchnęła śmiechem i zaczęła klaskać. Patrzono raczej na Rogera niż na Helene.

– Nie wiem – poddał się Roger – „surowo”, „cnotliwie”, „męsko”? Chyba każdy z was pokazywał inne słowo.

– Powiemy mu, bo inaczej w życiu nie zgadnie.

– No, czemu nie? Dalej, powiedzmy.

Helene spojrzała na Rogera.

– Brytyjsko – powiedziała.

Ich oczy spotkały się. Helene uśmiechnęła się do niego radośnie i przyjaźnie. Poczuł, jak powoli jego głowę, szyję i piersi wypełniać zaczyna ciepłe powietrze. W ten sposób zwykle ujawniała się jego wściekłość.

– Kto to wymyślił? – spytał bardzo powoli. – Ty?

– Nie. Właściwie to był mój pomysł – odezwał się Pargeter.

– Ach, ty. A jaki był dokładnie sens odwołania się do tego pojęcia?

– Słucham?

– Skąd wziął się ten pomysł?

– Wydawało mi się to śmieszne.

– Pozwól zatem, że pogratuluję ci smaku i poczucia humoru.

– Po prostu pomyślałem sobie, że warto zobaczyć, co Amerykanie uważają za iście brytyjskie. Chciałem rzucić nowe światło na to, co o nas myślą.

– Jakie to fascynujące. Nowe światło było niezbędne. Wierzę, że jesteś zadowolony z rezultatów swoich małych badań.

– O tak. Myślę, że było to najbardziej...

– Jednak obawiam się, że będziesz mi musiał wybaczyć, że zrezygnuję z dalszego udziału w twoich socjologicznych dociekaniach. Dobranoc.

Helene zakłopotana zrobiła ku niemu krok i rzekła:

– Roger, proszę.

Zignorował ją. Joe zastawił sobą wyjście.

– Daj spokój, Roger. Przestań się wkurzać. Napij się i nie rozwalaj imprezy.

– Niestety, nie uda mi się zobaczyć, czy moje odejście będzie miało niepomysłny wpływ na dalszy rozwój...

– Gównu, „nie uda mi się zobaczyć, niepomyślny wpływ”. Ten facet głupieje. Reszta zresztą też. To ma być zabawa, cholera. Czego chcesz dowieść? A zresztą. Dobra. W porządku, niech będzie, jak chcesz. Gównu mnie to obchodzi!

Roger wyszedł i stanął przy mansardowym oknie w pracowni. Po jakimś czasie jego obfita pierś przestała falować. Przyjęcie zaś faktycznie zaczynało się rozłazić. Nie kończyło się jeszcze, ale straciło spójność. Do Rogera docierały okrzyki i wybuchy śmiechu z różnych części pokoju. Zauważył, że obok niego stoi pani Atkins z drinkiem w ręku. Kobieta spojrzała na niego uważnie. Wtedy natychmiast uświadomił sobie, kogo tak bardzo przypomina: każdą i żadną dziewczynę z setek tych, na które miał się okazję natknąć w ciągu ostatniego roku. Za sobą usłyszał ciężki oddech Strode'a Atkinsa – stał niedaleko progu pokoju i podnosił właśnie kieliszek do ust. Nagle jakby uderzony w twarz zatoczył się do tyłu, znikając z pola widzenia Rogera. Z holu dobiegł dźwięk ciężkiego ciała upadającego na meble. Zapadła cisza.

Roger odwrócił się w stronę pani Atkins.

– „Out” – rzekł tonem musztrującego sierżanta – czy jak wolisz „oat”.

To, co nastąpiło później, zdarzyło się gdzieś przy basenie. Jeżeli chodzi o następstwa, to była to jedyna rzecz, której Roger był całkowicie pewien, właśnie zdarzenie oraz fakt, że miało ono miejsce. Podobała mu się też ta cała gadanina w trakcie; inaczej niż zwykle.

Dziesięć lub piętnaście minut później, albo równie prawdopodobnie dwie minuty lub godzinę później, stał w świetle padającym z jednego z okien, usiłując zapisać numer telefonu i adres czegoś, co niby miało być sklepem. Zauważył również, że trawa wyglądała nadspodziewanie zielono. Potem pojawił się problem powrotu.

– Wrócisz tędy – powiedział w ciemność. – Ja idę od przodu.

Żadnych kłopotów nie było, oczywiście żadnych tak jawnych, by je zauważać. W tak zwanym przez Joego pokoju do rozmów Roger ze zdumieniem zauważył Atkinsa stojącego na własnych nogach, ponownie trzymającego drinka w ręce i rozmawiającego z Macherem. Taktycznie podszedł od razu do nich. Macher spojrzał na Rogera pobłażliwie.

– Podoba mi się to – rzekł do Atkinsa.

– Kiedy tylko zechcesz, dziecko – odrzekł Atkins. – My prawie tego mieszkania nie używamy. Po prostu wpadnij do biura i weź klucz. – Położył rękę na ramieniu Machera i zwrócił się do Rogera: – Tacy młodzi ludzie potrzebują jakiegoś miejsca w dużym mieście, gdzie mogliby się wykapać, zdrzemnąć, przebrać, wiesz, co mam na myśli? – Mrugnął porozumiewawczo i wykrzywił twarz w grymasie. – Mitch wie, co mam na myśli, co, Mitch? Młodość. Młodości trzeba pomóc, nie Mitch? I nie tylko młodości. Stary Mitch zawsze radził sobie jak mógł. Jestem za tym. Ho, ho! Kiedy w starym Mitchu wzbiera chęć do mordowania, to ho, ho, ho! Co? Stary piernik ten Mitch. Wiesz, Irving, mój stary kumpel Mitch nie jest tak zły, na jakiego wygląda. Trochę sztywniak i formalista, jasne, ale przecież wszyscy mamy jakieś słabości. Co?

– Nieźle się popisał na końcu tej wesołej zabawy. – Macher był całkowicie trzeźwy. – Był dobry.

– W jakim sensie? – spytał Roger, ciskając spojrzenie pełne rosnącej nienawiści.

– Zachował się pan bezmyślnie. Zrobił pan to, co chciał. Należy właściwie stosować to częściej. To działa. A przecież to pański obowiązek.

– Obowiązek? O czym ty, do diabła, mówisz?

– Życie ludzkie jest potworne – stwierdził Macher, jakby trochę ze zmęczeniem, a trochę z humorem wygłaszał oczywistości. – Zatem jedyne, co można zrobić, to właśnie robić to, co się chce zrobić. Wszystkie środki są usprawiedliwione, jeśli robisz to, co chcesz, włącznie z morderstwem.

– I to rzekomo ma być nowość? – Roger pochwycił samotnego drinka i zaczął pić.

– Kogo to obchodzi, czy to jest nowe czy nie. Czy ma znaczenie, czy to jest dobre czy nie. A to jest dobre.

– Bardzo bym nie chciał żyć w takim świecie.

– Ale właśnie w takim pan żyje. Po prostu nie zdaje sobie pan z tego sprawy.

– Założę się o jakąkolwiek sumę, że jestem takim samym egoistą jak ty, ale muszę przyznać, że nie rozumiem, po co z tego tworzyć od razu filozofię.

Macher odrzekł przyjaźnie:

– Całkowity nonsens. Nie chodzi tu o wypracowywanie poprawnego opisu sytuacji i wywodzenie planu naprawy. Jeżeli przez tydzień nie pada, to podlewa się trawę, która potrzebuje wody. I nie można nazwać tego egoizmem w tym sensie, jaki ma pan prawdopodobnie na myśli. My wszyscy zadajemy się z ludźmi, których lubimy i kochamy. Naszym obowiązkiem jest kraść, oszukiwać, kłamać i używać przemocy, ilekroć bezpieczeństwo tych ludzi jest zagrożone.

– O, mamy tu następnego gościa z za morza. – Atkins odszedł pełen zdumienia i obrzydzenia po wysłuchaniu początku wypowiedzi Machera. Teraz wrócił w towarzystwie Pargetera, który do tej pory siedział w dębowym fotelu z twarzą ukrytą w dłoniach. – Już tęsknisz do domu, chłopcze?

– Jezus, w życiu! – prawie wrzasnął Pargeter. – Tęsknić za tym cholernym, ohydny syfem?

– No, ten stał się już jednym z nas – stwierdził Atkins promiennie.

– Jak się nazywasz? – spytał Roger. – Pargeter czy jakoś tak?

– Nigel Pargeter.

– No, Pargeter. Chyba się nie rozumiemy.

Macher zaśmiał się.

– Przyznał, że niby go nie rozumie. To nie w pańskim stylu, panie Micheldene. Poważnie, ma pan kłopoty z komunikacją, prawda? Rodzaj powracającego problemu.

Roger zignorował go.

– No dalej, Pargeter. Co to znaczy, że Anglia jest cholernym, ohydny syfem?

– Jestem pewien, że dla pana jest w sam raz, JWP Micheldene z pańskim przesadnym akcentem i... Nie dla takich biednych skurwysynów jak ja przecież. Dystynkcje klasowe, królowa, arcybiskup Canterbury, telewizja, Eton, zamożne społeczeństwo i materializm, i...

– Pargeter! Jesteś jednym z tych małych wstrętnych...

– Bez wartości i poczucia...

– Wybrałeś sobie świetne miejsce w tej ucieczce od materializmu i bogatego społeczeństwa, co, Pargeter? Dystynkcje klasowe. Chyba tak sądzisz dlatego, że nie ma tu wokół żadnego księcia i wszyscy się ze sobą zadają. Kompletne złudzenie. Kiedy królowa i księżę Filip byli tutaj i przejeżdżali przez Nowy Jork czy Waszyngton, zostali o wiele lepiej przyjęci niż ten pieprzony generał MacArthur. Popularniejsi niż narodowy...

– Nieprawda. O wiele mniej popularni – wtrącił Macher.

– A dokładnie o całe trzy czwarte lub cztery piąte.

– Naprawdę podziwiam tę iście amerykańską wiedzę ścisłą w każdej dziedzinie – rzekł z zadowoleniem Roger. – To znaczy, że umiesz mierzyć popularność, co?

– W tym przypadku tak. Gdy te procesje przechodziły, ludzie wyrzucali taśmy telegraficzne i podobne rzeczy na...

– Taśma telegraficzna? Co to...

– Przepraszam, panie Micheldene, ale niezależnie od tego czy to się panu podoba czy nie, to nazywa się taśma telegraficzna. I po sprzątnięciu miasta służba oczyszczania zważyła zebraną taśmę. Zapomniałem, o ile chodziło ton i gdzie widziałem dane, pamiętam w każdym razie, że na cześć pańskiej królowej razem z tym księciem wyrzucono tylko jedną czwartą czy jedną piątą tego co na pieprzonego, tu się zgadzam, MacArthura.

Pargeter, który od dłuższego czasu usiłował dojść do głosu, wtrącając rozmaite półsłówka, zaczął w końcu mówić w chwili, gdy Roger zamilkł, nie znajdując stosownej odpowiedzi.

– Chryste! – zawył do Rogera. – Chyba nie sądzi pan, że taki stosunek będę miał do Stanów. Myśli pan, że ja nie wiem, że tu wszystko jest jeszcze gorsze niż w Anglii? Te cholerne pozłacane kurki od wanny i Towarzystwo Johna Bircha, i napady w Central Parku, i antysemityzm w klubach golfowych, Little Rock i Las Vegas, i Vassar, i no... Gdyby to był mój kraj, to bym po prostu...

Podstępna zmiana na froncie była korzystna dla Rogera, ale Atkins rzekł błagalnie:

– Mitch, posłuchaj. – Zbliżył twarz do Rogera i objął go ramieniem. Drugą ręką uciszył Pargetera. – Mitch, chciałem cię o coś zapytać. Dlaczego nas nienawidzisz?

– Nienawidzę was? O co ci chodzi? Ja chciałem...

– Dlaczego nas nienawidzisz? Bo tak jest, prawda? Wy wszyscy nienawidzicie. Dlaczego? Dlaczego? Co wam zrobiliśmy? To nie my chcieliśmy być panami świata. To było ostatnie, czego chcieliśmy. Nigdy nie byliśmy imperialistami. A stale nas nienawidzicie. Dlaczego? Nigdy nie byliśmy kolonistami. A wy stale...

– Naprawdę? – Roger zaskoczył na nowo. Tym razem szybciej, by uniknąć zniewagi, jaką byłoby wsparcie Pargetera. – Nie byliście imperialistami i kolonialistami? A co z wojną meksykańską i hiszpańską? A dlaczego w takich miejscach, jak Kalifornia, Arizona, Floryda, Puerto Rico i innych jest tyle obco brzmiących nazw? A Południe? Tylko dlatego nie zostało nazwane kolonią, bo pozostało w obrębie...

– Mitch, Mitch, Mitch – Atkins przerywał stopniowo wywód Rogera. – Jestem strasznym anglofilem. A ty próbujesz mnie zmienić.

– Nikt cię nie może zmienić, ty tępy gnojku – rzekł Roger.

Atkins puścił Rogera, wzruszył ramionami chwiejąc się na nogach.

– Nie, chyba nikt – rzekł. Wpatrzony w podłogę uśmiechał się szeroko. – Nie. W tym względzie masz, Mitch, rację.

Roger podniósł głowę i napotkał spojrzenie Helene. Było utkwione bezpośrednio w nim. Po raz pierwszy tego wieczora. Pogardliwe. Wyszła z pokoju. Roger podążył za nią.

– Co się z tobą dzieje, Roger? Chory jesteś czy co? Obrażasz tego miłego człowieka. Czemu ty zawsze jesteś taki? Boże, jakie to straszne. Chyba z tobą skończę. Nie zniosę tego dłużej. Dlaczego się tak zachowujesz?

– Masz czelność pouczyć mnie, jak się zachowywać, po tak doskonale ohydny występ wcześniej? Obraziłaś mnie i mój kraj w obecności wszystkich. Najbardziej niedorzeczne...

– Roger, jesteś nienormalny czy co? Oszalałeś? Nie rozumiesz żartów. Gdzie się podziało to świetne brytyjskie poczucie humoru?

– Ha, jeszcze lepiej. Dunka wykładająca zasady poczucia humoru. Mów dalej...

– Nie jestem Dunką, do cholery. Jestem Amerykanką.

– To kwestia punktu widzenia, kochanie. – Ernst podszedł pogodnie ze szklanką mleka w ręce. Wyglądał tak, jakby wyszedł właśnie spod prysznic po porannym biegu. – Nie będziemy teraz tego dociekać. Czy coś mnie ominęło, Roger? Jakież rękoczynny?

– Wszystko, poza tym – rzekła Helene, patrząc z wściekłością na Rogera. – Chodźmy do domu Ernst. Jeżeli tego nie przerwiemy, zaraz się tu wszyscy pozarzynają.

– No tak, późno już. Co, Roger, w twoim towarzystwie sprawy zaczynają się psuć? Nie ma spokoju, nie?

Roger ochłonął dopiero, gdy stanął w swojej sypialni, próbując zawiązać pasek swojej pomarańczowo-czarnej jedwabnej piżamy. Wychodzący goście nie dali mu szansy zbliżenia się do Helene. Ponuro wyobrażał sobie nadchodzący poranek, wypełniony przeprosinowymi telefonami. W tym momencie do jego drzwi zapukał Joe. Niósł grubą tekturową teczkę.

– Powieść młodego Machera – powiedział. – Pomyślałem, że może będzie ci brakować nocnej lektury.

– Jak rozsądnie z twojej strony.

– Chyba miałaś niezłą potyczkę ze Strode'em?

– Nieznośna Świnia.

– Tak. Jego czasem trudno jest znieść. Ma swoje kłopoty. Jak wszyscy. Ale aż tak bym go nie lekceważył, Rog. Jest z niego naprawdę bystrzak.

– Bystrzak? Chyba żartujesz. Ten człowiek to kretyn.

– Wiem, ale on naprawdę wielu rzeczy nie pokazuje. Te rękopisy. Teraz tym się tylko zajmuje. Agencja zeszła na drugi plan. Cały ostatni rok...

Wiem trochę o tym drugoplanowym zajęciu. Tkwi nad rękopisami powieści mojego szwagra od Bóg wie jak długiego czasu. Muszę to od niego jakoś wyciągnąć.

W tej chwili tak przynajmniej Roger zamierzał zrobić. Od momentu gdy wszedł na górę, myślał sporo o Pameli i możliwości porozumienia.

Tymczasem pełen amerykańskiej energii czy amerykańskiej niezdolności do odpoczynku Joe rozsiadł się u Rogera i otworzył nową paczkę papierosów. Kilka sekund trwało, zanim po wściekłym grzebaniu w paczce zdołał wyciągnąć pierwszego papierosa. Zaczął:

– Mówi się, tak między nami, że Strode położył łapę na notatkach Swinburne'a. Nie bardzo to było legalne. Trzech facetów z Anglii twierdzi, że należą one do pewnej biblioteki, ale nie wiedzą, gdzie ich szukać. Podobno Strode czeka, aż afera ucichnie, by posłać to komuś, kto lubi takie rzeczy. Wiesz, chłostanie i te sprawy.

– Wiem. – Roger, stojąc tyłem do Joego, zakończył właśnie jawne wcieranie odżywkki we włosy, a teraz pieczołowicie wklepywał tonik w skórę pod oczami.

– Chłostanie nigdy nie wydawało mi się dobrym pomysłem – stwierdził Joe z pewnym zdziwieniem. – Może co innego, ale nie chłosta. Raz czy drugi myślałem sobie, będąc na haju, że chciałbym tego spróbować. Ale, Boże, chyba za pierwszym uderzeniem bata przez mój nagi tyłek miałbym już zupełnie dosyć. Czy byłeś kiedyś chłostany, Rog?

– To nie w moim stylu, stary.

– Mówi się, że Swinburne zasmakował w tym już w szkole podstawowej. W brytyjskich szkołach tego dzieciom nie odmawiano, co? To interesujące. Podstawowa psychologiczna sytuacja polega tu na przemieszaniu idei płci z koncepcją przemocy; czułości wyrażającej się w okrucieństwie, prawda? Wiesz, że dla wielu ludzi jest to bardzo brytyjskie i zastanawiam się, jak dalece...

– Drogi Joe, nie chciałbym być niegrzeczny, ale jestem bardzo zmęczony, a muszę wstać wcześniej. Może więc moglibyśmy skończyć naszą...

– Jasne, Rog, jasne, zapomniałem. No, to do zobaczenia przy śniadaniu. Dobranoc.

Roger nakręcił i nastawił swój budzik i postawił przy łóżku. Potem ukląkł na dywaniku w biało-czarne paski. Przeżegnał się i wymamrotał:

– *In nomine Patris, Filii, et Spiritus Sancti.* Zobacz teraz, nie jest dobrze. Wiesz jaki jestem, a jednak stale mnie jeszcze męczysz. Wszyscy ci ludzie, wiesz to tak samo dobrze jak ja, są takimi typami, których nie znoszę. Dlaczego pozwalasz istnieć takim jak Atkins, Macher czy takim zidiociałym kretynom jak Pargeter, jeśli nie chcesz, bym się złościł? Jeżeli facet zaczyna mówić pretensjonalnie jak kogut co... – Świadom tego, że jego głos stał się donośniejszy, umilkł i kontynuował mamrocząc: – A dlaczego sądzisz, że trzeba mi pokazywać, jak jeden grzech prowadzi do drugiego? Wiedziałem to już, jak miałem trzynaście lat. Ta sprawa z panią Atkins dziś wieczorem to było złe i ja niniejszym żałuję i proszę o wybaczenie. Ale nie zrobiłbym tego, gdybyś mnie nie rozzłościł. Nie ułatwił mi wkurzenia się. Gdybym poczuł z twojej strony choć ślady powściągliwości, byłbym twardszy. A Helene. Wiem, że cała ta sprawa jest grzeszna i nie powinieneś pozwalać mi popełniać grzech. Ale czy nie pozwoliłbyś mi na małą randkę? Gdybym tylko miał okazję, postarałbym się wszystko uporządkować: zabrać ją i ożenić się albo zerwać na zawsze. Obojętnie, co się stanie, nie zamierzam kontynuować tego w obecnej postaci. Bo jest to zło, zgadzam się. Proszę tylko o jedno: daj mi tę szansę. Na Boga, chyba wiesz, jak bardzo tego pragnę. – Roger nie podnosił się z klęczek jeszcze przez pół minuty. Potem dodał półgębkiem: – A niezależnie od tego, co sądzisz, ta

powieść Machera nie jest dobra.

Podniósł się z wysiłkiem, strzelając rzepkami w kolanach. Za oknem odezwał się ptak brzydkim, obcym głosem. Jakaś sójka czy coś podobnego żyjącego w tym regionie. Położył się, pociągnął kołdrę, która jak zawsze wciąż zjeżdżała w dół. Jaką cenę musi płacić Joe, by mieć coś takiego na swoim łóżku, pomyślał Roger, i wobec tego jak nieuchronna była jego odmowa zamienienia tej kołdry na inną, mniej śliską. To byłoby oszukiwanie przeznaczenia.

– Chwytając kołdrę jeszcze raz, Roger wyszedł z łóżka i poczłapał do szafy, gdzie wisiała jego marynarka. Wyciągnął z kieszeni plik czeków podróżnych i wpatrywał się w gryzmoły na nich. Plaza Restaurant 13.00. Wtorek. Boże, co to jest? Aaa, nie, nie, dzięki, przypomniał sobie, fagas z Doubleday. O tu: Miranda, Fothergill Street, Ammanford, W Alnut 6-4077. Przynajmniej wyglądało, że to to: zarówno treść, jak i (prawie nie do odczytania) pismo. Ale jak ta kobieta miała na imię? I jaką miała twarz?

5

– Roger, muszę już iść. Puść mnie.

– Bzdura.

– Roger, chciałabym już wstać. Muszę. Pozwolisz mi?

– Dlaczego, na Boga, miałbym to robić?

– Słuchaj, powiedziałam ci już, że będziemy mieć gości na koktajlu wieczorem. Właśnie sobie przypomniałam, że skończył się wermut i może zabraknąć bourbona. Muszę zadzwonić do sklepu z alkoholem przed trzecią. Jeżeli tego nie zrobię, to nie przywiozę mi zaopatrzenia aż tutaj, tak daleko od miasta. A już jest za piętnaście trzecia, więc jeżeli...

– Więc nie ruszaj się przynajmniej przez dziesięć minut.
Kochanie...

– Dlaczego nie możesz być rozsądny?

– Bo nie chcę.

– Ale będziesz musiał. Nie zajmie mi to więcej niż dwie minuty i zaraz wracam.

– Będę liczył. Ostrzegam, liczę.

– Licz. A teraz gdybyś...

– Pocałuj mnie.

– Boże...

– Żegnasz się ze mną. Na dwie minuty. Nie dłużej.

– Dobrze. Idę. Nie zaczynaj od początku.

– Czy mogę pójść z tobą i pomóc ci telefonować? Jestem w tym dobry.

– Może tak, ale teraz zostaniesz tu. Tak będzie szybciej.

– No, w takim razie myślę, że prawdopodobnie masz słuszność. Jeszcze mały...

– Roger, naprawdę...

Skoro tylko Roger uwolnił ją, Helene zeskoczyła z jego kolan, przeszła przez drzwi kuchenne, czesząc pospiesznie rękoma włosy. Roger obserwował ją i ogarniało go zadowolenie, częściowo z powodu nadspodziewanych korzyści ze swojej otyłości. Tak szerokie i głębokie kolana mogły pomieścić dziewczynę o wiele tęższą niż Helene. Nadawały się dla każdej wagi i wielkości. A kolana są dobrym miejscem do posadzenia dziewczyny. Z jakiegoś powodu czuje się ona tam bezpieczniejsza, mimo że nie jest. Poza tym w samej koncepcji kolan jest coś pańskiego.

W tej chwili jego brzuch bardziej niż zwykle wylewał się na kolana, gdyż z jego wewnętrznej strony kotłowały się kraby w skorupkach, fasolka i oberżyna, podwójna porcja jabłeczniaka z bitą śmietaną, dużo pumpernika z masłem i butelka nowojorskiego szampana. Przy wyborze tego ostatniego Roger nigdy nie sprawiał kłopotów, był bardzo tolerancyjny, a zabawny w zamieszaniu związanym z burgundami szlchetnego pochodzenia i smaku. Jeżeli jakiś alkohol upijał go, nie powodując wymiotów na miejscu, gotów był uznawać go za swój ulubiony trunek. Po skończonym posiłku towarzystwo było więc na ogół mile usposobione, gdy Roger żądał wszystkich rodzajów cygar, jakie były na miejscu, wybierał trzy, zapalał jedno, po czym wszystko odsyłał i sięgał po swoją tabakierkę.

Dzisiejsza demonstracja z cygarami w Queen's Tavern była bardzo skromna. Nie było nikogo, przed kim można byłoby się popisać, poza kilkoma jedzącymi lunch i Helene. A nadzieja na zrobienie na niej wrażenia w tej materii była nikła. Nie była w stanie zapomnieć – kto mógłby – jak w hotelu Codan, Roger patrząc boleśnie kelnerowi w oczy, wykruszył, po kilku dymach, cygaro Corona Corona za 17 koron 50. Następnie szeptem wyjaśniał bez żalu, że ze względu na nieuwagę ze strony wytwórcy, liść, w który owinięte było cygaro, pokruszył się i główka cygara – koniec, który wkłada się do ust – nie była dobra. Mówiąc, czuł napływające fale energii. Przy siódmej z kolei fali, z uśmiechem oparł się gorliwym namowom kierownictwa na wszystkie kuszące go cygara (wiedząc, że urągający jego smakowi chwast, nie pojawi się na rachunku).

Jednak pomimo kiepskich cygar lunch był dobry. Mankamentem była jego pora, bo żeby odwieźć Helene z powrotem do Bangów, tak wcześnie jak to byłoby możliwe, trzeba było rozpocząć lunch w południe albo nawet już o jedenastej. Niestety, Helene poinformowała go przez telefon, że jest umówiona na masaż szwedzki na 10.30, a potem musi zrobić zakupy w supermarkecie i nie będzie na stacji wcześniej niż o 12.30. Mając do wyboru pociąg, który jest na miejscu o 11.53 i taki, który przyjeżdża o 12.44, zdecydował się na ten wcześniejszy i bardzo był uszczęśliwiony, widząc ją na dworcu o 12.50. Nie mógł wmusić w nią niezbędnych dwóch martini w czasie krótszym niż piętnaście minut. Zaś posiłek, jak to posiłek, należało zjeść ze spokojem. Przewidując powrót ze szkoły tego potwora Artura na czwartą, mieli do dyspozycji mieszkanie przez godzinę.

Roger uświadomił sobie, że Helene przestała już rozmawiać, ale nie wróciła do niego. Zamiast tego dobiegły go odgłosy typowo kuchenne: zastawa, sztucce, trzaskanie szufladami i szafkami. Kawa. Jakie miłe, ale jak wyraźnie postponujące.

Przeszedł przez pokój, patrząc przez olbrzymie okno, przez które padało dziwnie mało światła. W odległości około trzydziestu metrów wzdłuż pasa drzew iglastych poruszał się bez żadnego skrępowania mały jelen. Widok ten rozżłościł Rogera. Nie miał pojęcia, jak właściwie Amerykanie mieliby traktować swoją faunę, ale nie miałyby nic przeciwko temu, by ograniczyli wieszanie reprodukcji Audubona, gdzie popadnie i z mniejszym podnieceniem podchodzili do udomawiania wielu gatunków w obrębie własnych granic. Powód był prosty: każdy głupiec, który zostaje właścicielem połowy kontynentu, ma zamiar zostać panem ptaków, ssaków itd. Powinni już z tym skończyć.

Nie żywiąc przyjaznych uczuć do amerykańskiego jelenia, Roger stanął na progu kuchni i próbował rozglądać się przekornie (miejsce to miało służyć wspólnocie, wobec czego nie posiadało drzwi).

– Co ty robisz? – spytał trochę żartobliwie, a trochę złowieszczo.

Odwróciła w jego stronę swoją nie uczesaną głowę. Była lekko zdziwiona. Robiła coś, co nie miało nic wspólnego z parzeniem kawy. Zawijała małe paczuszki ze słodyczami i orzechami w pomarańczowy papier.

– Muszę to zrobić – wyjaśniła.

Podszedł do niej.

– Co? Co zrobić?

– Dziś dzieci będą chodzić po domach. Muszą dostać...

– Co?

– Roger, dziś jest Halloween. My zawsze...

– Co z tego?

– Muszę to przygotować... – W tym momencie Helene, cofając się przed Rogerem, utknęła między rzędem domowych urządzeń. Potem szczepieni prześlizgnęli się wzdłuż gładkich drzwi lodówki wielkości człowieka i zatrzymali się przy zmywarce do naczyń bądź suszarce. Przez mniej więcej minutę panowała względna cisza. W końcu Helene powiedziała: – Państwo Selby mogą nas zobaczyć przez podwórko. Nie powinniśmy...

– Dobra. Wróćmy i siądźmy.

– Ale muszę skończyć zawijanie...

– Później. Niezależnie od tego, co to jest, nie obchodzi mnie to. Później.

Chwycił ją wprawnym, policyjnym ruchem typu „proszę ze mną” i poprowadził na miejsce w dużym pokoju. Po chwili zaczęła się opierać.

– W porządku, kochanie – rzekł Roger.

– Nie, nie jest w porządku.

– Nie bądź niemądra. Jest w porządku.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek osiągną ten stan, kiedy zbyteczne będzie uwodzenie jej *de novo* za każdym razem. Zawsze było warto, ale wizja niesprecyzowanej serii wstępów ani nie przedłużających, ani nie skracających całego procesu – zaczęła go już zniechęcać i niepokoić. Co takiego robił, czego nie powinien był robić? A czego nie robił, co powinien? Był pewny, że ani na moment nie zboczył z toru standardowej procedury, która normalnie stawała się niepotrzebna już po pierwszym razie. Gdzie tkwił błąd w tym przypadku? Czy Ernst zasypywał ją kwiatami, drinkami, obiadami, przemówieniami, spełniając swe obowiązki małżeńskie?

– Chodźmy do łóżka – zaproponował Roger.

– Nie, Roger.

– Dlaczego nie?

– Nie możemy.

Jej ton był zdecydowany, a nie jak zwykle ociągający się.

– Dlaczego nie? – powtórzył pytanie Roger, szczerze zaintrygowany.

– Po prostu nie możemy. Artur może przyjść w każdej chwili.

– Ale jest dopiero piętnaście po trzeciej. Ma przyjść o czwartej.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

– W każdym momencie.

– Ale mówiłaś przez telefon...

– Mówię, że jest Halloween.

– A co to ma, do cholery, z tym wspólnego?

– Wypuszczą ich pewnie wcześniej ze szkoły. Tak żeby mogli przyjść do domu i przebrać się na wieczór.

– To czemu mi, do diabła, tego nie powiedziałaś? Boże, Helene.

– Nie bądź zły, kochanie. Proszę... W poniedziałek powiedziałam ci, że Artur przychodzi o czwartej. I zawsze tak jest. Jak zadzwoniłeś dzisiaj i byłeś tak zapalony do przyjazdu, to po prostu nie miałam czasu powiedzieć ci, że dziś nie jest zwykły dzień. To wszystko.

– O Boże, gdybym wiedział...

– Gdybyś wiedział to co?

Roger myślał, przelękając ciężko.

– Słuchaj. Jesteś pewna, że kończy dziś wcześniej?

– Absolutnie. Zostałam poinformowana.

– O ile wcześniej?

– Nie wiem, ale co to ma za znaczenie?

– Zadzwoń do szkoły i dowiedz się.

– Dobrze – rzekła Helene, wstając z ociąganiem. – Zadzwonię do szkoły.

Portierka, bardzo miła, nie wiedziała nic. Helene z trudem zdołała odłożyć słuchawkę, zanim Roger zażądał rozmowy z kimś kompetentnym.

Stając z nią twarzą w twarz, w kuchni, wytarł wargi wierzchem dłoni i spytał:

– Czym wraca do domu?

– No, mamy taką wspólną taksówkę.

– Wspólną taksówkę? Mów po angielsku Helene.

– Wszystkie matki z tej ulicy, na zmianę. Raz lub dwa razy w tygodniu jedna z nas zabiera dzieci do szkoły taksówką i odbiera je.

– Na kogo wypada dziś kolej?

– Czekaj... Chyba Sue Green. Ale, kochanie, zobacz, nawet jeśli...

– Zadzwoń do niej i spytaj, o której kończą.

– Ale raczej nie będziemy mieć więcej niż...

– Zadzwoń!

Helene popatrzyła na niego pusto i wykręciła numer.

– Halo? Halo. Linda? Cześć, kochanie, mówi Helene. W porządku, dziękuję. Słuchaj, jest mama? Ach tak? Nie, nie, nic. Do zobaczenia. Pa. – Zwróciła się do Rogera: – Sue już wyszła.

– To wiem, ale jak dawno? To znaczy... Boże... czemu nie zapytałaś?

– Linda Green ma cztery lata – odrzekła Helene.

– Co? Przecież musi być ktoś jeszcze w tym domu!

Helene potrząsnęła głową, nie zaprzeczając wyraźnie i odwróciła się. Kładąc rękę na jej ramieniu, Roger odwrócił ją z powrotem do siebie.

– Kobieto, nie próbuj się ze mną bawić. Posłuchaj, co ci powiem. W co ty ze mną grasz? Jak myślisz, po co przyjechałem tu dzisiaj, tracąc cztery godziny w pociągu i cały czas tutaj? Żeby zjeść z tobą lunch, siedzieć i trzymać cię za rękę? Otóż nie. Przyjechałem po to, by pójść z tobą do łóżka. Ale zdaje się, że wobec niefortunnego przeoczenia z twojej strony nie będzie mi to dane. To oczywiście w najmniejszym stopniu nie wpływa na twoje dobre samopoczucie. Wręcz przeciwnie, w rzeczywistości znam cię i wiem, o co ci chodzi. Wyglądasz lubieżnie, ale absolutnie taka nie jesteś. Nie masz w całym ciele ani odrobiny grzesznej ludzkiej zmysłowości. Ale chcę ci powiedzieć, że istnieją gorsze grzechy niż lubieżność. Ciebie ogarnęła duma. Zżera cię. Duma i pragnienie władzy. – Zauważył, że choć jej oczy nadal były puste, usta rozchyliły się lekko i oddychała szybko. – Jesteś zimna! – krzyknął, a po chwili dodał zbolalym głosem: – Kocham cię, Helene. – Takie deklaracje mogły, w jego przekonaniu, tylko pomóc, a w najgorszym razie na pewno nie wyrządzały szkody.

Helene objęła go i przytuliła na chwilę jego głowę do swojej piersi. Potem poruszyła się gwałtownie i zrobiła krok do tyłu. Roger podążając za jej wzrokiem zobaczył istotę przypominającą Zulusa, wzrostu metr dwadzieścia, w koszulce, dżinsach, wyraźnie obserwującego ich przez okno.

– Jezus! – wykrzyknął Roger.

– To Jimmy Fraschini – wyjaśniła Helene uśmiechając się do chłopca i machając ręką.

Postać odkiwnęła, odwróciła się i uciekła.

– Ten już włożył swoją maskę. Reszta pewnie zaraz przyjdzie. Helene, trzymając Rogera za ramiona, stanęła blisko niego. Nie było to w jej stylu. Powiedziała powoli: – Wiesz Roger, gdybyś tylko mógł być troszkę...

– Mniej kłopotliwy? Mniej nachalny? Szczuplejszy, młodszy?

– Nie. Nie tak... wściekły. To przeraża mnie prawie na śmierć. A co do dzisiejszego dnia, to mylisz się całkowicie. Ja po prostu nie pomyślałam.

Roger nie zwracał uwagi na jej usprawiedliwienia. Myślał, jak bardzo charakterystyczne było to, że dzisiejsza popołudniowa porażka wywołana była przymierzem Artura ze Stanami Zjednoczonymi. Jedno należało ustalić natychmiast. Ale w chwili gdy otwierał usta, by to powiedzieć, Helene przerwała i odwróciła się, by wyłączyć kuchenkę. Ich uszu dobiegł głośny, zawodzący skowyt, nieodpowiedni jako akompaniament do rozmowy o godności. Trwał przez jakiś czas. Gdy ucichł, odgłos samochodu, tupot małych nóg i trzaśnięcie drzwiami uświadomiły Rogerowi, że coś wrednego wchodzi mu w drogę. Spojrzał na zegarek. Była punktualnie czwarta. Ogarniająca go furia spowodowała, że poczuł się o kilka kilogramów lżejszy. Stanął w obronnej postawie przy lodówce.

6

Mały chłopiec lub coś, co go przypominało, wbiegł do pokoju. Miał na sobie kurtkę na zamek błyskawiczny z dużym, luźnym kołnierzem i innymi dodatkami pasującymi do dziecka przynajmniej dwa razy starszego, jeżeli w ogóle do człowieka. Krótko przystrzyżona głowa nadawała mu frywolny wygląd, który nie współgrał z rumianą twarzą o wyrazie patrycjuszowskiej godności. Z akcentem bardziej amerykańskim niż Roger mógł przypuścić, Artur – bowiem był to on – zwrócił się do niego:

– Czy przybył pies stepowy?

– Jeszcze nie, kochanie, może jutro – odrzekła Helene, jakby pytanie skierowane było do niej. – A teraz przywitaj się z panem Micheldene'em. Pamiętasz go, prawda?

– Tak – rzekł Artur w zamyśleniu. – Pamiętam go.

– Cześć, Arturze. Jak się masz? Trochę urosłeś od czasu, kiedy cię ostatni raz widziałem w...

– Czy tata jest w domu?

– Poszedł do college'u, ale szybko wróci.

– Czy on już tu długo jest?

– Pan Micheldene właśnie wpadł. Odwiedzał słynnego pisarza, który mieszka tu w okolicy.

– Yhm. Mogę dostać koktajl mleczny?

– Jasne, i kanapkę z indykiem. Czy to ci na razie starczy?

– Chyba tak. Czy on tu zostanie?

– Nie mów „on”, kochanie. Pan Micheldene mieszka w Nowym Jorku. Po prostu wpadł z wizytą. A teraz idź, przebierz się i włóż maskę, żebyś był gotowy.

Odwracając wreszcie wzrok od Rogera i spoglądając na matkę, Artur spytał:

– Muszę się spieszyć?

– Dlaczego? Nie, skarbie, ale chyba chcesz być gotowy, gdy przyjdą twoi koledzy, prawda?

– Zjem najpierw kanapkę.

– No to już.

Artur usiadł na stołku kuchennym i pożerał kanapkę ze szczególną zajadłością, gwałtownie szarpiąc kawałki chleba i żując je. Już nie badał wzrokiem Rogera, po prostu patrzył na niego. Helene odwrócona do nich plecami zajęta była ubijaniem czy ucieraniem czegoś. Roger zdecydował się powiedzieć coś do Artura, choć nie to, na co miał ochotę. Kiedyś, kiedy Artur strzelił ze swojego pistoletu na kapiszony kilka centymetrów od głowy Rogera i innym razem, gdy Roger znalazł w swojej rękawiczce z wełny jagnięcia na pół ujedzonego cukierka, powiedział kilka takich zdań do Artura i o Arturze, które Helene mogła uznać za dowód niecierpliwości lub nawet niechęci. Teraz była dobra okazja, by zatrzeć to wrażenie, jeżeli faktycznie ono istniało. Po krótkim namyśle Roger odezwał się:

– Fajnie było dziś w szkole?

Artur rozważał jakiś czas pytanie Rogera, nie dbając o odpowiedź, analizując zaś w sposób charakterystyczny dla swojego ojca fonetyczną i syntaktyczną strukturę pytania. W końcu rzekł:

– Taa, w porządku.

– Jakie miałeś lekcje?

– Wszystkie.

– Na przykład?

– Słucham?

– Miałeś arytmetykę?

– Nie. – Artur nie miał jeszcze do końca zaplanowanego dnia w chwili, gdy przełknął kanapkę, pochylił się ku Rogerowi i spytał: – Zagrasz ze mną w *scrabble*?

Zanim Roger zdążył zaczerpnąć tchu, Helene wtrąciła:

– Zagrałbyś, Roger? Ja muszę umyć głowę i przygotować się, a później nie będę miała na to czasu.

W ten sposób Roger znalazł się naprzeciwko Artura w dużym pokoju. Między nimi stała szewska ława, przedmiot z wieloma bezużytecznymi szufladami i przegródkami, z okrągłymi skórzanymi wstawkami, na której dawno nieżyjący ostatni szewc siadywał, by znaleźć wytchnienie. Tu została ułożona plansza do *scrabble* i gra rozpoczęła się.

– Myślałem, że będziesz zbyt podekscytowany, żeby bawić się ze mną – rzekł Roger z uśmiechem.

– Dlaczego miałbym być podekscytowany?

– No, te wszystkie literki do poukładania w słowa, liczenie punktów to raczej trudne zadanie, prawda? Wymaga myślenia i tak dalej.

– Taa, wiem. Ale czemu miałbym być podekscytowany?

– No, czy nie masz pójść z kolegami na przyjęcie, w przebraniach i maskach?

– Yhm.

– No...

– Nie jestem podekscytowany – rzekł Artur.

AEEEEUU wyciągnął Roger pierwsze litery. Po dziesięciu minutach jego zestaw zawierał: ADHIIOU, podczas gdy Artur konsekwentnie układał: BIAŁY, DOM, KUC i był daleko w przodzie. Roger zapragnął nagle odejść, ale po pierwsze nie załatwił jeszcze tej sprawy z Helene, a po drugie chciał przed wyjściem jeszcze potajemnie zadzwonić. Do C z KUCA dołożył swoje U i D, zarabiając cztery punkty.

– Masz teraz dwadzieścia dziewięć, a ja mam sześćdziesiąt cztery – rzekł Artur bez emocji.

Roger wyciągnął następne H i A.

Odgłos nadjeżdżającego samochodu przyniósł wizję ulgi. Ale nowo przybyły nie pojawiał się przez dłuższą chwilę. Nagle dzikie wycie, które rozległo się od strony wyjścia, odwróciło uwagę Rogera. Stworzenie ze spłaszczoną twarzą o ludzkich rysach, wybałuszające czerwone gały w miejscu, gdzie powinny być oczy, zbliżało się do niego krokiem lunatyka.

– Ślepy potwór ludojad z Marsa – powiedziało stworzenie znajomym, grubym głosem.

Gdy Artur śmiejąc się, z pełnym oddaniem wpadł w objęcia potwora, Ernst zdjął jedwabną skarpetkę z głowy i pokazał dwa dzikie jabłka, których użył zamiast oczu. Przywitał się entuzjastycznie z Rogerem i zapytał mimochodem, co go tutaj sprowadza. Roger posłużył się przygotowanym kłamstwem i wyjaśnił, że był na obiedzie z najlepszym lokalnym powieściopisarzem. Ernst prawie nie słuchał. Nie interesowało go życie innych. Wygodna cecha, którą Roger wykorzystał już wtedy, gdy spędzał tydzień lub więcej w Kopenhadze pod pretekstem podróży do Berlina czy Aten. Helene pojawiła się z ręcznikiem na głowie i szczotką do włosów. Broniąc się przed możliwym zarzutem nabywania złych, amerykańskich zwyczajów, Ernst zaproponował drinka. Upokorzenie związane z nieuniknioną porażką w grze z siedmioletnim dzieckiem minęło.

– Nalej cokolwiek. Wiesz, że nie zwracam uwagi na to, co piję. Może trochę whisky, jeśli masz. Z wodą, ale bez lodu. – Poruszył się z roztargnieniem, próbując wstać.

– Hej, gramy w *scrabble*, zapomniałeś?! – krzyknął Artur.

– Poddaję się – rzekł Roger wesoło. – Wygrałeś.

– Nie możesz się poddać. Musisz grać. Prawda, mamó, tato?

Oboje, Helene i Ernst zdawali się popierać syna.

– No dobrze.

– Musisz się wzmocnić do tej próby, Roger – rzekł Ernst i wyszedł do kuchni. Helene została tam, gdzie była, i zaczęła czesać włosy.

Patrząc bez zainteresowania na planszę, Roger zauważył, że Artur ułożył wyraz NITER.

– Niter? Co to ma oznaczać? Nie ma takiego słowa.

– Nie wierzysz?

– Tobie z pewnością nie wierzę.

– Dobra. – Artur otworzył coś, co niewątpliwie było słownikiem. – Jest. Niter. *Potassium nitrate*.

– Bzdura. To się pisze n-i-t-r-e.

– Noooo – rzekł Artur. – Zobacz sam.

– Ja... ale przecież ten cholerny słownik jest amerykański!

– Bo to jest cholerna Ameryka.

– Żadnych takich, proszę, Artur – rzekła Helene. Przystała czesać włosy.

– Nie udało ci się – wymamrotał Artur, biorąc przykrywkę pudełka, gdzie wydrukowane były reguły gry.

– Ale... to nie to, o czym myślałeś.

– Nic w opisie gry nie ma o tym, że musisz znać słowo, którego używasz. Nie udało ci się: odejmujemy 50 punktów od twojego wyniku. Teraz masz więc... minus 21.

Helene zaśmiała się.

Roger wstał tak gwałtownie, że potracił kolanami skraj stołu i wszystkie litery spadły na podłogę.

– O, przepraszam. Taki jestem niezgrabny.

– Nie niezgrabny. Zrobiłeś to celowo. Widziałaś to, mamu, prawda? Zrobił to celowo.

– Nie wiem – odpowiedziała Helene. – Nie patrzyłam.

– W każdym razie oznacza to koniec gry.

– Wcale nie. Pamiętam, gdzie wszystko leżało.

– Myślę, że pan Micheldene ma dosyć, Arturze.

– Dobra, dobra – burknął Artur. – Idę się ubrać.

Znam jednego małego, którego ulubiona zabawka wkrótce zniknie, pomyślał Roger złowieszczu, gdy Artur wyslizgnął się z pokoju. Oczywiście Helene były zmęczone. Nadstawiając ucha na to, co robi Ernst, Roger usłyszał trzaśnięcie drzwiami lodówki. Powiedział ze śmiechem:

– Bardzo bystre to twoje dziecko.

– Taak.

– Pączkujący geniusz. – I potem dodał łagodnie, a w każdym razie cicho: – Helene, kochanie...

– Taak?

Nigdy w życiu nie czuł się jeszcze tak nieśmiały albo niepewny. Robił, co mógł, mrugając, oblizując wargi w milczeniu. W końcu powiedział drżącym głosem:

– Weekend. Wymyślisz coś, prawda?

Spojrzała szybko do tyłu i zwróciła się do Rogera:

– Spróbuję.

– Ale naprawdę spróbuj, kochanie. Proszę.

– Jedyne, co mogę zrobić, to spróbować, rozumiesz? To nie zależy tylko ode mnie. Dookoła mnie jest mnóstwo ludzi i muszę pilnować wielu rzeczy. Ale naprawdę zrobię co w mojej mocy, by to załatwić. Naprawdę.

Słyszac taki wykręt, pewna część Rogera – ta w całości nie akceptowana – chciała podejść do niej i wymierzyć jej policzek. Ale wszystko inne było czułe i na tyle bystre, by uświadomić sobie, że taki sposób traktowania mógłby niewątpliwie zmniejszyć, a nie powiększyć jego szanse na weekendową satysfakcję. Ciągnął więc dalej w tym skrajnie odmiennym kierunku, dzięki któremu greczny i otwarty Roger, kapryśny Roger, wytworny i światowy Roger zwyciężył nad Rogerem znanym alkoholikiem, Rogerem chciwcem, Rogerem satyrem, Rogerem świntuchem. Żartował sobie z przystojnym, gościnnym mistrzem języka, doktorem Ernstem Bangiem.

– O, dziękuję.

Pił z przerwami, w czasie których przedstawiano go Paulowi i Mary Selbym oraz młodemu Jayowi Selby'emu, Georgowi i Evelyn Fraschinim z Jimmym i Karen, Marcie Selby, Bobowi i Ann Sullivanom, Clayowi i Sue Greenom i Russowi Greenowi oraz Georgowi Fraschiniemu Juniorowi. Byli też inni, których nazwisk nigdy nie słyszał. Wpadali przebrani za miniaturowych kosmonautów, czarownice, Indian, gobliny i Frankensteinów, zabierali przygotowane przez Helene paczki, otwierali je i pożerali ich zawartość, a potem biegali, wrzeszcząc na cały głos. W szczytowym momencie tego zamieszania Roger spytał, czy może zadzwonić i wyszedł do kuchni.

Głos w słuchawce poinformował:

- „Miranda”, słucham.
- Czy mogę mówić z panią Atkins?
- Kto dzwoni?
- George Green.
- Chwileczkę, panie Green.

Prawie w tym samym momencie inny głos rzekł:

- Mollie Atkins, słucham.

Roger nadal nie mógł wyobrazić sobie twarzy, do której należał głos.

- To nie żaden George Green, tylko Roger Micheldene.
- Cześć. Jak się masz?
- Jakoś leci. Słuchaj, jesteś wolna dziś wieczorem?

– No, nie. Niestety, nie. Wydajemy przyjęcie i muszę wracać prosto do domu. Przygotować wszystko. Możesz przyjść, jeśli chcesz.

– O tak, chętnie.

– Ale z drugiej strony będzie też Strode, a wy nie za bardzo się chyba lubicie. Ostatnim razem tak było, o ile pamiętam.

– Faktycznie nie. Więc...?

– Słuchaj, przyjdź jutro po południu. Wtedy mam czas. Mogę zabrać cię na małą przejażdżkę w pięknym krajobrazie.

– W porządku. O której?

– Przyjdź koło trzeciej.

– Co, do tego... tego twojego sklepu?

– Jasne, czemu nie? Spodoba ci się. Przyjedziesz pociągiem? Dobrze, jest jeden, który przyjeżdża sześć po trzeciej. Jedź tym, stary.

Roger potwierdził, odłożył słuchawkę, wykonał jeszcze dwa telefony i wrócił do towarzystwa. Dorośli zajmowali się dziećmi w ten kuriozalny amerykański sposób polegający na tym, że biegali za nimi, podnosili je i stale do nich mówili. Ktoś spytał Rogera, czy ma dzieci. Roger zaprzeczył, zapadło kłopotliwe milczenie i facet nie odezwał się już więcej. Potem kto inny – albo George Fraschini, albo Clay Green, a może Paul Selby – stwierdził, że ma nadzieję, że Roger zostanie ze wszystkimi na kolacji.

– To miło z twojej strony – rzekł Roger, biorąc szczyptę Golden Cardinal ze swojej tabakierki – ale niestety muszę jak najszybciej wracać do Nowego Jorku.

Wywołało to ogólne zdumienie, okrzyki niedowierzania i protestu, jak gdyby Roger zapowiedział, że następnego poranka ma zostać deportowany przez władze federalne. Nawet ci, którzy nie słyszeli wszystkiego, podeszli pospiesznie, dopytując się, co się stało.

– On nie może jechać. Co będzie z wieczornym przyjęciem? To jest wykluczone. Kiedy coś zje? Evelyn, powiedz mu. W każdym razie i tak nie ma pociągu.

Ernst, masz rozkład jazdy? Szybko daj mu następnego drinka. Ja go odwiozę.

Wobec takiej reakcji Roger nie oponował. Widział Helene, trzymającą na rękach małe dziecko niewiadomej płci, któremu właśnie pokazywała widok z okna. Ręka dziecka opierała się delikatnie na jej szyi. Roger rzekł:

– Nie, naprawdę obawiam się, że muszę jechać. O pociąg się nie martwicie. Jest jeden z głównej stacji za pół godziny. Zamówiłem taksówkę.

Wywołało to jeszcze więcej protestów, rozprawiano o tym, jak daleko jest węzeł kolejowy i jak dużo kosztować będzie taksówka, i w takim razie najlepiej będzie, jeżeli Bob-Paul-George go podwiezie. Dyskusja osiągnęła poziom tajnego spiskowania w momencie, gdy taksówka nadjechała. Roger, kiwając Helene na pożegnanie ręką, wsiadł do niej. Zanim zdążyła przejechać parę metrów, inny samochód skręcił z ulicy na podjazd Bangów. Rogerowi wydawało się, że słyszy śmiechy. Samochód stanął. Wysiedli z niego Irving Macher, Suzanne Klein i Nigel Pargeter prosto w silne światło latarni. Swobodnie ruszyli w kierunku drzwi frontowych. Roger wcisnął się mocno w siedzenie samochodu, uwożony z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę.

– Traci pan sporą część zabawy, podróżując teraz, co? – spytał taksówkarz.

– Jeżeli pan nie ma nic przeciwko, to wolałbym nie rozmawiać.

– Ależ jak pan sobie życzy.

Po obu stronach drogi domy obwieszane były kolorowymi lampionami i pomarańczowymi dyniami-
duchami. Tam i z powrotem wałęsały się hałaśliwe grupki dorosłych lub dzieci. Co oni właściwie świętowali?

Wszystko: odległości między domami, ich drewniana konstrukcja, brak sztuki ogrodniczej z jej płotami i ścieżkami, całość tej drewnianej scenerii nadawała miejscu wygląd tymczasowego obozowiska dla batalionu parweniuszy. Niezły widok Ameryki jako całości, co?

Inny obraz Ameryki ukazał się oczom Rogera w momencie, gdy taksówka stanęła przy czymś w rodzaju budki lub szlabanu na autostradzie. Rozbłyskiwała tam szarada świateł, dźwięków i ruchu skierowana wprost na uczestników. Brzęcząc przy tych prędkościach tyłoma tonami metalu, gwizdząc, migocząc i wyprzedzając, ci ludzie mieli nadzieję przekonać w ten sposób siebie i innych, że posiadają wielką moc, są ważni i dokądś zmierzają. Gdy taksówka wyprzedzała pas dla samochodów ciężarowych, ukazał się rząd świateł przypominający domy, które dopiero co widział. Dwa szerokie na około pięć metrów samochody, każdy z dwunastoma tylnymi światłami prześlizgnęły się po lewym pasie. Ze zdumieniem stwierdził, jak trudno jest upewnić się, że nie spędził całego życia, przejeżdżając wśród tych świateł, że poza tym jeszcze coś istnieje, że Helene istnieje. Wyglądało to tak, jakby ta wściekła materia usiłowała oddzielić ją nieodwołalnie od niego. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył blade, niebieskie światła wyjazdu. Taksówkarz odbił w prawo i zaczął zwalniać.

Roger nie czuł się dobrze, gdy wyszedł ze stacji w Ammanford w Pensylwanii i ruszył na poszukiwanie „Mirandy”. Pociąg, dość wygodny i szybki, wypełniony był Amerykanami. Roger źle wybrał lekturę na podróż. Zaś śniadanie w pociągowej restauracji nie zrobiło dobrze jego żołądkowi. Organ ten stale czynił wysiłki, by powrócić do normalnego stanu po nadmiernym picciu poprzedniej nocy. (Półgodzinne rozmowy przez telefon zakończone dość bezczelnym wprośzeniem się na imprezę, gdzieś w Greenwich Village. Dwie z trzech do zaakceptowania kobiet były w towarzystwie brodatych australijskich malarzy mówiących o integracji artystycznej. Trzecia deklarowała się jako lesbijka.) Niezwracanie uwagi na to, co się pije, nie chroniło przed konsekwencjami samego picia. Żałował, że nie może zrekapitulować pewnych fragmentów krótkiej, aczkolwiek pełnej różnorodnych wyrzutów deklaracji, jaką wypowiedział w taksówce ze swojego hotelu na stację Pensylwania.

Rynek wydawniczy coraz bardziej podupadał. Roger pamiętał zawsze, że „New York Times” opierał się na założeniu, że każdy musi wszystko o wszystkim wiedzieć. Zatem – jak można się było spodziewać – informacje nie były najlepszej jakości. Powinni byli poprzestać na tym, w czym byli dobrzy albo czemu w każdym razie nadali własny styl: czyli „Time”, „Life”, a nie małpować londyńskiego „Timesa”. A co gorsza pojawił się ten *Blinkie Heaven*. Wydawało się, że Roger nic nie ryzykował, biorąc ze sobą tę powieść, która wraz z „New York Timesem” miała odrywać go od spoglądania przez okno oraz od niebezpieczeństwa zauważenia czegoś, co było tam do zobaczenia. Kilka pierwszych rozdziałów powieści Machera wywołało u Rogera wiele emocji, z których najbardziej bolesne było odczucie doznawane przez człowieka, gdy nagle odkrywa, że nie otrzymał swego chleba powszedniego.

Fakt, że powieść była dobra, nie był ważny. Narodowość Machera i życie w XX wieku gwarantowały to. Przed *Klarysą* podobne tony można było znaleźć tylko u Aphra Behna i Defoe (w *Pułkowniku Jacku*, oczywiście, a nie *Robinsonie Crusoe* czy *Moll Flanders*), a co było później? W poczuciu „przepraszam-nie-dostałem-chleba” Roger zdał sobie sprawę, że jeżeli jego firma tego nie wyda, wiele innych skwapliwie się na to rzuci i niewątpliwie osiągnie sukces. Byłby nawet w stanie napisać recenzje: „Głęboko wstrząsająca, a przy tym pełna głębokiego współczucia wizja ludzkiej kondycji” – Philip Toynbee. „Prawdopodobnie jeden z czterech najważniejszych wkładów w nowojorską neogotycką szkołę meta-fantastyki” – „Times Literary Supplement”. „Ten książkowy pocisk balistyczny – rozdzierający, szarpiący i niszczący – poderwie się, powali i podepcze” – „Daily Express”. „Godne uwagi” – „Yorkshire Post”.

Kuszące było odrzucenie tego mimo wszystko i stwierdzenie we właściwym czasie, że były wprawdzie pewne sukcesy książkowe, ale przyzwoite wydawnictwo powinno być dumne, że nie przyłożyło palca do ich opublikowania. To stało się już powoli regułą w firmie Rogera. Musiało się tak stać. Roger osłabił mocno swój autorytet mistrza w łączeniu sztuki z zyskami, skutecznie walcząc o odrzucenie debiutu jakiegoś młodego Hindusa z tego powodu, że powieść jest zbyt „rozmiłowana w złą”. Wydana wkrótce po tym w konkurencyjnym wydawnictwie, książka nie tylko sprzedała się w liczbie pół miliona egzemplarzy w ciągu sześciu miesięcy, została przeznaczona do tłumaczenia na wszystkie główne języki europejskie i japoński, pobiła rekordy sprzedaży praw filmowych oraz zdobyła dwie międzynarodowe nagrody i niezasłużone pochwały od Sartre'a, Moravii i Grahama Greene'a. Nic z tego nie musiało mieć znaczenia poza rozpowszechnionym poczuciem, że książka spotkała się z natychmiastowym sprzeciwem nie tyle z powodu miłości do zła, a raczej z powodu braku miłości do Rogera i *vice versa*. Zatlócone przyjęcie w Maida Vale stało się sceną ostrego sporu między czarnym i białym na temat przyszłości nowych narodów afrykańskich. Argumenty Murzyna zostały skutecznie stłumione, gdy głowa białego Anglosasa (Rogera) uderzyła ich rzecznika w brzuch.

To co było w pewnym stopniu najbardziej irytujące dla Rogera w kwestii *Blinkie Heaven* to to, że nie było tak, jak na początku podejrzewał: że wszyscy bohaterowie należą do tej grupy społecznej, która jest najważniejszym literackim tematem Ameryki. Byli tam ślepi, to prawda, i jakiś dziwak Murzyn, ale nie popierani przez paraplegicznych nekrofilów, hippoerotycznych dżokejów, ekshibicjonistycznych kastratów, koprofagicznych świniopasów, bezrękich biczowników i innych z tej paczki. Zwyczajni właściciele sklepów, przechodnie, mieszkańcy Nowej Anglii, sąsiedzi, absolwenci, wujkowie przewijali się również przez strony powieści Machera. O wydarzeniach, które miały miejsce, mogli rozstrzygnąć czytelnicy. W cudzysłowach pojawiały się dialogi. Ale mniejsza z tym. Gdy Roger szedł do „Mirandy”, pocieszał się myślą o tym, co mogłoby przyczynić się do zaakceptowania przez jego firmę tej szczególnej prozy. Skąpi w kwestii reklamy i liczby egzemplarzy do korekty, ostrożni w obawie przed negatywnymi recenzjami i redukujący liczbę egzemplarzy o dziesięć tysięcy w porównaniu z konkurentami. Dlaczego, na Boga, musi ratować się czymś takim?

„Miranda” była małym sklepem pomiędzy delikatesami a dużym sklepem monopolowym. Roger przyglądał się półkom z włochatymi krawatami i asymetrycznym stojakom z butami i sandałami, tak brzydkimi, że musiały być robione ręcznie. Odrzuty szkła i ceramiki, różnej wielkości i niejasnej funkcji, stały na trójkątnych półkach. Tu i tam na chodnikach częściowo przykrywających podłogę stały misterne, żelazne naczynia, w których ktoś bardzo przedsiębiorczy lub bardzo apatyczny mógł ugotować sobie pewnego dnia wodę lub zupę. Choć dzień był pochmurny, zielone i białe markizy opuszczono i wewnątrz niewiele było widać. Niemniej jednak można było dostrzec w ciemności kilka kobiet.

Roger przekroczył próg „Mirandy” zdecydowanie, pewny, że Caliban czy może lepiej Stephano mógł, będąc właśnie nieobecny w biurze w Nowym Jorku, zapaść tutaj w pijacki sen. Dziewczyna o orientalnym wyglądzie, zupełnie do przyjęcia gdyby nie to, że brakowało jej oczu, jak też oczodołów, wyszła naprzeciw i powiedziała:

– Dzień dobry, co chciałby pan obejrzeć?

Ulżyło mu, że nie musi zaczynać od wytartej frazy: „chcę-się-widzieć-z”, którą właśnie przygotowywał, bowiem Roger zdecydowanie wolałby coś mniej amerykańskiego. Odpowiedział jednak tonem, który miał brzmieć świeżo:

– Dzień dobry. Czy mógłbym zamienić słowo z panią Atkins? Proszę poinformować, że przyszedł Roger Micheldene.

Dziewczyna mierzyła go wzrokiem przez chwilę zanim odpowiedziała:

– Oczywiście. Z przyjemnością jej powiem. Chwileczkę.
– Jej wcześniejsza przyjazność osłabła. Spojrzała raz jeszcze i poszła.

Roger zrozumiał jej zachowanie. Często myślą, że jeżeli mówisz jak Anglik, musisz być homoseksualistą. Wywołane jest to głęboką niepewnością co do własnej męskości. Jasne, że ona była dziewczyną, a nie mężczyzną, ale zadziałała ta sama zasada.

Murzynka w średnim wieku, wzrost metr osiemdziesiąt, kolor skóry przypominający najczarniejszą sadzę, wyłoniła się zza zasłonki z koralików i podeszła do niego. Usta Rogera rozchyliły się lekko w zdumieniu. Pewnie... Nie, to bzdura. Oczywiście, że nie. Właściwie świadczyło to o tym, że rasa i kolor jako zaskakujące dodatkowe zmienne są potrzebne po to, by uzupełnić jego wątłą wiedzę na temat wyglądu Mollie Atkins i ułatwić identyfikację. Dodając do tego paru Indian, Hindusów i jednego czy dwóch Buszmenów uznał, że ze znalezieniem Mollie Atkins, o której wiedział tylko, że jest wzrostu między metr czterdzieści i metr osiemdziesiąt oraz w wieku między 25 a 55 lat, nie powinno być większych kłopotów.

Kolorowa kobieta wzięła olbrzymią roślinę doniczkową z liśćmi jak z grubej skóry i wyniosła za zasłonę, zza której widoczna była inna postać kobieca, tym razem niewątpliwie w typie kaukaskim. Roger zamrugał kilkakrotnie, by na wszelki wypadek dać do zrozumienia, że jest krótkowidzem. Widok kobiety o kaukaskich rysach wprowadził go w niebotyczne zdumienie i zasiał niepokój. Roger zaczął zastanawiać się, ile ginów z tonikiem musiał wypić tamtego wieczora u Joego Derlangera.

Stanęli twarzą w twarz. Z bliska wyglądała trochę lepiej, ale niewiele. Jej cera przypominała cerę osoby, która przez przynajmniej dziesięć lat wystawiona była na działanie gwałtownych huraganów. To była największa wada. Oczywiście były też i inne. Jednakże miała tę jedną wspaniałą szansę bycia Mollie Atkins. Jeżeli nią była, to miała jedną, najważniejszą zaletę.

Uśmiechnęła się do niego dość sympatycznie, ale Roger dostrzegł w uśmiechu więcej ciekawości, niż mógłby się spodziewać po kimś, kto go już znał. Odwzajemnił się więc pełniejszym uśmiechem, mrużąc równocześnie oczy i pozdrawiając cicho. Ten dawno już opracowany sposób miał na celu usunięcie problemu nazwisk i twarzy, tak typowego dla alkoholików cierpiących na notoryczną amnezję. Mogło to być potraktowane jako dowód intymności lub po prostu rutynowe pozdrowienie bardzo miłego, ale niekoniecznie heteroseksualnego mężczyzny.

W każdym razie poskutkowało. Mollie Atkins ujawniła się w końcu dostatecznie wyraźnie jako Mollie Atkins, wypowiadając bardzo emfaticzne „cześć”.

Roger nie za bardzo lubił to słowo, ale wytrwał w swojej roli.

– Miło cię widzieć – rzekł, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej szczerze.

– Chyba moglibyśmy już spadać.

– To brzmi zachwycająco.

– Gdzie chciałbyś pójść?

– Nie ma znaczenia.

– W jakie miejsce?

– Wybór zostawiam tobie.

– Myślałam o czymś spokojnym.

– Ja też.

– Jeżeli panna Hartogensis zadzwoni, powiedz jej, że będę jutro po południu – rzekła Mollie wyraźnie nie do Rogera.

Japońska dziewczyna (dlaczego myślała, że może przejść przez świat białych nie zauważona, nawet jeżeli ciężko popracowałyby nad swoim akcentem?) uśmiechnęła się i skinęła pokornie głową. Wywołało to u Rogera aprobatę i zaufanie. Było tu z pewnością jeszcze paru białych w administracji i pokrewnych dziedzinach po to, by towarzyszyć takim jak on i innym Amerykanom.

Nie mówiąc więcej ani słowa, Roger opuścił sklep. Nie opodal stał zaparkowany olbrzymi, biały samochód ze złotymi napisami w paru miejscach na karoserii. Roger wszedł gotów do drogi. Jedną z rzeczy, którymi się chełpił, to brak prawa jazdy. Roger nigdy nie kierował samochodem i nie widział potrzeby uczenia się tego. Podobnie było z tańcem. Tak samo jak pakowanie kogoś w sytuację, w której musi się uczyć podrzędnych umiejętności po to tylko, by spełniać oczekiwania wobec własnej płci; ten brak wykwalfikowania w pewnych dziedzinach mógł mieć nawet na celu bardziej bezpośrednie korzyści. Aby poczuć, że wszechświat jest naprawdę rządony przez boską hierarchię (ostatnio coraz mniej powszechne doświadczenie) potrzebna była sprzeczka pomiędzy żoną maklera, zbyt dumną ze swojego fioletowo-kremowego mercedesa, a policjantem. Ten ostatni wetknął głowę do baru, gdzie na chwilę przystanęli i krzyknął:

– Proszony jest kierowca samochodu numer 923 DUW!

Roger uśmiechnął się ujmująco i rzekł:

– To o ciebie chodzi, kochanie, prawda?

Potem odwrócił się do barmanki z wystającymi zębami, ale godnej zapamiętania ze względu na najszerzej rozstawione piersi, jakie kiedykolwiek widział, i spytał, czy zechciałaby mu towarzyszyć w małym „przepłukaniu gardła”.

Mollie Atkins – nawet jeśli ta osoba była kimś innym, to nie miało to większego znaczenia – po przestawieniu samochodu spytała:

– A jak się ma moja stara przyjaciółka, Helene Bang?

Rogera ogarnęła złość, mniej na treść pytania, a raczej na jego podtekst. Stosowna obelżywa odpowiedź – najlepiej pytaniem na pytanie – wchodziła w grę dopiero po akcie, którego zamierzał dokonać, a nie przed. Rzekł więc najswobodniej jak mógł:

– O ile wiem, bardzo dobrze.

– To „o ile wiem” jest prawdziwe, co?

Powoli odwrócił w jej stronę głowę.

– Obawiam się, że chyba w ogóle nie...

– Nie rozumiesz? Może uda mi się wyrazić to jaśniej. Nie wiem, czy byłeś w łóżku z Helene, ale wyraźnie bardzo tego chcesz, i jak cię znam, zawsze będziesz próbował tego dokonać. Po prostu pytam, jak było ostatnio.

– Nie rozumiem, w jaki sposób...

– Przestań wreszcie nie rozumieć, stary. Jeżeli naprawdę nie rozumiesz, to wysił się bardziej. Muszę wiedzieć, na czym stoję. To wszystko. To chyba normalne i rozsądne. Wiem już sporo, naprawdę, ale jest jeszcze coś, co chciałabym wiedzieć. Czy teraz mnie rozumiesz?

– Na razie tak. – Roger spojrział zimno przez okno. Jego oko spoczęło natychmiast na budynku wyglądającym jak część betonowego okrętu z masztami, z wieżyczkami armatnimi i otworami działowymi. Na grotmaszcie przymocowany był chromowy krzyż jako znak przeznaczenia tego miejsca.

– Czy ty kochasz Helene?

Odpowiedział bez wahania:

– Tak, bardzo. Od lat. – Zabrzmiało to jak fragment sztuki. Zaakceptowali to wyznanie, choć skierowane było ono do kogoś innego (jeśli naturalnie sami nie uznali się za kandydatów do takiego wyznania, które z pewnością nie mogło mieć miejsca tutaj). Zdawało im się, że nawet serce z hipoteką jest lepsze niż żadne.

– Masz jakieś ambicje? Mam na myśli długoterminowe?

Wzruszył ramionami i starał się wyglądać na zdeprymowanego.

– Całkiem beznadziejne. – Podyktowane to było ostrożnością i odpowiednią taktyką.

– Mogę sobie wyobrazić. Chyba będziesz musiał poczekać aż... jak on ma na imię... Ernst... aż on umrze, co? A to może potrwać dłużej niż możesz sobie pozwolić. Jesteś żonaty?

– Formalnie, tak.

– To wszystko, co na razie chcę wiedzieć. Kiedy wracasz do Europy?

– Jadę do Anglii we wtorek za tydzień.

– Dwanaście dni. No dobrze. Powinno nam być miło. Niezły kawał drogi przejechałeś, i to pociągiem. Nie masz prawa jazdy?

– Nie, nigdy się nie nauczyłem prowadzić.

– Nie. Niech zgadnę: nigdy nawet nie próbowałeś. No to może ja przyjadę któregoś dnia na zakupy do Nowego Jorku? Półgodzinne zakupy. Masz mieszkanie?

– Mieszkam u znajomego, który wprawdzie wyjechał, ale zostawił syna i nie mogę się przed nim zamknąć.

– Nie możesz? Myślałam, że w takich sprawach jesteś bezwzględny. Dlaczego nie możesz się przed nim zamknąć?

– Jeżeli nie zrobiłbym tego dosłownie, to on wpakowałby się do mieszkania niezależnie od tego, o co go prosiłem wcześniej, i to pewnie z kilkoma kolesiami. Nie dba o to, co się do niego mówi. Jest prawie stale zalany. I jak go znam, to gdybym się naprawdę zamknął, rozwaliby drzwi w drobny mak.

– Ile ma lat?

– Około dwudziestu.

– Teraz młodzi szybko się uczą, prawda? Faktycznie może być trudno. Wiesz, sama coś znajdę. Mamy ze Strode'em mieszkanie. On go prawie nie używa, ale nigdy nic nie wiadomo. W każdym razie możemy porozmawiać o tym później. A jak przyjedziesz tu następnym razem, to spróbuję znaleźć jakieś pomieszczenie. Nie będzie to łatwe, ale może się uda. Dziś powinno być w porządku. Szkoda, że nie ma słońca, na szczęście jest nadal dość ciepło. Czy mógłbyś mi pomóc z tym świństwem?

Świństwo składało się z koca, dwóch poduszek i wiklinowego kosza. Mollie wręczyła to Rogerowi z bagażnika zaparkowanego samochodu i spojrzała w stronę dużego, białego domu, pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie się zatrzymali.

– Ci ludzie chyba nie będą mieć nic przeciwko temu, że zaparkuję tu na chwilę – wymamrotała.

– Dlaczego mieliby mieć? Na ogół nie mają, co?

Zaśmiała się, ukazując swoje ładne zęby. Oczywiście nie tak ładne jak Helene.

– Holmesie! To zdumiewające! Jak zgadłeś?

– Nic trudnego. Po sposobie w jaki jechałaś prosto w to miejsce, najbliższe i najbardziej odpowiednie, przypuszczam. Ile nam to zajęło? Pięć minut? Nie więcej.

– Ze sklepu z reguły cztery i pół. A kiedy jestem zakochana, to skracam do czterech. Jest tu miło i wygodnie. Tak, proszę pana, jest jeszcze trochę dzikich, otwartych przestrzeni w tym kraju.

– Często tu przyjeżdżasz? – spytał Roger, gdy doszli do małej polanki oddzielonej od drogi pasem drzew i krzewów i rozłożyli koc na opadniętych liściach i rzadkiej trawie.

– Nie tak często, jak bym chciała. Ale i tak dość często. Umie zjednywać sobie szybko przyjaciół. Wielu z nich przyjeżdża tu stale między jedną a drugą narzeczoną lub wtedy, gdy żona jest u swoich starych. Szef szaleje? Twoje kilkunastoletnie dzieciaki i ich koledzy rządzą w domu? Same gówna w telewizji? Jeśli tak, to zadzwoń do starej beztroskiej Mollie, która przyjmie cię tak samo jak zwykle, niezależnie od tego, czy wyjechałeś na jeden dzień, czy na dziesięć lat. W lecie jest tu naprawdę pięknie. I tak bezpiecznie. Słyszysz nadchodzących ludzi o wiele wcześniej niż się pokażą. Ale tu właściwie nigdy nikogo nie ma. Można się zrelaksować i zabawić.

Mówiąc to, rozpakowywała kosz. Obok niej na kocu stanęła butelka ginu i wytrawnego wermutu, drewniany pojemnik na lód z miedzianą przykrywką, smukły szklany pojemnik, szklany pręt do mieszania i dwie szklaneczki.

– Czego spróbujesz najpierw? – spytała.

– Chyba zacznę od tego – rzekł Roger, wskazując na nią.

Dostał więc trochę tego. To było naprawdę dobre, dojrzałe, choć bez niestosownych oznak wieku. Satysfakcja zrodzona została głównie w umyśle. Kłopotliwe było tylko mówienie.

– O tak. Och, świetnie, taak, świetnie. Cudownie. Ooo. Tak, tak. Jesteś taki silny, taki subtelny, taki dobry. Tak dobrze mi robisz. Ach, jak dobrze mi robisz, kochanie. Wspaniale, wspaniale. Oooo, tak.

Wcale nie chciało mu się śmiać – to nigdy nie stanowiło dla niego problemu. Zachował poważną twarz nawet wtedy, gdy zobaczył pod paprocią żółwia, który obserwował ich z odległości metra. Nie: ten akompaniament rozpraszał jego koncentrację. Roger nie mógł skupić się na własnych doznaniach, co było niezbędne w takiej sytuacji. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że tak samo było przy basenie Derlangerów. Czując, że nie jest to dobry moment, by powiedzieć damie, żeby się zamknęła, w ponurym milczeniu doprowadził wszystko do końca.

– Chciałyś teraz czegoś innego? – spytała Mollie, wkładając kostki lodu do pojemnika.

– Dzięki. Bardzo chętnie, tylko nie za wytrawne dla mnie.

Spojrzała na niego, mieszając drinka. Uśmiechnęła się, ukazując przy okazji coś, co kiedyś musiało być parą dołków w policzkach.

– Rog, stary – rzekła – przykro mi to mówić, ale naprawdę jesteś angielskim grubasem. Czułam się tak, jakbym walczyła z grizzly. Nie mam, oczywiście, nic przeciwko, rozumiesz. Po prostu wydaje mi się to interesujące.

– No to w porządku. Ale ten żółw, który tu był jeszcze przed chwilą – odpalił Roger ze złością – zobacz, tam jest. To żółw chyba. Co on tu robi? Uciekł komuś czy co? Boże, tu następny. O co tu chodzi?

– Jest tu ich mnóstwo. Mieszkają tu. Są dzikie.

– Doprawdy, chyba faktycznie są dzikie – ciągnął Roger, nie uspokojony w najmniejszym stopniu – ale w żadnym razie nie jestem pewien, czy to są w ogóle żółwie. Czarna skorupa z żółtymi plamami. W życiu nie słyszałem o takich żółwiach. Nie, to nie są prawdziwe żółwie. To muszą być...

– Nazywają się żółwie morskie – rzekła Mollie łagodnie.

– Czymkolwiek by nie były, na pewno nie są to żółwie morskie. One żyją w morzu i mają coś w rodzaju płetw zamiast stóp. To zupełnie co innego.

Roger wziął drinka i pogrążył się przez moment w rozmyślaniach. Stale jeszcze czuł się dotknięty tym, że te żółwie czy żółwiopodobne stworzenia tak się narzucały, bezprawnie zajmując teren.

– Mogłabym dowiedzieć się o nich wszystkiego, jeśli ma to dla ciebie znaczenie – rzekła Mollie.

– Jeżeli choć dwa przejdą tu w odstępie paru minut, to znaczy, że las musi być tym cholerstwem przesiąknięty. Chyba gdzieś czytałem, że psy jedzą żółwie. Powinnaś była...

– Widzę, że cię denerwują. Co niby miało się stać?

– Nie wiem, o co ci chodzi?

– Czekaj, chyba ja wiem. Myślisz, że Waszyngton powinien był skonsultować się z tobą, zanim wyraził zgodę, by stada dzikich żółwi błąkały się tam, gdzie chcą? A tak naprawdę to one są całkowicie nieszkodliwe, choć groźnie wyglądają. Nigdy nie słyszano, by zaatakowały człowieka.

– Proszę, nie próbuj mi wciskać komunałów.

– To nie moja wina. To nie ja je tu sprowadziłam. Przyszły tu z własnej woli. Dajmy już tym żółwiom spokój. Wypij. Należę ci następnego.

Roger poddał się. Był stale zdenerwowany obecnością żółwi, ale z drugiej strony nie było żadnej korzyści z przedłużania tej dyskusji. Należało jak najszybciej poprawić swoją pozycję w rozmowie. Spytał więc:

– Jak się czuje mój stary kolega Strode?

– Obecnie jestem w szczęśliwej sytuacji całkowitej i nienagannej ignorancji. Nie mam zielonego pojęcia, jak się ma twój przyjaciel Strode. Nie mam możliwości dowiedzenia się czegokolwiek i nie próbuję gromadzić jakichkolwiek informacji na ten temat. Powiedziałam ci już, że lubię wiedzieć, na czym stoję w takich sytuacjach. I lubię, jak inni wiedzą, na czym stoją. To oznacza, że mówię o moim mężu to, co myślę. Gdy po raz pierwszy odkryłam, jaki jest, po sześciu miesiącach małżeństwa, znenawidziłam go. Teraz jesteśmy razem już czternaście lat i mam o wiele więcej informacji do dyspozycji. Nienawidzę go, choć w moich uczuciach nastąpiła pewna zmiana. Od jakichś pięciu, sześciu lat uważam, że jest infantylny, niedojrzały.

Roger był tak samo niezadowolony z przebiegu dyskusji jak w przypadku żółwi. Rzekł zimno:

– To brzmi tak, jakbyś miała jakieś powody, by go zostawić.

– Mam. Ale mam jeszcze większe, by zostać. Potrzebuję pieniędzy, a nie mam ich. Nie mam też żadnych kwalifikacji i nikogo, kto chciałby się ze mną ożenić.

– A co z tym interesem w sklepie?

– Żartujesz. W ciągu roku „Miranda” traci pięć tysięcy dolarów. Myślę, że każdy kto zna się trochę na pieniądzach, widzi to przy pierwszym rzucie oka na sklep. Ty sądzisz pewnie, że „Miranda” jest idiotyzmem, ale nie dla mnie. Lubię mieć te wszystkie rzeczy wokół siebie, pokazywać je ludziom, robić wszystko, by im się spodobały. Bez tego byłoby mi ciężko. Dlatego jestem ze Strode'em. On nie zauważa tego, co ja do niego czuję, bo on niczego nie widzi. To, czego sam dokonał w swoim życiu, to jest. Reszta nie istnieje.

Roger uznał, że nadszedł czas, by pomyśleć o perspektywach.

– To wygląda na staroświecki przypadek egotyzmu – rzekł lekceważącym tonem. – Jest wielu...

– Tak, ale nawet egotycy lubią robić na ludziach wrażenie. Lubią, jak się ich podziwia albo boi i tak dalej. Przypadek Strode'a jest jeszcze bardziej ekstremalny. Nie chodzi o to, że on nie dba. On po prostu nie zauważa.

Roger zaczął bawić się scyzorykiem, nie chcąc słuchać wszystkiego od początku. Potem uśmiechnął się, mrużąc oko.

– Czy my za dużo nie mówimy? – spytał.

Mollie odwróciła wzrok i przyklepała grzywkę.

– Chyba tak, przepraszam. Powinnam była ci powiedzieć, że jest to pierwszy i ostatni raz tutaj. – Uśmiechnęła się nagle i sięgnęła do koszyka.

– Prawie bym zapomniała. Mam coś dla ciebie. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Była to jedna z tych grubych pięćdziesięciocentowych potworności zrobionych pół na pół z jawajskich resztek i trocin.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – spytał ze zdumieniem.

– Zauważyłam u Derlangerów, jak palisz cygara, odcinając koniec w szczególny sposób. Czy to dobry gatunek?

Ze wszystkich procedur stosowanych wówczas, gdy miał do czynienia z bardzo złymi cygarami, odrzucił swoją ulubioną polegającą na zapytaniu, czy może cygaro przeciąć i wypalić zawartość w swojej fajce. Miał właśnie zastosować alternatywną procedurę, czyli wrzucić je do swojej kieszeni z całą siłą, ale położył się w końcu ostrożnie na skraju koca i rzekł:

– Jeżeli pozwolisz, zostawię je sobie na później.

– Pal, kiedy chcesz.

Nie pamiętał już, jak beznadziejna była ich rozmowa przed pierwszym drinkiem. Gdyby była zła, to powiedziała by jej później – po wszystkim, oczywiście – żeby już tego więcej nie robili. Ale na wstępnym etapie należy się kierować taktem i cierpliwością. Pogratulował sobie – stworzenie tego dypsomaniakalnego syna znajomego było prawdziwą przezornością. Jeśli nadarzy się odpowiednia sposobność, można zawsze posłać syna do przytułku dla alkoholików albo do marynarki, ostatecznie do szpitala po bijatyce.

– Teraz chciałbym jeszcze tego – rzekł.

8

– To jest ojciec Colgate.

Co za bzdura? Jak to możliwe, pomyślał Roger, witając się z przesadnie przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną koło trzydziestki, ubranym z jakiegoś tajemniczego powodu w sztywną, ale dobrze skrojoną sutannę duchownego. Zresztą jak miał go poznać po pięciosekundowej znajomości? Z tego samego powodu nie mógł oskarżyć go natychmiast o maskaradę. Do czasu aż nie będzie wiedział więcej, zdecydował się zastosować swoją zwykłą politykę wobec wszystkich księży, czyli popis kordialnego respektu i zainteresowania. Zazwyczaj efektem tak prowadzonej rozmowy było pytanie, czy Roger sam jest wierzący. Wtedy Roger zwykł przytakiwać, czyniąc skromne zastrzeżenie, że był katolikiem, jednakże obecnie zupełnie jawnie i odważnie interesuje się arianizmem. Tym razem nie mógł powstrzymać się od nadmiernego, sarkastycznego zaakcentowania ostatniego słowa pytania:

– Czy wasze obowiązki związane są z college'em, ojcze?

– Nie, nie są – odrzekł ksiądz z nutą niecierpliwości w głosie, jakby prostował pewną męcząco powszechną nieścisłość w doktrynie. – Budweiser został założony przez protestantów, co łatwo przewidzieć w tej części kraju. Jeszcze dziesięć, piętnaście lat temu nie było tu znaczącej liczby komunikantów.

– A obecnie?

– Słucham?

– Jaka jest teraz liczba komunikantów?

– Poważna – odrzekł duchowny i zaciągnął się papierosem. Dym przytrzymał przez chwilę w ustach, zanim wciągnął go głęboko do płuc. – Znacząca – powtórzył, kiwając głową.

– Jaka niesłychana zgodność.

– Tak. Obecnie jest w tych regionach mnóstwo boskiej łaski.

Słabo. Pomazaniec boży powinien robić to lepiej.

– Naprawdę ojciec tak myśli? – spytał Roger z niedowierzaniem.

– Oni są szczęśliwymi ludźmi. Z pewnością mają własne problemy, kto ich nie ma? Ale robią co mogą, by sobie wzajemnie pomóc. Są dla siebie życzliwi. Jeśli to nie dar boski, to co, pytam? Czy pan sam jest jakiegoś wyznania?

I znowu. Zbyt wcześnie.

– Tak się składa, że jestem wyznania rzymskokatolickiego, właściwie...

– Yhm.

Duchowny wyraźnie nie przejawiał żadnego zainteresowania, nie mówiąc już o zadowoleniu i robił wrażenie, jakby te nazwy były mu obce. Być może należał do lokalnych wielkich anglikanów. Być może również był wyświęconym ojcem działającym na rzecz odnowy stadionu piłkarskiego i mającym upodobanie w przebieraniu się. Jeśli zaś chodzi o to ostatnie, to był wierny tradycji kościelnej. Jednym z chronicznych problemów Rogera było pogodzenie własnej wiary w znaczenie Kościoła i jego kapłanów z awersją do większości doktryn i praktyk oraz zdecydowaną antypatią do służebników Boga. Konflikt ten ujawniał się również w stosunkach z omnipotentami. Biorąc nowego drinka z anonimowej ręki, próbował stłumić w sobie wszystkie te uczucia. Chciał dać po raz ostatni temu czarnemu clownowi szansę, słuchając tego, co ma on do powiedzenia.

Ojciec Colgate opisał siebie jako optymistę. Twierdził, że nie widzi w tym nic złego. Być może tylko tak twierdził. Wyjaśniał, że stały wzrost boskości wyrażającej się emanacją łaski był wprost proporcjonalny do spotęgowania, zarówno jakościowego, jak i ilościowego, miłości istot człowieczych do Stwórcy. Oczywiście niezależnie od tego, czy byli tego świadomi, czy nie.

– Od momentu kiedy osiągnąłem stan, w którym byłem w stanie zebrać odpowiednią liczbę dowodów na to – ciągnął bez przerwy Colgate – coraz bardziej zdumiewała mnie ich obfitość i różnorodność. Ludzie są dla siebie miłsi niż kiedyś. Są przezorni i próbują oceniać z wyprzedzeniem przypuszczalne lub prawdopodobne skutki przebiegu akcji, którą chcą realizować. Mówią sobie: chcę rozpocząć pewien łańcuch zdarzeń. Jakich mogę się spodziewać tego efektów i jaki dalszy łańcuch zdarzeń może to wywołać?

Czekając na otwarcie, Roger zauważył, że wokół nich zgromadziło się kilku ludzi. Jak na studentów Budweiser College w Pensylwanii nie wydawali się jakoś barbarzyńscy. Nikt nie żuł gumy, nie palił tanich cygar, nie nosił futra z szopów, nie pił coca-coli, nie jadł hamburgera, nie wachał kokainy, nie oglądał telewizji, nie napadał na innych, czy, z konieczności, jeździł cadillakiem. Mniejszość kulturowa. Z pewnością niektórzy z nich ochotniczo wstąpili do stowarzyszenia, w którego siedzibie i dzięki którego gościnności Roger zaczynał się właśnie upijać. Przypuszczalnie też inaczej nie byłoby ich tu. Roger zaś zamierzał zgromadzić jakieś audytorium dla przygotowywanego przemówienia do ojca Colgate'a. Jedną z osób, blondynka, posiadająca wszystkie wdzięki kobiece, choć ubrana w męską koszulę, przyglądała mu się. Mówiło się, że te jankeskie studentki zawsze miały na to ochotę. Jednak tym razem tego typu sprawy musiały poczekać, aż Roger wygłosi swój wykład i przyjęcie potoczy się dalej, tu lub najlepiej w czymś prywatnym mieszkaniu. Skoncentrował się teraz przez chwilę na zademonstrowaniu blondynce lub jakiegokolwiek innej interesującej osobie w zasięgu wzroku wspaniałej rozgrywki z takimi fagasami jak ojciec Colgate.

Duchowny ciągnął z mozołem dalej i był właśnie przy odpowiedzialności.

– Dwoistość tego pojęcia wynika z przesłanek rozumowych – powiedział Colgate.

Roger poczekał, aż skończy on wyjaśniać pierwszą z dwóch definicji – doskonały moment na wtrącenie się i rzekł szybko i głośno:

Naprawdę nie wiem, co uderza mnie mocniej, ojciec, zamilowanie ojca do oczywistości czy domorośły humanizm. Słuchając ojca, ktoś mógłby sobie wyobrazić Boga jako szefa korporacji z konkretnymi poglądami na temat grupowego morale, wspólnoty i wszystkich tych kretynizmów. Napędzającego zdrową twórczą atmosferę. Głoszącego wszechobecną lojalność. Zabijającego gwoździami każdą indywidualną myśl. Jedna wielka rodzina, której każdy członek to sukces. Religia, tak jak ojca rozumiem, jest tym, co ludzie nazywają kawiarnianym pieprzeniem. Właściwie, w pewnym sensie to dobra nazwa. Posiadał staruszek, obserwujący ze szczytu, co dzieje się w każdym zakamarku organizacji. Zawsze gotowy wysłuchać czyichś problemów, nawet jeśli związane są one z zamiataniem podłogi lub obsługą windy. Ponadludzki tylko w pewnej skali. – Nie zmieniając kierunku spojrzenia ani nie odwracając wzroku, Roger pochwycił obiema rękoma dwa drinki z załadowanej tacy niesionej przez Murzynkę w białej sukni. Jeden z dwóch zdobytych w ten sposób drinków trzymał w gotowości. Drugi odstawił na półkę. Kontynuował: – Czy pańska wyobraźnia jest tak ograniczona, że przerażenie i strach płynące z tej wielkiej tajemnicy po prostu ojca omijają? Nigdy się ojcu nie wydawało, że nasze związki z Bogiem oparte są na strachu, złości i niechęci tak samo jak miłości? A wie ojciec, jak wygląda rozpacz? Dlaczego ojcu się wydaje, że wie

wszystko, co On myśli o nas? Nie mówię, że to nie jest miłość. Ja też nie wiem. Ale jeśli to miłość, to jakiś dziwny jej rodzaj, nie uważa ojciec? Bardzo dziwny. Ale nie przypuszczam, by ojciec to zdołał zauważyć. Niestety, ojca wrażliwość została zapakowana, przewietrzona i zamrożona poza bytem. Nie można oczywiście powiedzieć, że ojciec nie ma kontaktu ze współczesnym światem, ale ja to mogę zrobić. Chyba ojcu zazdroszczę, wyznaję to otwarcie: te ornaty z Piątej Alei i kursujący komunikanci, i neon „Jezus”, i skacowani grzesznicy. Co ojciec im daje? Zdrowaśkę za każde następne martini powyżej trzech. Niezła zabawa. Jest tylko jeden problem. Ojciec upiera się, by nazywać to religią. Czy może to też już minęło?

Odezwał się nowy głos. Z pozoru obcy, wydawał się Rogerowi za bardzo znajomy. Należał do Irvinga Machera, który pojawił się nie zauważony przy boku Rogera. Głos rzekł:

– Bardzo kompetentne, ale za bardzo wykalkulowane, prawda? Czy trochę nie brakuje temu spontaniczności?

– Co ty, do cholery, tu robisz? – spytał Roger ze szczerym zdumieniem.

– Jestem członkiem Rho Epsilon Chi. Przykro mi, panie Micheldene, rozumie pan, należę do wspólnoty, której własnością jest ten dom. Kiedy więc usłyszałem, że został pan tu zaproszony, oczywiście przyjechałem, by odnowić z panem znajomość. Chciałbym, by poznał pan moich przyjaciół. Pamiętasz, jak mówiłem ci o panu Micheldene z Anglii? Oto on. To jest Tom Shumway i Prince Castlemaine, który prowadzi stację radiową i Ed Hirsch, nasza gwiazda tylnej ćwiartki. To pozycja w rodzaju futbolu, który tu uprawiamy. I John Page, i Pitt Hubler. Proszę powiedzieć, czy zechce pan zjeść z nami kolację dziś wieczorem?

– O Boże. Nie. Powiedziano mi, że mogę iść coś zjeść albo o szóstej, albo o szóstej czterdzieści pięć. Poczekam więc raczej tu na herbatę z przekąską po takim picciu. A później idę na kolację z profesorem Parrishem i ludźmi, których mam poznać.

Roger wiedział, że chcą, by zmienił temat i towarzystwo. Odwracając się do Machera i jego kolegów, musiał odwrócić się od poprzedniej grupy słuchaczy włącznie z dziewczyną w koszuli i służebnikiem Boga. Colgate zareagował w miarę przyzwoicie na wypowiedź Rogera pod jego adresem. Był zupełnie bierny. Patrzył tylko fotogenicznie na Rogera, kiwając od czasu do czasu powoli i delikatnie głową. Lepiej by było, gdyby próbował choćby słabo zaprzeczyć lub potępić i w ten sposób zasłużyć sobie na ostateczne zmiżdżenie. Ale ogólnie rzecz biorąc, był już raczej załatwiony. W każdym razie ważne w tej chwili było znalezienie jakiejś kary dla Machera za jego wtrącenie się do kazania Rogera.

– Wiem, że czasami sprawiaam wrażenie kretyna, który powoli załapuje, o co chodzi, Macher – rzekł Roger, biorąc szczyptę George'a IV ze swojej srebrnej tabakierki. – Ale chciałbym, jeżeli oczywiście mogę, podjąć ten temat, który przed chwilą pan poruszył. Czy mógłby pan to rozwinąć? Proszę wybaczyć, lubię gdy sprawy są jasne, może dla pana przesadnie – taka mała słabostka.

Na miejscu Machera Roger odciąłby się, udając, że nie pamiętał, o czym mówił. Macher jednak odpowiedział natychmiast:

– Oczywiście pan i ja nie różnimy się bardzo w kwestii podstawowych poglądów. Chodzi raczej o to, może nie wyrażam tego dobrze, że pewne myśli, które pan przedstawia, są bliskie temu, co ja sądzę. Mój sprzeciw spowodowany był tym, że pan się w dużej mierze produkował zamiast mówić. Wyglądało to na wyćwiczone. Co oznacza, że prawdopodobnie było wcześniej wypróbowywane. Jak wiele rzeczy w pańskim wykonaniu, z całym szacunkiem, panie Micheldene. Nie uważam za zbrodnię tego, że ludzie różnią się ode mnie. Powiedziałbym raczej, że jestem tak samo tolerancyjny jak pan. Po prostu lubię, gdy ludzie zachowują się naturalnie, bez zwracania sobie stale głowy efektem. Zachowywanie się jak człowiek oznacza dla mnie poddawanie się impulsom. Przepraszam znowu za pewność siebie, ale nie wydaje mi się, by pan stosował tę zasadę często. Tak naprawdę to nie był pan zły na tego duchownego. Po prostu zachowywał się pan jak zazwyczaj. A to, o czym pan mówił, jest lepsze w wydaniu Grahama Greene'a.

W tym czasie Roger z, jak mu się wydawało, hipnotycznym namysłem wyciągnął swoje pudełko ze świńskiej skóry i wyjął z niego cygaro. Z pewnością wszyscy poza Macherem śledzili jego gesty.

– Czy oskarża mnie pan o nieszczerłość, panie Macher? – spytał Roger uprzejmie.

– Oczywiście, że nie. To byłoby zbyt aroganckie z mojej strony. W każdym razie nie jest to świadoma nieszczerość. Jak mógłbym? Wszystko co wiem o pańskich intencjach pochodzi z tego, co słyszę z pańskich ust. A z kolei to, co pan mówi, robi na mnie wrażenie przedstawienia. To kwestia stylu wypowiedzi, który panu najbardziej odpowiada.

– Do cholery, Irv – odezwał się młody człowiek, być może Hirsch. – Krytyka Literacka 332, daj z tym spokój.

– Czy pan myśli, panie Macher – rzekł Roger – że z pańską z konieczności ograniczoną wiedzą na temat języka angielskiego może pan czuć się upoważniony do wypowiadania się z namaszczeniem o... jak brzmiał ten żargon? Formy wypowiedzi?

Macher roześmiał się.

– No to prawda. Miałem szansę mówienia jakimkolwiek językiem tylko o połowę krócej niż pan, ale po takim zastrzeżeniu... Jako rodowity Amerykanin w pełni władz umysłowych deklaruję całkowity rozdział od pana jako użytkownika języka angielskiego. Mógłbym posunąć się jeszcze dalej i powiedzieć panu, że jeżeli chodzi o rozwój języka, to Stany Zjednoczone są obecnie w centrum, zaś Anglia na peryferiach. Ale ja nie...

– Irv, ty skurwysynu – odezwał się Hirsch. – Co to za lingwistyczne mentorstwo w stylu doktora Banga? Jakbyś nie mógł...

– Rozumiem, że wykształcone środowisko doktorów nie wydaje ci się dobrą rekompensatą, Ed? – spytał Macher. – W każdym razie pośrednio.

– Do cholery z tym, Irv. Tego nie powiedziałem. Zaczynało mnie już wkurzać to...

– Bo ja osobiście nie mam mu nic do zarzucenia – rzekł Macher i spojrzał na Rogera.

– Zwłaszcza smaku w kwestii żon.

W tym momencie reszta młodych ludzi, z wyjątkiem jednego, wybuchnęła okrzykami:

– Nie odmówiłbym! Niezła babka! Ma boską figurę! Stary, jaki kawał dupy! Gdybym mógł ją dostać! Hej!

Roger, który zamierzał właśnie zapalić cygaro, pozostał w bezruchu. Gdyby – nie wiedzieć skąd – nie przypomniało mu się nagle nieudane spotkanie z Helene w Halloween i gdyby Macher nie badał go wzrokiem z takim zainteresowaniem, najprawdopodobniej nie powiedziałby:

Chciałbym wrócić do tego, o czym rozmawialiśmy przed chwilą, panie Macher. Odważę się zasugerować, że być może jednym z powodów pańskiego braku satysfakcji z tego, co powiedziałem ojcu Colgate, jest to, że, nie ze swojej naturalnie winy, nie potrafi pan docenić subtelności dyskusji między chrześcijanami.

Ton raczej niż słowa spowodowały, że zapadła chwilowa cisza. Potem Hirsch rzekł:

– Idę coś zjeść – i poszedł.

Młodzieniec, prawdopodobnie Page, zdołał powiedzieć: „Słuchaj, panie Micheldene, my tutaj nie czynimy wrogich uwag na temat...”, zanim prawdopodobnie Castlemaine wtrącił:

– Przepraszam, panie Micheldene, czy mogę zadać panu osobiste pytanie?

– Proszę bardzo, słucham.

– Dziękuję. W takim razie chciałbym się dowiedzieć, czy zamierza pan wypalić to cygaro bez zdjęcia tego paska dookoła, bo na to wygląda.

– Tego paska dookoła?

– Tego kolorowego papierka przy końcu.

– A, pierścienia. Co za głupota z mojej strony. Tak, naturalnie, zostawiam go, gdy palę – odrzekł Roger. – Dlaczego pan pyta?

– Jestem z Filadelfii i o tych rzeczach wiem bardzo mało. Z tego co widziałem, to tu ludzie palący cygara zdejmują ten pierścień... przed zapaleniem. Czy powiedziałyby pan, że źle robią?

– Nie. Źle? Nie, wcale nie. Nie bierzmy tego tak poważnie. – Roger mówił z ożywieniem. Zdobywszy przewagę nad Macherem, niechętnie zmieniał temat. Tym bardziej, że przewaga ta została osiągnięta nie bez pewnego poświęcenia. Nigdy nie nazywaj Żyda Żydem, jeżeli nie jesteś pewien, czy to nie wyprowadzi go z równowagi – zdrowa zasada, którą złamał pod wpływem wspomnienia o Helene. Daleki od rozzłoszczenia się Macher spoglądał na Rogera z osobliwą życzliwością.

Castlemaine rozważał dalej:

– Może więc... społecznie niestosowne?

– Też nie. Zdejmowanie pierścienia przed zapaleniem jest po prostu nieszkodliwą nowoczesną pozą, związaną również z ryzykiem uszkodzenia owijki, zewnętrznego liścia.

– Ciekawa uwaga.

– To, co najlepsze w cygarach spala się przed pierścieniem. Z mojej teorii wynika, że pozycja pierścienia przypomina palaczowi o tym, że osiągnął etap, powiedzmy malejących zysków. Ale nie znajduję potwierdzenia w literaturze na temat cygar.

– Dziwne.

– Teraz muszę przerwać tę interesującą dyskusję i zabrać naszego przyjaciela, pana Micheldene'a na jego wykład dziś wieczór. – Zostało to powiedziane o wiele wolniej niż mógłby przypuścić posiadacz normalnych organów mowy. Ale Maynard Parrish zawsze mówił w ten sposób. Ubrany w garnitur koloru zielonej butelki, błyszczący nie z powodu nadmiernego zużycia, ale ze względu na gładki wzór, zdążył wejść i złożyć ukłon w stronę każdego studenta, zanim skończył zdanie.

Roger pożegnał się symbolicznie z kolegami Machera, ale ze zdziwieniem spostrzegł, że niektórzy albo nawet wszyscy towarzyszą jemu i Parrishowi w kierunku wyjścia. Przez moment mignął w drzwiach telewizor z oddziałem kawalerii Stanów Zjednoczonych na ekranie i grupka kilku osób zgromadzona wokół. Hol wyłożony był grubymi dywanami, wystrój wnętrza wykonany ze skóry i uzupełniony ciemną boazerią. To z dodatkiem chromowego oświetlenia tworzyło jedyny styl, jaki znali.

Roger wziął teczkę z przesadnie urządzonej szatni, poczuł chwilową, choć żywą, nienawiść do grupy ludzi w krótkich spodniach oraz tych z fotografii przy drzwiach wejściowych i pozwolił się przeprowadzić przez jezdnię do podobnego budynku. Światła i neon oświetlały ścieżkę. Wewnątrz należało pokonać schody, przejść przez jakiś korytarz, uważając szczególnie na zakrętach. Słabość amerykańskich trunków okazała się ich zaletą. Znalazł się w zatłoczonym przedpokoju z dwudziestoma innymi ludźmi. Jeden z nich był redaktorem gazety uniwersyteckiej, inny redaktorem lokalnego dziennika. Tych można się było spodziewać, ale co tu robi ojciec Colgate? I kim są te wszystkie kobiety?

9

Otwierając teczkę i wyciągając materiały potrzebne do wykładu, Roger stale rozważał problem obecności Colgate'a i kobiet. To, co z pewnym wysiłkiem opracował, obiecując sobie, że Helene (która zobowiązała się do uczestnictwa) będzie musiała kupić go w roli odkrywcy faktów, człowieka interesu, znawcy zasad, którymi kieruje się świat. W tym celu wyposażył się nie tylko w szczegółowe notatki, ale i drukowane materiały, z których chciał czytać fragmenty. Całość, tworząca pokaźny plik maszynopisów i druków, zastąpiona została jakąś cienką broszurą. Ta obecnie stanowiła wyłączną zawartość jego teczki.

Roger przyglądał się czemuś, co najwyraźniej było dziecięcym komiksem. Na okładce widniała jaskrawa kolorowa karykatura chłopca o twarzy bardziej zachęcającej do kopniaka niż wszystkie inne, które Roger mógł sobie wyobrazić. Kark mu zlodowaciał, a twarz rozgorzała.

– Zobacz – zdołał wypowiedzieć do Parrisha, który spojrzał na to z senatorską życzliwością i rzekł:

– Tak. Najbardziej...

Roger przerwał mu gwałtownie:

– Nie rozumiesz? Ktoś ukradł moje notatki do wykładu i podłożył to... to...

Pieklił się mniej lub bardziej nieartykułowanie, podczas gdy inni gromadzili się wokół niego, pytając, współczując, wykrzykując, uspokajając. Część jego mózgu działała jednak sprawnie. Dziecko na rysunku skierowało jego myśli na inne dziecko, którego cała potworność skupiona była wewnątrz. Przed wyjściem od Bangów, kilka godzin temu, położył swoją teczkę na stole przy drzwiach wejściowych. Wówczas Artur spytał go o jej zawartość. Roger wyjaśnił, że są to materiały do wykładu. Potem, pamięta to ze szczegółami, poszedł do swojego pokoju zmienić krawat. Pułkowy krawat, który pierwotnie wybrał, okazał się po namyśle zbyt zwyczajny. Poświęcił więc trochę czasu na wiązanie zielonej muszki – dostatecznie długo, żeby ten pomysłowy, miniaturowy diabeł mógł dokonać zamiany. Ale uświadomienie sobie tego, jakkolwiek by nie było przekonujące, nie spowodowało wyładowania złości na towarzyszących mu ludziach. Miał zwyczaj w takich sytuacjach rzucać się na jakikolwiek obiekt ludzki w zasięgu wzroku, czego doświadczyło wielu londyńskich kelnerów, lokai hotelowych, telefonistek. Nawołując do ciszy potrząsaniem pięści, rzekł:

- Proszę, żeby ktoś poszedł i poinformował zebranych, że nie wyjdę.
- Ale przecież z pewnością...
- To nieuczciwe trzymać tak ludzi.
- Ale jest ich tutaj ponad stu pięćdziesięciu.

– Nie obchodzi mnie to, nawet jeżeli byłoby sto tysięcy. Będą musieli obejść się beze mnie. Trudno.

– Ale nie możesz tak po prostu odmówić.

– Nie mogę? Z jakiego to powodu nie mogę? To nie moja wina, prawda? Proszę cię uprzejmie, byś o tym pamiętał. To nie moja wina.

– Słuchaj, stary – rzekł Maynard Parrish tonem, którym uspokajał już niejedną burzliwą dyskusję w instytucie i wprowadzał totalną, niczym nie zakłóconą apatię – zastanów się, czy nie uda się znaleźć jakiegoś wyjścia z tej, nie ma co ukrywać, trudnej i niefortunnej sytuacji. Ze swej strony mogę podjąć...

– Nic nie można zrobić. Nie będzie wykładu i koniec.

– Chwileczkę, Roger. Spośród ludzi, z którymi miałem przyjemność rozmawiać jesteś, a mówię to nie z chęci podlizania się, jednym z najbardziej elokwentnych wykładowców; wypowiadasz się z największą swobodą. Z pewnością więc, dla kogoś takiego nie jest niemożliwe zaimprovizowanie...

– Jeżeli myślisz, że pójdę tam i zabiorę tym ludziom pięćdziesiąt minut jakimiś wymyślonymi na poczekaniu bzdurami, to się rozczarujesz. Być może oni nie są w stanie zauważyć różnicy między czymś takim a normalnym wykładem, ale ja jestem. Nie zrobię tego.

– A gdybym ogłosił półgodzinne opóźnienie. W tym czasie mógłbyś skoncentrować się na...

– Nie.

Roger rzekł to z takim zdecydowaniem, że zapanowała kompletna cisza nie tylko w pokoju, ale prawdopodobnie nawet wśród audytorium czekającego za parą wahadłowych drzwi. Parrish, Macher z kolegami, dwóch redaktorów, sześć pięćdziesięcioletnich kobiet, ojciec Colgate patrzyli na niego, gdy rzucił komiks na podłogę, a po chwili zmienił zdanie: podniósł go i wetknął z powrotem do swojej teczki.

– Mam nadzieję, że zjesz ze mną kolację, Roger? – odezwał się Parrish.

– Nie licz na to. Zadzwoń do ciebie. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę iść.

Gdy wyszedł, uświadomił sobie, że ktoś wybiegł za nim z przedpokoju. Był to ojciec Colgate. Rzekł szybko:

– Muszę coś panu pilnie powiedzieć.

– Wątpię, by było to aż tak pilne, ojcze. Cokolwiek to będzie, mogę tego...

– W moim powołaniu szybko rozwija się coś, co można nazwać instynktem, z pomocą którego dostrzega się oznaki konfliktu duszy z Bogiem. Ty, mój synu, jesteś bardzo poważnie rozstrojony. Doświadczasz ostrego bólu duszy. Jest to nieomylny znak, że dusza jest w niezgodzie z Bogiem. Wywnioskowałem to z pańskich gwałtownych, szalonych słów skierowanych do mnie tam w domu wspólnoty. A potwierdzenie dała mi obserwacja pańskiego zachowania przed chwilą. Człowiek na ogół nie zachowuje się jak dziecko, jeżeli oczywiście nie rani go jego dusza. Pańska dusza pana rani, panie Micheldene. Czy nie zechciałbyś, synu, bym wysłuchał twojej spowiedzi? Teraz, im szybciej, tym lepiej.

Roger opanował się tylko dzięki serii wewnętrznych rozterek dotyczących tego jak mocno, gdzie i kiedy przyłożyć temu, który do niego mówi. Pauza skusiła go do odezwania się:

– Nie jestem twoim synem, ty bufonie w obroży – rzekł z pewnością siebie. – Nie wyznałbym ci niczego, nawet gdybym miał sznur na szyi. A teraz jeśli nie chcesz zostać męczennikiem, to won mi z drogi w trzy sekundy.

– Opór wobec woli Boga jest najlepszą...

– Wola Boga jest taka, żebym natychmiast napił się mocnego drinka. I lepiej, żeby mnie nikt od tego nie odciągał. Do widzenia. A, i pomódl się za mnie, co, ojczcze? To ci dobrze zrobi.

Roger wlał w siebie trzy mocne, duże drinki, siedząc przy barze.

– Pan jest Anglikiem, prawda? – spytał barman.

– Tak.

– Byłem w Anglii w czasie wojny. Zna pan Southampton?

– Nie.

– No, to już za dużo powiedziałem. Proszę sobie nie przeszkadzać.

Rozmyślania nasunęły Rogerowi nieprzydatną refleksję, że improwizując swój wykład, mógłby zaimponować Helene bardziej niż odczytując notatki. Zakładając oczywiście, dodał w duchu ponuro, że jest w stanie w ogóle zrobić na niej wrażenie czymkolwiek. Następnie zaczął medytować nad Arturem. Numer z teczką wymagał połączenia pomysowości ze złościwością i odwagą, zdumiewającymi cechami u kogoś tak młodego. Ale czy naprawdę zdumiewającymi? Jeżeli przeznaczeniem Artura było zostać arcykryminalistą, to wobec tego ujawnić musiało się to wcześniej. Galileusz, Kolumb, Clement Attlee, Caxton także byli dziećmi. Zupełnie nagle zdumiał go ogrom jego miłości do Helene. Gdyby odeszła od Ernsta i związała się z nim, wzięłaby prawdopodobnie Artura ze sobą, a to Roger starał się z uporem jej wyperswadować. Tu związała się nowa, nieoczekiwana myśl.

Skończył drinka z cichym toastem dla Heroda i zamówił taksówkę. Szybkość tej operacji: od połączenia do przyjazdu taksówki, zirytowała go trochę, ale nie był w stanie wymyślić innego rozsądnego wyjścia.

– Dobranoc, Claud – pożegnał go barman.

Po powrocie do Bangów Roger zastał Helene przy kominku czytającą magazyn kobiecy z filiżanką kawy w ręku. Miała na sobie sandały ze złotymi paskami, szerokie spodnie w paski, kamizelkę z grubej wełny w kolorze cytryny, która lekko dopasowywała się do figury w przeciwieństwie do jej zwykłych swetrów i bluzek. Policzki były zaróżowione, a całość rozespana i urocza jak zwykle. Przewróciła stronę i powiedziała:

– Cześć. Wcześniej wróciłeś. Jak poszło?

– Jak poszło? Nie byłeś tam?

– Nie. Strasznie mi przykro, naprawdę próbowałam, ale nasza niania, która zwykle przychodzi, miała do skończenia pracę w bibliotece. Nie mogłam już złapać nikogo innego. Naprawdę starałam się. A jak poszło?

– Poszło? W ogóle nie poszło. Nie było wykładu.

Ernst, ze zdemontowaną zabawką mechaniczną w ręce, wyszedł z kuchni. Był zdumiony. Helene odłożyła magazyn i rozejrzała się za papierosem.

– Dlaczego nie? Chory jesteś czy co? Co się stało?

– Ze mną wszystko w idealnym porządku – rzekł Roger. W rzeczywistości poczuł się zmieszany ewidentnym brakiem zainteresowania jego wykładem ze strony Helene (bo co zabraniało Ernstowi zająć się dzieckiem?), ale nie zaskoczyło go to. Był pewny, że dzięki przygotowanym rewelacjom zdobędzie poparcie dla swojej anty-Arturowej ligi. Wściekłość zawsze jest zabawna, to prawda, wiadomo też, że obniża skuteczność działania, natomiast rodzice stają się szczególnie wrażliwi, gdy jest ona skierowana przeciw ich dzieciom.

Ernst i Helene spojrzeli najpierw na siebie, potem na Rogera. Roger podszedł z całą pompą do ławy, położył swoją teczkę i otworzył. Powoli wyciągnął z niej komiks. Trzymał go tak wysoko, by mogli wyraźnie zobaczyć. Potem chrząknął jak przed wykładem.

– To – rzekł – znalazłem zamiast moich notatek i materiałów przed wejściem na mównicę dzisiaj wieczora. Notatki zginęły, ale jestem przekonany, że dobrze wiem, gdzie są. Za chwilę do tego przejdziemy. W każdym razie uznałem moje wystąpienie za odwołane. To samo powiedziałem temu staremu tumanowi Parrishowi i wyszedłem. Wypiłem kilka drinków w jakimś barze i wróciłem tutaj. Powiedziałem Parrishowi, że może zjem z nim później kolację. Ale tak naprawdę nie mam na to ochoty.

Helene zapytała z niedowierzaniem:

– Ale nie mogłeś po prostu czegoś wymyślić, tak z kapelusza? To miało być o wydawnictwach, co? Na pewno masz to wszystko w małym palcu, wystarczająco na...

– Nie, Helene – odezwał się Ernst. – Tu Roger ma zupełną rację. Metoda przygotowywania się jest w każdym przypadku inna. Jeśli ktoś zebrał materiały do oficjalnej wypowiedzi, to jego stosunek do tego jest taki, że...

– Ale wszyscy ci ludzie, którzy przyszli, spodziewali się, że...

– ...możliwości porozmawiania nieoficjalnie, która oczywiście z odpowiednim ostrzeżeniem...

– ...w ogóle nie krytyczni, byli całkiem zadowoleni z...

– ...właściwie zakłóca każdy rodzaj improwizowanej...

– ...wysłać ich do domu nawet bez...

– ...bezwzględny dla każdego...

– ...jak telewizja...

Roger uznał, że czas najwyższy przejąć panowanie.

– Zostawcie to w spokoju – rzekł. – W tej chwili najbardziej mnie interesuje, kto jest odpowiedzialny za ten... żart.

– Ma pan jakieś podejrzenia, panie prokuratorze? – spytała Helene.

– Tak, mam, i będę zupełnie szczerzy – głos Rogera brzmiał łagodnie. Uśmiechnął się nawet. – Łączę dziecięce komiksy z dziećmi. O ile mi wiadomo, tylko jedno dziecko miało szansę zagłębienia do mojej teczki po tym, jak włożyłem tam materiały. Artur.

– Ale on nie zrobiłby czegoś takiego – ożywiła się Helene, Ernst zaś potrząsnął głową zdecydowanie.

– Spytał mnie, co jest w środku. Wyjaśniłem, że notatki do wykładu i wyszedłem, zostawiając teczkę bez opieki na kilka minut. I oto macie.

– Ale dlaczego miałyby...? – zaczęła Helene.

Ernst ciągnął dalej:

– Roger, rozważ proszę to, co mówisz. Powiedziałeś Arturowi, że w twojej teczce są notatki do wykładu, tak? A teraz zastanów się chwilkę co termin „wykład” oznacza dla małego dziecka. Jeżeli ono w ogóle może mieć coś na myśli, to jedynie to, co się odbywa, to na co idą jego rodzice i inni ludzie. Jak koncert powiedzmy. My dorośli jesteśmy przyzwyczajeni do myślenia abstrakcyjnego. Dla nas wykład oznacza zarówno aktywność jak i przedmiot, plik kartek, które można nosić ze sobą, a nawet drukować i oprawiać. Ten rodzaj semantycznej relokacji jest tak znajomą nam cechą języka, że jego powszechność już nie...

– Czy mogę spojrzeć na ten komiks? – zwróciła się Helene do Rogera. – Przecież to czasopismo „Crazy”, a nie zwykły komiks. Tego dzieci nie czytają, przynajmniej nie w wieku Artura. Jest zbyt trudne.

– Artur jest zadziwiająco inteligentny – rzekł Roger. – Co do tego wszyscy się zgadzamy.

– To nie jest inteligentne. To jest satyryczne.

– Ach, satyryczne – rzekł Roger jakby mówił o mentolowej tabace lub afrykańskim polityku. – Myślałem, że dostają to teraz za darmo razem z kólkami w czasie ząbkowania. W każdym razie są tu obrazki, potwory i rzeczy w tym stylu, prawda? Dostatecznie dużo, by zainteresować takie dziecko jak...

– Tego nie wiesz.

– Czy mogę to zobaczyć? – spytał Ernst. Zaczął uważnie przeglądać czasopismo.

– Można to wszystko rozstrzygnąć w bardzo prosty sposób – rzekł Roger nadal łagodnie. – Jestem absolutnie pewien, że to sprawka Artura, ale ani ty, ani Ernst nie jesteście przekonani. Zobaczmy więc, co Artur ma do powiedzenia.

– Dobrze, wspomnę mu o tym rano. Ale nie widzę...

– Nie rano. Teraz.

Jej podłużne, jasnoszare oczy do tej pory spoglądały na niego bez zbytej uwagi, z rodzajem neutralnego zdumienia. Teraz jej wzrok zaostrzył się. Otworzyła i zamknęła usta.

– Roger, on śpi. Jest późno.

– Bzdura. Jest dopiero za dwadzieścia pięć dziewiąta. Jeśli się mylę lub niczego to nie wyjaśni, to i tak nie wyrządzimy mu wielkiej krzywdy. Jeśli zaś ja mam rację, a nie sądzę, by była tu jakaś wątpliwość, Artur dostanie ode mnie ostrą lekcję, którą zapamięta na długo.

Położyła rękę na jego ramieniu.

– Posłuchaj, wiem, że jesteś zdenerwowany, ale pomyśl rozsądnie. Nie zamierzam go budzić, ciągnąć tu i oskarżać o coś, czego nawet nie byłby w stanie zrozumieć. Nie licz na to.

Roger strząsnął jej rękę. Nie powiedział nic. Ale wyraz jego twarzy spowodował, że Helene odwróciła się gwałtownie. Ernst – zapomniany przez oboje na chwilę – wybuchnął nagle głośnym, falującym śmiechem.

– Spójrzcie na to – powiedział z trudem. – Jakie wspaniałe. To naprawdę dobre. Laboratorium medycyny sądowej nie udało się zbadać dowodów dostatecznie wnikliwie. Sprawa podejrzanego dziecka wyjaśniona. Proszę, tu na dole.

Na ostatniej stronie czasopisma rozmazanymi, lecz czytelnymi niebieskimi literami było napisane: „Własność wspólnoty Rho Epsilon Chi: nie wyciągać z czytelni”.

Mięśnie twarzy Rogera na chwilę uciekły spod kontroli. Ernst nie przestawał się śmiać i Helene po krótkim wahaniu zawtórowała mu. Brak złości w ich śmiechu pogorszył sprawę. Porzucając próbę znalezienia słów lub działania dającego upust uczuciom (bliski rzucenia się przez okno), Roger przyłączył się do śmiechu. Modulowane dźwięki, wszystko na co było go stać, wytrzymały próbę. Ernst objął Helene i śmiejąc się, powiedział:

– Zatem niewinne dziecko zostało oszczędzone w samą porę. Uciekło spod noża. Ziałeś ogniem i żądzą zemsty, gdy tu przyszedłeś, co, Roger? Gdyby nas tu nie było, Artur dostałby surową karę. Co za szczęście.

– To ja powinienem się przede wszystkim śmiać – rzekł Roger, szczerząc zęby i wydając z siebie co pół sekundy parsknięcia.

Ernst wziął się wyraźnie w garść. Zaczął kręcić ramionami, barkami i szyją.

– Ale dość tego. Koniec żartów. Sprawa jest poważna. Albo masz wroga, albo ktoś w okolicy lubi płać figle. Być może i jedno, i drugie. Musimy zdecydować, co robić. Napijmy się i pogadajmy.

Gdy Ernst wyszedł do kuchni, Roger rzekł:

– To po prostu dlatego, że nie wyobrażałem sobie, żeby ktokolwiek inny mógł to zrobić.

– Jasne, wiem.

– Nie myślałem wcale, że jest jakoś wrednie złośliwy czy coś takiego.

– Pewnie, że nie.

– Dzieci lubią różne zabawy, prawda?

– Taak.

Przez całą minutę Roger pracował ciężko nad tym, by przekonać siebie, że nie jest to odpowiedni moment na pytanie o szanse ich wspólnego pójścia do łóżka w nadchodzący weekend. Konwersacja zamarła. Helene rozejrzała się za papierosami. Ernst wrócił z drinkami. Jego twarz wyrażała skupienie i głębokie zamyślenie. Roger zdał sobie sprawę, że nie będzie w stanie znieść trzygodzinnej spekulacji na temat pochodzenia zbrodniczego czasopisma.

Po błyskawicznym telefonie i następnej podróży taksówką znalazł się w towarzystwie Parrisha i jego gości. Czekali na niego z obiadem. Jedenastu członków kompanii miało czas na wypicie ostatniego drinka i przedstawienie różnych opinii dotyczących braku wykładu. Ich konsternacja zdawała się niewyczerpana w swojej przesadzie i różnaitości. Usiadł między profesorką prawa międzynarodowego a francuskojęzyczną żoną tureckiego historyka sztuki. Następnie w salonie zajęto się dyskusją na temat polityki gospodarczej prowadzonej przez administrację. Debatę zamknięto krótkim planem fiskalnym.

Roger czuł się bardziej zmęczony niż pijany, gdy stanął na podjeździe Bangów. Człowiek, który go podwoził, opuścił szybę i rzekł:

– Pańskie podstawowe zastrzeżenie dotyczące Jacka Kennedy'ego wynika z tego, że jest on Amerykaninem. Proszę nie myśleć, że z panem nie sympatyzuję, ale niestety mamy tu takie prawo, które mówi, że prezydent USA musi być obywatelem naszego państwa. Nierozsądne, zapewniam pana, ale tak jest. *Dura lex sed lex*. Stary Irokez powiedziałby tak: Dlaczego nie wrócisz na swoją wyspę i nie zostaniesz tam. Dobranoc.

Odgłos samochodu prawdopodobnie obudził Bangów, których sypialnia znajdowała się obok pokoju Rogera. W każdym razie dobiegały go stamtąd pomruki i szurania. Nie zawracając sobie głowy oddawaniem hołdu na kolanach, Roger uczynił kilka cichych uwag Jehowie w związku z wydarzeniami wieczora, a jednocześnie rozebrał się i położył do łóżka. Był bliski zaśnięcia, gdy dźwięki po drugiej stronie ściany zaczęły nabierać zdecydowanego charakteru. Trwały przez jakiś czas. Zatykanie uszu palcami pomogło zaskakująco mało. Już był prawie w stanie znieść, gdy usłyszał głos wydobywający się z zamkniętych ust Helene. To było trudniejsze do zniesienia, niż gdyby otworzyła normalnie usta. Próbował z całej siły, choć na próżno, przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek tak było, gdy byli razem.

Leżąc na brzuchu, zatkał sobie uszy z obu stron poduszkami i docisnął pięściami.

Nie teraz – wyjącał. – Ile chcecie, gdy mnie tu nie ma, ale nie teraz. Proszę.

10

Następnego poranka Roger obudził się, pamiętając w drobnych szczegółach odgłosy z sypialni Bangów. Natrętna myśl o tym zaległa mu w głowie i zablokowała inne. Po prostu była. Otaczająca cisza uświadomiła mu, że jest jeszcze wcześnie. Nie wiedział jednak jak wcześnie, bo jego zegarek leżał w kieszeni marynarki w drugim końcu pokoju. To, co zdołał zobaczyć przez okno bez podnoszenia głowy, nic mu nie mówiło. Przez oczka zasłon widok był kiepski, neoimpresjonistycznej jakości, podobny do widzenia psa.

Próbował drzemać. Za każdym razem gdy mu się już prawie udało zasnąć, miał złudzenie, że ktoś wali w cienkie metalowe blachy. Dźwięk cichł z szelestem, gdy tylko Roger kierował na niego swoją uwagę. Po jakimś czasie zapadł w sen pełen gwałtownych wizji. Co jakiś czas tak się kulminowały, że przywracały mu świadomość, ale uniemożliwiały ich zapamiętanie. Pozostawało zamiast tego niedowierzanie, że takie rzeczy mogą się dziać w ludzkiej głowie. To niedowierzanie zwiększało się z każdym przebudzeniem, aż do momentu gdy usiadł prawie z dreszczem, na próżno usiłując przypomnieć sobie dlaczego.

Wstał z łóżka, poczłapał do okna. Z tej perspektywy otoczenie wyglądało inaczej. Promienie słoneczne odbite w nieciekawym, jednolitym sposobie sprawiały wrażenie jakby wszystko – sąsiednie domy, trawniki pokryte opadłymi liśćmi, wyżwirowana droga, rzadki, wiecznie zielony zagajnik – pokryte było cienką warstwą żelatyny. Wszędzie była pustka.

Coś drażniło go w nosie – częściowo łaskotało, częściowo szczypało. Potarł ostrożnie, poruszył mięśniami twarzy, zmarszczył się. Próba zrobiona małym palcem nie pozostawiała cienia wątpliwości. Podwójnej wielkości nozdrze, choroba, która pokrywa śluzówkę nosa twardymi, ostrymi i zlepionymi cząstkami smarków. Efektem tego było wrażenie, jakby para jeży wielkości osy wpełzła do jego nosa i postanowiła tam pozostać. Z doświadczenia wiedział, że potrwa to przynajmniej przez następny tydzień. Jego odporność musiała się zmniejszyć – czyżby oznaka starzenia się? – nie zażył przecież zbyt dużo ubiegłej nocy. Znalazłszy się u Parrisha, zwalczył dyskusję na temat niezależnych tendencji Wielkiej Brytanii do rozbrojenia nuklearnego szybką demonstracją wszystkich swoich pudełek tabaki i przedstawieniem standardowego wykładu o tabace: rysu historycznego, metod produkcji, różnorodnych mieszanek, anegdot na temat przypadkowego odkrycia procesu *High Dry Toast* itd. Opanował zagrożenie ze strony uczonego w dziedzinie nauk społecznych, który chwalił się informacją na temat doustnego zażywania tabaki na łodziach rzecznych w Ohio, wtykając mu olbrzymią porcję Sevilli – „dobre, mocne pociągnięcie starczy, by poznać to, co najlepsze” – i wobec jego ataku czterdziestominutowego kichania Roger poczuł się zmuszony do zademonstrowania własnej odporności przez dwukrotne zażycie w czasie minuty ilości wypełniającej łyżeczkę do soli. Silna ta Sevilla. Paznokciem

usunął większe fragmenty i do każdej dziurki od nosa wpuścił po tłustej kropli substancji, którą czasami rozsmarowywał wokół oczu.

Na jego zegarku była ósma. Ubrał się powoli i apatycznie. Ożywił się tylko raz, gdy do czystej koszuli przymierzył liliowo-białą apaszkę w szerokie pasy. Zostało to wyprane z podejrzaną gotowością w małej pralni w pobliżu jego wynajętego mieszkania. Opakowanie uporczywie broniło się przed otwarciem. Tekturowe pudełko, kilka rodzajów plastyku, szpilki – rozrywał, pociągał, rzucał przez dobrą minutę, dziwiąc się własnej obojętności. Wyobrażał sobie wrzaski i okrzyki, jakie w tej sytuacji wydawałby z siebie Joe Derlanger. Roger uświadomił sobie, że czeka na spotkanie z Joem na kolejnym wielkim i szalonym przyjęciu (Czemu oni stale je wydają? Dlaczego dla większości z nich chodzenie na przyjęcia jest jedynym zajęciem?), które Ernst wyznaczył na dziś wieczór. Joe miał w sobie coś z dziecka, ponura ułomność, ale poza tym był człowiekiem wykształconym. Zaś cechą szczególną była szybkość, z jaką rozpoznawał i zwalczał każdą siłę sprzeciwiającą się jego woli. Dużym przeżyciem było usłyszeć, jak zaprotestował przeciwko porom posiłków i menu ustalonym przez Grace, nie powtarzając nigdy zarzutów dwukrotnie: zbyt wiele, zbyt późno w nocy, żadnych tych francuskich świństw, żadnych hamburgerów, bo już były, może po następnych drinkach, jedynie z wyśmienitą cieleciną. Głodowanie w tym czasie przez godzinę lub dwie było karą, która dosięgnęła nawet Rogera.

Włożył kurtkę Królewskiego Klubu Jachtowego i wyszedł z domu. Przeszedł na palcach obok pokoju Artura, z którego dochodziły odgłosy niezidentyfikowanych emocji i dźwięk małych pojazdów mechanicznych. Niebo było bladoniebieskie, a powietrze łagodne. Tegoroczna złota jesień, według wszelkich zapewnień, miała pobić wszystkie rekordy. Być może rzeczywiście nikt nie zamarznie na tej łodzi, która miała być miejscem wieczornej swawoli. Łódź? Albo okaże się nie klimatyzowanym jachtem, z umundurowaną załogą, dwoma lub trzema barami obwieszonymi abstrakcyjnie ekspresjonistycznymi obrazami. Albo, co bardziej prawdopodobne, okaże się autentycznym reliktem znad Missisipi, przetransportowanym we fragmentach przez pół kraju na tę okazję, z ludźmi w średnim wieku ubranymi w dżinsy i skórzane kurtki, wydzielającymi skromnie martini z wnętrza tej wymoczonej tratwy. Czy oni nigdy nie mogą robić niczego, nie przesadzając co najmniej dwukrotnie?

Zanim będzie można znaleźć odpowiedź na te zagadki, trzeba poczekać do końca dnia. Pierwszą próbą będzie śniadanie *a quatre* z Arturem Bangiem w roli głównego mówcy i domowego akrobata. Zaraz po skończonym śniadaniu Roger zamierzał powrócić do swojego pokoju i pozostać tam aż do lunchu. Powiedział, że ma pracę do zrobienia – jak zauważył po powrocie w nocy, ktoś wstawił do jego pokoju małe biurko, antyczną podróbkę. W rzeczywistości miał do przejrzenia kilka próbnych wydruków, ale głównym zadaniem tego poranka miało być napisanie długiego listu do obecnej żony, Pameli, w którym między innymi chciał jej zaproponować wspólne zjedzenie obiadu i przedyskutowanie kilku spraw zaraz po jego powrocie do Anglii.

Przeciwko Pameli można było wiele powiedzieć, czego nikt nie wiedział lepiej od niego. Pamiętał ten dzień w Ascot, gdy jej matka ostrzegała go, że Pamela jest nerwowa i trudna we współżyciu. Była świetna w robieniu urojonych afrontów, skłonna do płaczu, gdy korygował jej gramatykę lub wytykał, że czytanie za niego jakiegoś przypadkowego maszynopisu nie usprawiedliwia braku sosu *vinaigrette* na wydawanym przez nich przyjęciu. Ona skarżyła się, że Roger jest w łóżku egoistą. Z drugiej zaś strony była dekoracyjna, знаła wielu ludzi i była w stanie porozmawiać poważnie, gdy na chwilę przestała wygłaszać różne opinie o jego brutalności wobec niej. Prawdziwy kłopot był wtedy gdy, jak na przykład teraz, z pewnego powodu nie mógł się zobowiązywać; wolał raczej pojednanie, które zbiegało się z momentami, kiedy z nie wyjaśnionych przyczyn wyobrażał sobie, że mógłby się znowu związać z Kościołem. Pytany o zdanie Kościół głosił niezmiennie, że według jego prawa jest stale mężem swojej pierwszej żony, Marigold. I nie pomagała świadomość, że Kościół jest w błędzie, emocjonalnie w błędzie, w każdym ujęciu poza tym najbardziej bezmyślnym i obskuranckim.

W każdym razie czytanie i pisanie zajmowały go długo jeszcze po chwili, gdy rozpoczęło się południowe spotkanie przy drinkach, na którym miał mieć możliwość pogłębienia swojej znajomości z grupą: Fraschini-Sullivan-Selby-Green. Potem będzie samoobsługowy posiłek, po którym wszyscy będą go namawiać, by poszedł z nimi na mecz futbolowy, Budweiser kontra Ballantine – nie tak ważne wydarzenie jak pojedynek Budweiser-Rheingold w przyszłym tygodniu. Żaden najprawdopodobniej nie będzie interesujący, a Roger z pewnością nie będzie chciał zrezygnować z szansy zobaczenia prawdziwego college'owego futbolu. Następnym etapem będzie próbka, tak długa jak będzie chciał, jego ulubionego aktu szyderczego niezdecydowania, pełnego aluzji do pracy, spodziewanych telefonów i tak dalej. W końcu mógłby przecież odmówić i wtedy przyjęcie futbolowe wraz z imprezą Ernsta odsunęłoby się. A potem...

Spacerował po zielonej trawie, w kierunku miejsca gdzie na początku tygodnia zobaczył jelenia. Słońce grzało mu lekko kark. Doszedł do małej drewnianej chatki z czerwonymi i zielonymi proporcami z napisem „Budweiser” zawieszonymi nad drzwiami. Zerknął do środka. Dostrzegł ślady bytności dziecka. Mokre, postrzępione komiksy, resztki jedzenia, plastikowe paski i kabury, mechaniczne roboty. Podniósł jednego z nich.

Działął. Wzniósł go na zewnątrz. Potem, spoglądając ostrożnie w kierunku domu, z całej siły rzucił w odległy skraj posiadłości, w zadbaną kępę drzew. Zabawka zniknęła z szelestem, zatrzeszczały gałęzie. To oduczy szczeniaka oszukiwać dorosłych w kretyńskich grach, pomyślał sobie Roger. Potem wrócił na drogę.

Idąc, rozglądał się za kwiatami, były one bowiem jedyną rzeczą w świecie doczesnym, którą lubił. Ale jak się można było spodziewać, wokół nie było ani jednego. Tu ludzie cenią je jako symbole seksu i bogactwa, posyłają dziewczynom orchidee, których one nigdy w życiu nie widziały i z pewnością by nie rozpoznały. Nikogo nie interesowało hodowanie kwiatów wokół domu: kto zajmowałby się sadzeniem i dbaniem o klomb róż, gdy w ciągu godziny mógłby mieć cadillaka? Roger wspomniał gorzko ogród różany za Marrano i dom w pobliżu Sevenoaks, w którym mieszkał z Pamelą pięć lat. Gdy go zostawiła, dom wydawał się (i faktycznie był bez jej pieniędzy) nieekonomiczny w utrzymaniu i Roger musiał go sprzedać Żydowi, który handlował odzieżą narciarską dla kobiet. Co taki facet mógłby zobaczyć w olbrzymich żółtych *Mermaidach* i pachnących *Etoiles d'Hollande*, które właśnie rozkwitają, nie mówiąc o krzakach *Rosamundae*, białych różach kosmatych, o których Bill Sussex rzekł, że chciałby mieć w swoim ogrodzie cokolwiek choć w połowie tak świetnego jak one? Roger wyobraził sobie, że jest w Marrano, z sekatorem, który Wilkinson zrobił dla niego, wybiera kwiaty do butonierki na przyszły tydzień lub wyjaśnia jakiejś młodej kobiecie historyczne zalety pewnych tradycyjnych odmian.

W zamyśleniu prawie rozdeptał jakieś nieszczęsne pnącze, które w poszukiwaniu płotu lub czegoś, na co mogłoby się wspiąć, rozłożyło się na ziemi. Jego liście były sztywne, koloru purpurowo-ciemnozielonego, jak dojrzewający karczoch. Roger przyglądał się temu. Zatem to wszystko, na co ich stać. Pokazuje to jak...

Ktoś krzyknął:

– Cześć!

Roger podniósł głowę i zobaczył mężczyznę, być może pana Selby'ego, uśmiechającego się i machającego do niego z furki sąsiedniego ogrodu. Na sobie miał koszulkę w szaro-żółtą kratę. Roger uklonił się i ruszył w stronę drzwi kuchennych Bangów, chcąc się schować, zanim Selby zdążyłby go dopaść i podsunąć kartkę z łacińską nazwą rośliny i mapą pokazującą jej rozmieszczenie w Ameryce Północnej.

W kuchni Helene przygotowywała śniadanie. Smażyła właśnie bekon, który za chwilę odsączyć miała na papierowym ręczniku. Uśmiechnęła się do niego radośnie przez okno, a on spojrział na nią, uświadamiając sobie, że nie pomyślał o niej jeszcze w żaden konkretny sposób tego poranka, poza refleksją, że równie dobrze z nią, jak i z kimkolwiek innym mógłby pójść do łóżka po południu. Werbalizował w duchu ten pomysł – spoglądając na podomkę Helene w niebiesko-białe pasy i na totalny zamęt na jej głowie, na której włosy przyjmowały wszystkie formy od pierzastych do gładkich – gdy poczuł, że traci poczucie rzeczywistości. Jakby musiał zaniechać jakiejś teorii z braku dowodów. A z pewnością nigdy sobie na serio nie wyobrażał, że mógłby nakłonić ją do... Udało mu się wyprzeć ze świadomości to, co od dawna go gnębiło. Nie miał ochoty spotkać się z Helene i zdecydował się pozostać na zewnątrz jeszcze przez kilka minut w nadziei, że przybędzie reszta domowników i swoją obecnością rozładuje jego napięcie. Jak na niego była to niezwykła reakcja, biorąc pod uwagę to, kto odgrywałby główną rolę. Porzucił jednak ten pomysł, widząc i słysząc, że Selby wyszedł przez frontowe drzwi i wymieniał właśnie żartobliwe, demokratyczne okrzyki z listonoszem i Murzynem w podeszłym wieku, który zmiatał opadłe liście z podjazdu przed domem naprzeciwko.

Roger wszedł jakby za namową jakichś tajemniczych instynktów. Przywitał się grzecznie z Helene. Wypił sok pomarańczowy. Pożarł sześć naleśników z syropem klonowym, pokawałkowany bekon, trochę konfitur z pigwy Iowa-Idaho na chlebie ryżowym i wypił cztery filiżanki kawy. To spowodowało, że poczuł się beztroski i postanowił zapalić jedno ze swoich zakrzywionych, czarnych Hondurasów – krótkich, obciętych z obu stron cygar. Potem poklepał Artura delikatnie po głowie, a następnie udał się do pokoju, by przerzucić pretensjonalną, podrzędną literaturę o niewysłowionej mądrości w Kentucky. Następne cztery czy pięć godzin minęły tak, jak się spodziewał. Po ich upłynięciu spytał Helene, czy będzie mogła pójść z nim do łóżka po południu.

– Kochanie, obawiam się, że będzie to strasznie trudne.

– Tak myślałem.

– Widzisz, z reguły mam umowę z Sue Green, że ona zajmuje się Arturem, ale Russ i Linda pojechali do Nowego Jorku, do dziadków na weekend. Clay wziął Sue na mecz, a potem idą na koktajl z Oxenreidersami, on jest trenerem, a Jimmy Fraschini chyba tu zaraz wpadnie, oczywiście mogłabym mu powiedzieć, by pobawili się u Fraschinich, ale niezręcznie byłoby mi to dziś robić, ponieważ Artur jest zaproszony do nich na herbatę jutro.

– Rozumiem. Szkoda, że Artur nie idzie dziś na herbatę.

– Wiem, ale... nie udało się inaczej.

– Nie.

– Więc, chyba wygląda na to, że...

– Tak. No, w takim razie pójdę położyć się na godzinę lub dwie do mojego niewinnego łóżka. Nie spałem dobrze ostatniej nocy.

Po raz dwudziesty w ciągu pół godziny Roger usłyszał trzaśnięcie szklanych drzwi i tupot małych nóg, co oznaczało, że Artur i jego koledzy wpadli do domu, by wziąć jakąś kolejną zabawkę lub po prostu wejść na chwilę do środka. Roger zauważył – czego nie mógł nie zauważyć nikt z sąsiedztwa – że to dziecko nie miało szczególnego powodu, by być w domu częściej niż poza nim. Najciekawsze zaś było to, że wchodził właśnie tam, gdzie toczyła się rozmowa dorosłych. Czasami – jak teraz – stosował wariant, w którym przypadkowa bieganka po domu zapowiadała jego nagłe wtargnięcie. Ale nawet gdy mówiło się coś głośno i szybko, niezmiennie wpadał ze swoim błaganiem, protestem lub samochwalstwem i przerywał.

Helene spoglądała ze zdumieniem na Rogera już dłuższą chwilę, gdy wszedł Artur.

– Mamo, ktoś ukradł Roberta! Zostawiłem go na straży stacji w lesie, a teraz go tam nie ma, więc ktoś musiał...

– Czy mógłbyś być cicho, Arturze? Rozmawiam z panem Micheldene.

– Mamo, mówię ci przecież, że ktoś ukradł Roberta. Musisz mi pomóc go poszukać.

– Nic nie muszę. A teraz wyjdź. Idź już, dziecko. Ty i twój kolega, obaj. – Helene wstała i zaczęła popychać syna w stronę drzwi. – Znikaj, szybko.

– Mamo... – Spojrzenie Artura spoczęło na Rogerze i wypełniło się cichym, beznadziejnym oskarżeniem.

– Spadaj, zanim cię zabiję – rzekła Helene, popychając go silniej i skuteczniej. Trzasnęła drzwiami. Potem odwróciła się powoli. Roger, odnotowując mały, ale znaczący postęp w stosunkach rodzinnych, zauważył, że jej twarz ponownie wyraża zdumienie. Ubrana wytwornie lub prawie tak wytwornie jak zawsze, w ciemnoniebieskiej sukni z surowego jedwabiu, Helene podeszła do niego i stanęła całkiem blisko. Po chwili spytała: – Dlaczego nie jesteś na mnie zły?

– Zły na ciebie? Bo co? Bo nasze umowy nie wypaliły? Dlaczego miałbym być zły na ciebie? Robiłaś, co mogłaś, prawda?

– Ale takie rzeczy na ogół nie mają dla ciebie znaczenia... – Urwała, marszcząc się. – To znaczy, że zwykle po prostu...

– Zgadza się. Takie rzeczy na ogół mnie wkurzają, ale dziś jakoś nie.

– Ale co jest dziś szczególnego?

– Odpowiedź na to znajduje się chyba w moim sercu serc, że tak powiem. Właściwie nigdy nie wierzyłem, że może się to udać. Kiedy więc się okazało, że naprawdę nie, to się nie zdziwiłem. Po prostu powiedziałas mi to, co już wiedziałem.

Gdy to mówił, na twarzy Helene pojawił się grymas. Zaczęła gryźć wargi od wewnątrz. Mrugając gwałtownie oczami, spojrzała przez okno.

– Jest tu zoo – rzekła niewyraźnie, z paznokciem między zębami.

– Zoo?

– No, niezupełnie. Tylko żyrafa, jakieś małpy, a reszta to piżmaki, lisy, kojoty i inne. Główną atrakcją jest polowanie na niedźwiedzia.

– Polowanie na niedźwiedzia?

Nie takie zwykłe. Nie ma niedźwiedzia. Mają tylko tego nieszczęsnego starego grizzly przywiązane łańcuchem do drzewa. Oczywiście nie polują na niego. Jadą tylko na kucykach lasem, do miejsca gdzie jest niedźwiedź i wokół niego. Potem dostają hamburgera. To daje nam przynajmniej godzinę. Jak znam młodą Martę Selby, wykona całą pracę za pięć dolarów.

11

Conticuere omnes, mówił do siebie Roger pół godziny później, *intentique ora tenebant. Inde toro pater Aeneas sic fatus ab alto: Infandum, regina, iubes renovare dolorem; sed...* Nie to jest... Cholera: *colle sub aprico celeberrimus ilice lucus...* Kłopot z tym cholerstwem jest taki, że wszystko podzielone jest na odcinki. Musisz znać początek każdej linii i nie masz pojęcia, o co może chodzić wcześniej. Boże. *Hic haec hoc hic-haec-hoc* tak, tak, tak teraz *hunc hanc hoc* trzy *huiuses* trzy *huics hoc hac* w porządku *his hae ha...* *Ha? Ha ha ha horum his his?* To chyba nie tak. Nie, oczywiście jest *haec*, ty idioto. Dalej *hi hae haec* i dalej prosto do greckich nieregularnych czasowników *esthio* i stare *blosko-moloumai* i teraz z powrotem do *hi hae haec hos has hos* trzy *horums...*

Przypadkowy obserwator, gdyby tylko dało się takiego znaleźć, byłby zapewne zdumiony rozbieżnością między tym co Roger sobie wmawiał, a tym co faktycznie robił. W rzeczywistości ci dwoje byli intymnie złączeni. Jeśli Roger trwał przy tym, co robił przez dłuższą chwilę, to dla otoczenia stawało się jasne, że musi mówić coś do siebie – cokolwiek, nawet stare wiadomości, tak długo, jak długo nie zawodziła go pamięć. Nic lepszego, co miał pod ręką, nie było odpowiednim środkiem wyrazu własnego szaleństwa. Bardzo wczesnie w jego karierze (od tego czasu czuł podobny niepokój tylko kilka razy) zdał sobie sprawę, że czyta lepszy fragment rozdziału z książki Evelynna Waughta o Rosettim w podobnej sytuacji, co raczej zdumiało, a po chwili zirytowało jego towarzyszkę, irlandzką kelnerkę z tego zdecydowanie gorszego z dwóch lokalnych hoteli. Ten epizod nie miał wpłynąć na jego surowy ogólny pogląd na temat prerafaelitów, ich teorii i praktyki, szczególnie zaś aspektów religijnych.

Jego obecna trudność z Helene tkwiła częściowo w niej samej i sprowadzała się do przetrwania przedłużającego się czasu oczekiwania na jej powrót, po zebraniu i odwiezieniu trójki dzieci do zoo, tam gdzie miało odbyć się polowanie. Potem niespodziewanie zdarzyło się, że zapomniała o polityce maskowania, którą zazwyczaj stosowała i zrekompensowała Rogerowi tanto popołudnie przy basenie w dwójnasób. Nie mógł ochłonąć. Nie pomagało ani wspomnienie upadającego podczas wsadzania do samochodu Artura, ani nawet podziw dla samego siebie, że z taką pomysłowością i zaradnością zdołał w końcu nakłonić do tego Helene. Trzymał się więc łaciny i greki.

Już prawie wszystko wyczerpał, gdy zdał sobie sprawę, że *esthio* i *blosko*, choć w ogóle w porządku, nie prowadzą donikąd. Powalczył trochę z paradygmatem *horao*, ale jego umysł stawał się coraz bardziej pusty. Dalej zaczął przypominać sobie fragmenty literatury pięknej. Po płaczących Plejadach, które zrobiły kilka obrotów, wszystko zaczęło iść lepiej. Jego umysł przestał zachowywać się jak motor ze ślizgającym się sprzęgłem i stopniowo zamknął się w sobie. Nie widział nic; coraz słabiej słyszał dźwięki. Przestał interesować się tym, gdzie jest i z kim jest. Przez około minutę, choć sam nie zdawał sobie sprawy z tego jak długo, udało mu się osiągnąć stan, w którym stracił poczucie tego, kim jest. Potem zmysły i świadomość, z kim jest, zaczęły wracać. Wspomnienie tego, co czuł, wraz z dumą z powodu dokonania tego, co wymagało aż takiego trudu, spowodowało, że poświęcił więcej czasu niż zwykle na ostatnie przymilania.

Helene podparła głowę łokciem i patrzyła na niego. Była teraz zarumieniona i potargana.

– Miło ci było, co? – powiedziała pytająco.

– Naprawdę, kochanie, doskonale, cudownie, naprawdę. Dlaczego pytasz, czy tobie nie było dobrze?

– Było.

– No to świetnie.

– Często w końcu osiągasz to, co chcesz, prawda?

– Z pewnością nie. Wręcz przeciwnie. Skąd ci to przyszło do głowy? Jeśli zaś dostanę trochę więcej, niż się spodziewałem, to łatwiej jest mną manipulować.

– Ach tak, to wiesz, że nie jest łatwo tobą kierować?

– Oczywiście. Łatwo to udowodnić.

– Dlaczego tak bardzo chcesz to zrobić?

– Co? Czy to jakaś tajemnica? Jesteś po prostu absolutnie i jednoznacznie najbardziej atrakcyjną kobietą, na którą kiedykolwiek spojrzałem, pomijając to, że zdołałem...

– Miło to słyszeć, kochanie, ale nie chodzi mi o mnie samą, tylko o każdą. To tego właśnie najbardziej pragniesz, czy nie tak? Kogokolwiek?

– Być może, na szczęście istnieją pewne niezmiennie Ograniczenia w strukturze rzeczy, które powodują, że spółkowanie w ogóle staje się ambicją i tak nie do zrealizowania.

– Tak, tak, to wiemy. Ale czy ty zadowolasz się każdą?

– Boże, nie wiem. Może tak. Nigdy nie udało mi się mieć kogoś, kogo pragnąłbym dostatecznie długo. Jeśli tak się kiedyś stanie, to może uświadomi mi to coś więcej na temat pożądania. Nie wiem.

– A co z twoimi żonami? Czy nigdy ich nie pożądałeś? Czy może nie miałeś ich dostatecznie długo?

– No, na pewno nie to. Całe dwanaście lat. Dziękuję nie. Chyba ich po prostu nie pragnąłem. Zdawało mi się na początku, że tak. Na tym polega jeden z problemów.

– Jaki? – Helene owinięta była szczelnie prześcieradłem aż po pachy. Jej opalona skóra wyglądała na jego tle bardzo pięknie, ale Roger był w stanie bez kłopotu wymyślić przyjemniejszy wariant.

– Tyle czasu upływa od momentu, gdy już kogoś masz, do momentu, gdy dochodzisz do wniosku, że nie jesteś pewien, czy to właśnie tej osoby pragniesz przede wszystkim. To tak jak miłość od pierwszego wejrzenia. Możesz to stwierdzić tylko po tym, co się dzieje później.

– No może, ale odchodzimy od tematu. Co jest takiego w kobietach, że ich pragniesz? I bez żadnych lekcji biologii, proszę.

– Wiesz, to wszystko jest bardzo nieokreślone – rzekł Roger i nie zamierzał kontynuować prób opisu tego, jak bardzo żałował tej minuty, której nie zdołał zapamiętać. Niczym nie różnił się od innego faceta, jeśli chodzi o pamiętanie lub świadomość tego, dlaczego to robi. Okłamał Helene. Niezależnie od tego, czy jego motywy w postępowaniu z kobietami były jasne czy nie, Roger właściwie nie widział ich w ogóle. Seksualnym celem mężczyzny, jak zwykle mawiał do siebie, jest zamiana istoty zimnej, oschłej, cichej, niezależnej, celowej na jej przeciwieństwo; żeby pokazać zwierzęciu, które udaje, że zwierzęciem nie jest, że właśnie nim jest. W tym momencie jednak nie należało tego mówić. – A co byś powiedziała na to...? – spytał po krótkiej pauzie. – Sposób poznania kogoś lepiej niż za pomocą innych środków? O, coś takiego?

– To w ten sposób o tym myślisz?

– Skąd takie zdziwienie? Czy wielu ludzi nie myśli o tym właśnie w ten sposób?

– Chyba tak, ale jakoś nie spodziewałam się...

– Czego?

– Roger, chciałabym zadać ci osobiste pytanie.

– Słucham. To bardzo osobista okazja.

– Czemu jesteś takim potworem?

– Widzisz, sam się często o to pytam. Choć ostatnio rzadziej. W dużej mierze dlatego, że jestem snobem. Bycie snobem powoduje niepokój. Nie masz czasu na relaks i wyluzowanie się. Cały czas w pogotowiu, że tak powiem.

– Ach tak, to wiesz, że jesteś snobem?

– Jak przedtem, to łatwo wykryć.

– Nie przypuszczałam, że wiesz takie rzeczy o sobie.

– Nigdy mnie o to nie pytałaś.

– A dlaczego nie jesteś potworem teraz? Dziś ani razu jeszcze nie byłeś wredny.

– Nie czuję się paskudnie. Nie mam powodu. Jak mógłbym być paskudny, gdy leżysz obok mnie i na mnie patrzysz. – Pochylił się ku niej i pocałował ją.

– Po co to?

– Po co? Znowu wyglądasz na zdziwioną.

– Zauważasz mnie.

– A czy nie robię tego zwykle?

– Spodziewałam się, że zrobisz się szczególnie wredny jak prawdziwy skurwiol, gdy ci powiem, że skopałam sprawę z Arturem...

– To już wyjaśniliśmy.

– I prawie byłam pewna, że mnie zmieszasz z błotem, gdy cię o to zapytam. Dlaczego się nie wkurzyłeś? Zupełnie nie wiem, jak zdobyłam się na odwagę, żeby...

– Bo ciebie, kotku, naprawdę pragnę i mam. W każdym razie przez godzinę.

– Naprawdę tak jest, kochanie.

– Jasne, czy ci tego nie wyjaśniłem?

– Kiedy?

– No, teraz, wiesz.

– A, tak, tak. Powiedz mi jeszcze coś o snobach. Jak to się zaczęło?

– To ojciec i już nie pytaj więcej. Nie chcę się babrać w żadnych edypowych bzdurach, ale ja naprawdę nienawidziłem tego gnojka. Był nędznym, głupim, wulgarnym człowiekiem, który spędzał wieczory przy piwie, słuchając programów rozrywkowych w radiu i nigdy go nie obchodziło, co je lub nosi na sobie, lub...

– Spokojnie, miał chyba ciężkie życie i nigdy...

– Ciężkie życie, mój Boże, szkoda, że nie widziałaś. Ciężkie. Temu głupcowi nigdy nie było ciężko. To nie on zarabiał pieniądze. Jego ojciec to zrobił. Wspaniały człowiek. Wydusił z chłopów około 250 tysięcy funtów w ciągu dwudziestu lat, sprzedając im jakąś potworną porcelanę i wyroby ze szkła, jak to nazywał. Nauczył się pić czerwone wino i jeść łososia, polować konno i uwielbiać takie życie. Zmarł w wieku osiemdziesięciu lat, podczas samotnego polowania. Zaś mój szanowny rodzic był członkiem wyższej klasy. Poszedł do szkoły w Charterhouse, Berkhamsted uznał za wystarczające dla mnie, był kapitanem łodzi w Magdalen i potem nic nie robił. Twierdził, że praca jest przywilejem niższych klas. Niczym się nie zajmował. Nie wolno było mieć obrazów w domu, bo mają je parweniusze. Sprzedał więc obrazy Courbeta i Delacroix mojego dziadka i kupił jakiś samochód wyścigowy. Nie umiał jeździć, lecz wystarczała mu świadomość, że go ma. Nie ożenił się z parweniuszką. To robili właściciele klubów nocnych i fabryk balonów. Ożenił się z dziewczyną, która odbierała telefony u jego adwokatów. Miał ich kilku, robili za niego całą robotę. Nie powinienem może tego mówić – rzekł po krótkiej przerwie.

– Ale muszę kogoś obwinić za to, jaki jestem, prawda?

Helene patrzyła na niego. Sięgnął po brzeg prześcieradła, które ją przykrywało. Chwyciła na moment, ale potem puściła. Odślonił. Zamilkł na moment. Potem ciągnął:

– Pojedziesz gdzieś ze mną w przyszły weekend? Do Nowego Jorku lub gdziekolwiek indziej?

Helene milczała tak długo, że pomyślał, iż zasnęła lub udaje. Lecz w końcu usłyszał jej głos znad swojej głowy.

– Czy naprawdę chcesz, żebym to zrobiła?

– Oczywiście, że tak.

– Chyba mogę to jakoś zorganizować. Tak, może uda mi się to załatwić. Mam ciotkę w Cincinnati.

– Naprawdę?

– No, miałam dziesięć lat temu. Ale pozostaje Artur.

– Niestety.

– Niby zrobiłam tyle dla Sue Green ostatnio i było jej głupio z powodu dzisiejszego dnia. Ale czemu Artur nie mógłby pojechać do Cincinnati?

– Bo twoja ciotka jest ekscentryczna i nie lubi dzieci.

– Lepiej chyba powiedzieć, że jest słaba i delikatna. Mogłaby uznać, że to za wiele znosić kogoś takiego jak Artur.

– Zdecydowanie tak.

– Miałaś kiedyś dzieci, Roger?

– Nie, nigdy i ten problem nigdy się nie pojawił.

– Przypuszczam, że nie. Dobra, gdzie mam zadzwonić, jak wszystko załatwię?

– Masz przecież mój numer do Nowego Jorku.

– Naprawdę? Lepiej daj mi go jeszcze raz.

– Już raz ci dałem.

– Mniejsza z tym. Daj jeszcze raz.

– A powinienem?

– Dlaczego nie?

– Chyba mogę.

– Spróbuj. O, Roger.

– Kocham cię, Helene.

– Chyba musimy wstawać. – W sypialni Bangów odezwał się telefon. Helene wyskoczyła z łóżka. – Muszę odebrać.

– Daj spokój, niech dzwoni.

– Nie, nigdy nic nie wiadomo. Nie mogę tego tak zostawić.

Roger wyciągnął się z rozkoszą z powrotem. Wiedział, że jego postępowanie z Helene w ciągu ostatniej półgodziny było mistrzowską sztuką świadomej polityki. Wszystko to miało wpłynąć na jej zgodę na wyjazd w przyszły weekend. Był zbyt doświadczony, by triumfować za wcześnie – żadnych okrzyków zwycięstwa dopóki nie zarygluje za sobą i Helene drzwi w sypialni jakiegoś apartamentu. Według umiarkowanych ocen jego szanse zwiększyły się: sześćdziesiąt do czterdziestu na jego korzyść. Cudowne uleczenie po kiepskim notowaniu pięćdziesiąt do jednego z dzisiejszego poranka. Słyszając jej głos z sąsiedniego pokoju, przypomniał sobie nieoczekiwanie te wszystkie chwile i zastanawiał się, czy był tak samo dobry jak Ernst. Ale chyba tak. Energia, z jaką działał, gwarantowała to.

Helene pojawiła się w drzwiach, przyglądając włosy. W takiej pozie wyglądała jakby pod pewnymi względami ostatnio trochę urosła.

– To do ciebie – powiedziała.

– Do mnie? Kto do cholery chce czegoś ode mnie?

– Nie przedstawił się. Powiedział, że przyjaciel.

– Przyjaciel? To zawęża krąg znajomych.

– Nie rozmawiaj długo.

– Obiecuję.

Dokładnie owinął się prześcieradłem i poszedł do telefonu.

– Micheldene.

– Pan Micheldene? – Amerykański akcent nie stanowił jeszcze żadnego tropu.

– Micheldene.

– Panie Micheldene, tak się cieszę, że pana zastałem. Dzwonię z pytaniem o pańskie zdrowie?

– Kto mówi?

– Nie chodzi mi o pańskie zdrowie fizyczne, wie pan. Z tym, myślę, nie ma problemu. Chciałbym, żeby mi pan powiedział, jak ocenia pan w tej chwili swoje zdrowie duchowe.

Roger oderwał wzrok od garderoby, na której między tubkami, słoiczkami i butelkami z kobiecymi kosmetykami leżał męski krawat, dokładnie zwinięty i puste pudełko do przechowywania elektrycznej maszyny do golenia.

– Kimkolwiek pan jest – rzekł głośno – moje zdrowie duchowe, tak samo jak genitalia i układ wydalania, to nie pański interes. A teraz...

– Chciałbym coś skorygować. Jako duchownemu pańskiego Kościoła pana zdrowie duchowe jest mi szczególnie bliskie. Mówi ojciec Colgate. Jeśli pan pamięta, ostatnim razem, gdy się zetknęliśmy, stwierdziłem, że odnajduję w panu nieomylnie oznaki duszy pozostającej w konflikcie z Bogiem. A teraz, słysząc pański ton w słuchawce, dochodzę do tej samej konkluzji. Niepokój duszy wadzącej się...

Większość z tego Roger puścił mimo uszu. Nie przerwał tylko dlatego, że nagle zainteresował się szumem silnika samochodu zbliżającego się do domu. Samochód stanął. Usłyszał trzaśnięcie drzwiczek i kroki. Odłożył słuchawkę obok telefonu i wybiegł.

W przejściu stał się jak zapaśnik z nadbiegającą z drugiej strony Helene. W swoim pokoju zaczął szamotać się z własnymi rzeczami. Zabzyczał brzęczyk u drzwi frontowych, uspokajając go częściowo. Ubierał się dalej, słysząc jak Helene podchodzi do drzwi. Potem siadł na łóżku w koszuli, spodniach i skarpetkach – usłyszał, że wraca bez niczyjego towarzystwa.

Helene weszła ubrana w podomkę i parę złotych pantofli. Podała mu olbrzymią kopertę.

– To dla ciebie – powiedziała. – Specjalna przesyłka. Ale nie...

– Co? Czy wszyscy poszaleli?

– Nie otwieraj teraz, poczekaj, aż pojedę po Artura.

– Co jeszcze? Facet wpędzający stado bydła do ogrodu, mówiący, że to dla...

Zamilkł, gdy po otwarciu rozpoznał swój materiał do wykładu. Na dołączonej kartce papieru było napisane:

Szanowny Panie Micheldene!

Przejrzałem częściowo materiały (mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko) i uznałem je za dość interesujące. To niezły przemyśl, prawda? Choć nie dla mnie.

Chyba należą się panu ode mnie przeprosiny za to, że nie poinformowałem pana z wyprzedzeniem o tym, co zamierzam zrobić. Ale to zepsułoby całą koncepcję. Na pewno pan zrozumie.

Z poważaniem Irving Macher

PS Uwaga na metodę nr 2!

– O co chodzi? – spytała Helene.

– Nic. Przepraszam cię na chwilę.

Wyciągnął z górnej kieszeni płaszcza notes i poszedł do telefonu, który ku jego zdumieniu jeszcze rozbrzmiewał władczym głosem.

– ...proces edukacji z wyrzutami sumienia – mówił – ale przede wszystkim program dla nowicjusza: przerażenie, smutek, strach. I nie ma stopni, mój synu. To jeden tok studiów dla serca szczerze pragnącego poznania...

Roger wypowiedział trzy słowa do słuchawki, z których dwa brzmiały „papież” i odłożył słuchawkę. Znalazł numer w notesie i wykręcił.

Helene spytała:

– Do kogo dzwonisz? O co tu chodzi?

Nie odwracając się, ani nie mówiąc słowa, podał jej zawartość koperty. Potem powiedział do telefonu:

– Dzień dobry. Czy mogę mówić z profesorem Parishem? Czy mógłbym się dowiedzieć, gdzie go znaleźć? Poproszę o numer telefonu. Dziękuję, spróbuję tam.

Helene usiłowała kilka razy wtrącić się do rozmowy. Roger musiał potrząsać głową i odpychać lewym ramieniem, by ją powstrzymać. W końcu udało jej się powiedzieć:

– To ten twój wykład, tak?

– Tak. To Macher go ukradł. Ten facet jest wściekle obłąkany i muszę coś z tym zrobić... Halo, college Budweiser? Z biblioteką proszę.

– Ale co możesz teraz zrobić, kochanie? Dlaczego teraz? A poza tym czy nie lepiej poczekać z tym, aż się uspokoisz?

Spojrzał na nią.

– Nie chcę się uspokoić. Halo, z profesorem Parrishem proszę. Czy mógłby pan pójść i poszukać? Tak, oczywiście.

– Roger, posłuchaj.

– Tak?

– Czy to właśnie nie takie zachowanie uznaliśmy za wredne?

– Tak, być może, ale obawiam się, że w obecnej sytuacji nie ma to nic do rzeczy.

– Obecna sytuacja? To interesujące. Jaka jest twoim zdaniem obecna sytuacja?

– Helene, kochanie. Nie mówię ci, żebyś nie pchała nosa w nie swoje sprawy, ale musisz zrozumieć, że jest to osobista sprawa między mną a tym... żydowskim paranoikiem. Przykro mi, ale...Jeśli to sprawa między wami, to czemu mieszasz do tego Parrisha?

– Pozwól mi łaskawie samemu to osądzić.

– Czy posłuchasz mnie, Roger?

– O co chodzi?

– Mamy dziesięć minut do mojego wyjazdu po Artura. Nie powinnam była...

– Halo, tak? W porządku, kochanie, do zobaczenia później. Jest pan pewien? Bock, numer dwadzieścia dwa? Czy może mnie pan przełączyć z powrotem do centrali? Dziękuję.

– Przynajmniej teraz jesteś pewny, że to nie Artur.

– Pół sekundy, kochanie, proszę. Centrala? Bock, numer dwadzieścia dwa proszę. – Drzwi sypialni trzasnęły. Roger wykonał kilka kroków w ich kierunku, ale w końcu odwrócił się i powiedział do telefonu: – Wydział języka angielskiego? Z profesorem Parrishem proszę. Nie obchodzi mnie, czy jest pan urzędnikiem stanu, chcę rozmawiać z profesorem Parrishem.

– Kilka minut zajęło Rogerowi upewnienie się, że nie będzie rozmawiał z profesorem Parrishem. Gdy wrócił do swojego pokoju, Helene i jej rzeczy już zniknęły. Równocześnie usłyszał silnik samochodu. Helene odjechała.

12

– Zanim przejdziemy do sedna, chciałbym wyjaśnić jeden drobiazg, jeśli mogę.

– Z przyjemnością.

– Przede wszystkim w jaki sposób moje notatki dostały się w pańskie ręce?

– Ach, to najbardziej niezapomniany moment. Niczego nie kalkulowałem, miałem tylko ogólny zamysł. A stało się to tak: poszedłem powiesić do szatni mój kapelusz...

– Kapelusz?

– Tak. A ściśle jeden z moich kapeluszy, gdyż posiadam ich więcej. Właśnie ten, który miałem na głowie wczoraj wieczorem.

– A jaki to rodzaj kapelusza?

– Nazwałbym go ciemnooliwkowym, jeżeli chodzi o kolor, zrobiony z filcu, ku górze zwężony lekko, sprzedawany w...

– Czy ma jakieś dzwonki, koraliki, frędzle czy inne ozdoby?

– Nie, ten akurat nie. Ale posiadam taki, który ma.

– Czemu nosi pan kapelusz?

– Bo lubię. Tak samo jak pan cygara.

– No, dobrze, proszę mówić dalej.

Otóż pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem w szatni, była teczka z olbrzymimi złotymi inicjałami R.H.St.J.W.M. czy coś podobnej zawiałości. Anglik, pomyślałem sobie. Który Anglik? Ten, który ma mieć wykład. Wszystko pojąłem od razu bez potrzeby rozszyfrowywania R. i M.

– Wspaniale.

– Nie, proszę nie przesadzać. Po prostu czujność. Jeszcze jedno, to St. J. mnie interesuje. Czy to oznacza świętego Jana?

W innej sytuacji Roger albo udawałby, że nic nie widzi, albo nie rozumie (lub po prostu walnąłby go w brzuch). Ale w obecności Suzanne Klein, ze śnieżnobiałym przedziałkiem i ruchliwymi, czarnymi rzęsami, w czerwonej lnianej sukni, siedzącej po drugiej stronie Machera i wyraźnie słuchającej, było to wykluczone. Roger rzekł więc niedbale, tonem sugerującym, że nie poświęca temu większej uwagi:

– Tak, z grubsza rzecz biorąc.

– Ale czy w Anglii jakoś śmiesznie się tego nie wymawia?

Roger wypowiedział słowo jak gdyby rzeźbił je z powietrza.

– Nieprawdopodobne. Muszę znaleźć jakiś rym, żeby się w przyszłości już nie pomylić.

– Może wrócimy teraz do sedna – rzekł Roger. Nie był w ogóle zadowolony z tonu koleżeńskiej współpracy, który pojawił się w dyskusji na temat tego, jak wspaniały jest Macher, ale potrzebował informacji i gonił go czas. – Dlaczego ukradłeś mój wykład?

– Wziąłem go czasowo, dobrze? Łatwiej będzie, jeśli wyjaśnię swoją rolę.

– Czekam.

Moja rola w pańskim życiu polega na dawaniu panu szans naturalnego zachowania, to znaczy nie jak trybik w maszynie, nie jak na planie zdjęciowym, ale spontanicznie. Powiedziałem to panu częściowo wczoraj wieczorem, wtedy gdy pan odgrywał popis z tym księdzem, głupcem zresztą. Zaciekawilo mnie, że w momencie gdy pan wpadł w złość, przypomniał mi pan, że jestem Żydem. Spodobało mi się to. Było tak nie wy rafinowane, że wiedziałem, że nie jest wykalkulowane. A potem gdy odkrył pan brak notatek... Ach, pańska reakcja przerosła moje największe oczekiwania. To było jak pierwsze, silne uderzenie serca u człowieka wyciągniętego z wody.

– Chyba rozumiem – odrzekł Roger, powoli kiwając głową. – Jesteś jak nasłany przez Boga dręczyciel.

Po raz pierwszy od momentu spotkania Macher się zirytował.

– Wcale nie. Źle mnie pan zrozumiał. Nikt mnie nie nasylał. Robię to z własnej woli. Jestem dla pana źródłem destabilizujących wpływów, żelazem na drodze, które przebija oponę w pańskim samochodzie. I nie ma w tym żadnej misji.

– Nasze wspólne przeznaczenie.

– Znowu źle. Nie rozumie pan, że chodzi tu o to, co się wydarza. Jeśli mówi się, że dwoje ludzi jest dla siebie stworzonych, to nie ma się na myśli tego, że ktoś ich tak zaprojektował i zbudował. Nigdy sobie pan nie mówił: „Naturalnie tak musiało się stać i to dzisiejszego poranka, tego wymagała sytuacja, ta dziewczyna, którą spotkałem w ubiegłym roku była moją zgubą, ten facet, który się pojawił ze swoją propozycją, był moim zbawieniem. Tego wcześniej nie wiedziałem”. Jeśli umie pan dostrzec takie rzeczy po fakcie, to dlaczego nie umie pan zrobić tego w chwili, gdy ma on miejsce.

– Myślę, że dlatego, iż wtedy się tego nie rozumie – odpowiedział Roger, jakby wahając się między jeszcze kilkoma innymi powodami. – Większość metod to złudzenia oparte na niewystarczających dowodach. Obserwator czarnych i czerwonych pól ruletki, któremu udaje się kilka razy wygrać, stawiając raz na czarne, raz na czerwone, myśli, że znalazł metodę i od tej pory zawsze będzie mu się udawać. A potem czerwone wychodzi dwa razy pod rząd. Metoda upada.

– Intelektualista broni się przed faktami – rzekł Macher, wstając. – Do zobaczenia.

– Powiem panu, jak zdecyduję, jaka jest moja rola w pańskim życiu.

– Proszę bardzo! – odkrzyknął Macher przez ramię. – Ale niech pan nie robi tego na siłę. To musi wypłynąć samo!

Ryki Machera nie były wywołane furią czy nagłym rozstrojem tylko potrzebą. Hałas na pokładzie łodzi był straszny. Na dziobie grupka ludzi ubranych w pomarańczowe i fioletowe koszulki waliła z całej siły w jakieś instrumenty. Nie wiadomo dlaczego Rogerowi powiedziano, że wszyscy oni są pracownikami firm reklamowych i ubezpieczeniowych. Grubo ponad pięćdziesięciu ludzi poroziadało się na ławkach wzdłuż górnego pokładu łodzi. Wszyscy rozmawiali i śmiali się do rozpuku. Dieslowski silnik pracował miarowo. Łódź była otwarta (pomijając markizy zawieszane nad głowami), ale dźwięki wywoływały efekt jak w tunelu. Było to przyjęcie typu „dbajmy sami o siebie” (plus po pięć dolarów od głowy za łódź) i wielu ludzi rzeczywiście o siebie zadbało.

Roger zaopatrzył się w butelkę whisky, której połowę przelał do innej butelki i dopełnił wodą. Nalał trochę do papierowego kubka trzymanego przez Suzanne, która przesiadła się na miejsce Machera. Dziewczyna powiedziała:

– Druga runda. Obie drużyny bez punktów.

O ile sobie przypominał, były to jej pierwsze słowa do niego. Ich wzajemna relacja ograniczała się do niejasnych, amatorskich żartów z jego strony i paru spojrzeń z jej strony. Szybko rozstrzygnął, jaki mógłby z nią być. Wspaniały. Zawsze się starał, nie chciał wypaść źle, zwłaszcza z nowymi osobami, które mogły nie słyszeć jego opowieści; w każdym razie nie od niego. Powiedział:

– Jak to jest być jego dziewczyną?

– Nie mogę sobie wyobrazić. Nie jestem jego dziewczyną. Przynajmniej niezupełnie. Zadaję się też z Princestem Castlemaine'em i Shumwayem, i Hublerem, i całą resztą. Jestem otwarta dla wszystkich, wiesz, taka dziewczynka.

– Ach, naprawdę? – Mogło to oznaczać wiele rzeczy z wyjątkiem tego, na co miał nadzieję. Z pewnością nie chodziło jednak o skłonność do jej własnej płci. – Czy Macher zawsze jest taki?

– Nie. Jest taki wtedy, gdy jest poważny. Może stać się naprawdę dziki. Lubi wypić.

– Czy on myśli poważnie o tym, co mówi?

– Oczywiście, jest bardzo inteligentny. Mnóstwo myśli i czyta.

– Co czyta?

– Tych francuskich pisarzy: Sartre'a i Laclosa.

– Rozumiem. Zobacz, w tym całym jego żarcie jest jedna, a nawet dwie sprawy, które wydają mi się dziwne. Dlaczego nie bał się, że doniosę na niego do władz uczelni, do Maynarda Parrisha czy kogoś innego?

– Nie zamierza pan chyba tego zrobić?

– Oczywiście, że nie. – Roger nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego usiłował się dodzwonić do Parrisha cztery godziny temu i nie próbował wysilać pamięci. Wydawało mu się, że chciał mu podziękować za obiad, wyrazić na nowo żal z powodu nieudanego wykładu i powiedzieć bez szczególnych wyjaśnień, że skrypt się znalazł. – Ale skąd on wiedział, że nie zadzwonię?

– Nie wiedział, ale uznał, że wyszedłbyś na straszego głupca, gdybyś to zrobił. W pewnym sensie miał nadzieję, że to zrobisz. Jest już powoli zmęczony Budweiser i wyrzucenie za coś takiego byłoby dla niego zmiłowaniem.

– Nie uważasz, to jest ta druga sprawa, że jego podejście do życia, te żarty i tak dalej, nie wydają ci się trochę, no powiedzmy... niezrównoważone?

– Nie, przecież wziął to od jednego z tych Francuzów. W ubiegłym roku była marihuana i meskalina. Nie robi tego stale. Wpada w niepokój raz albo dwa razy w semestrze. Wszyscy zresztą. John Page upija się, Pitt Hubler jedzie do masażystki do Ammanford, a Irving... ostatnim razem, gdy się zdenerwował, udawał, że ma atak choroby umysłowej. Zaczął ryczeć i dusić wykładowcę dramatu jakobińskiego.

– I co się stało?

– Wykładowca uderzył go w głowę szklanym przyciskiem do papieru i zostawił leżącego przez blisko godzinę.

– To chyba była reakcja, na jaką liczył.

– Nawet lepsza. Był zachwycony. Teraz na każdym wykładzie tego faceta siada w pierwszym rzędzie.

– W takim razie będę musiał zadbać o to, by po odnalezieniu złodzieja moich papierów nie zrobić tego, co zamierzałem, bo inaczej będę do niego dozgonnie przywiązany.

– Myślę, że to ci nie grozi.

Roger rozejrzał się uważnie po łodzi, która oświetlona była paroma gołymi żarówkami, potem spojrział na Suzanne.

– Weź jeszcze – powiedział, podając butelkę.

– Wystarczy mi.

– Wobec tego ja się napiję. Ta łódź jeszcze tak szybko nie dopłynie.

– Nie masz chyba nic przeciwko temu?

– Nie. – Spojrział ponownie na nią. Miała silne ramiona, którymi poruszała delikatnie tam i powrotem. – Dokąd płyniemy?

– Na wyspę na rzece, gdzie ma być piknik.

– Co? Teraz? Jest ciemno jak cholera.

– Ale za to ciepło jak na tę porę roku. Światło będzie z łodzi i z reflektorów na statywach.

- Duża jest ta wyspa?
- Nie wiem, ale ktoś mówił, że są na niej domy.
- Chyba więc spora. Te światła nie sięgną daleko.
- Boi się pan ciemności, panie Micheldene?
- To leży w mojej naturze, panno Klein.
- Fascynujące.

Przez następne dwadzieścia minut Roger dawał jeszcze do zrozumienia, jak bardzo jest to fascynujące. Potem zauważył, że rzeka rozwidliła się. Wysoki, milczący Murzyn w marynarskiej czapce, obsługujący wszystkie urządzenia, zaczął manipulować silnikiem i rumplem. Krótkie, drewniane nabrzeże, w połowie zarośnięte chwastami pojawiło się w światłach. Ludzie zaczęli zbierać swoje rzeczy. Roger miał wszystko przy sobie w papierowej torbie. Dwie butelki whisky, około pół kilograma pokrojonej w kawałki szynki Virginia, trochę zimnego bekonu, kawałek szwajcarskiego sera, dwa rodzaje chleba i kilka jabłek. To wszystko, co mógł znaleźć w spiżarni Bangów. Zastanawiał się, jak utrzymać kontakt z Suzanne bez poczęstowania jej czymś. Pojawiły się też inne okoliczności. Gdy stali obok siebie, Roger objął ją w talii i rzekł:

– Dajmy czas sprawom, niech się ułożą same. Widzisz te dwa samotne drzewa, między którymi prześwieca światło? Nie tam. Tam.

- Ach tak, widzę.
- Przyjdź tam za dwadzieścia minut.

– W porządku.

Popchnęła go łokciem w kierunku cienia i zwróciła twarz w stronę jego szyi. Potem ugryzła go mocno.

Muzyka właśnie przestała grać, silnik przyhamował, więc jego wrzask pełen bólu i zdumienia zabrzmiał głośno i donośnie. Próby udawania, że jest to śmiech, nie wypadły najlepiej. Ociężały mężczyzna, który równie dobrze mógł być Frascinim, odwrócił się, patrzył na niego przez chwilę, a potem dostał ataku strasznej czkawki. Rzucił głową do tyłu, jakby dostawał ciosy w twarz.

– To jeszcze nie wszystko – rzekła Suzanne.

– Połowa tego z pewnością by mi starczyła.

Opuszczenie pokładu odbyło się sprawnie, dzięki poczuciu wspólnego celu łączącego grupę, która nie napotkawszy dotychczas trudności, planuje szybkie zawarcie pierwszych kontaktów. Już na brzegu Roger dołączył do jakiejś grupy ludzi. Niektórych z nich rozpoznawał. Pożarł szybko to, co miał, i rozejrzał się za Helene. Zauważył ją w towarzystwie Machera i kolegów. Jej głowę i ramiona oświetlało żółte światło. Głową potrząsała gwałtownie, śmiejąc się z tego, co mówił Macher.

Trochę później, myślał Roger, będzie czas na Helene, może nawet na coś więcej. Po powrocie z Arturem z polowania na niedźwiedzia – Roger, który wyobrażał sobie wcześniej niezwykle aktywnego grizzly zabezpieczonego tylko skorodowanym łańcuchem, zdumiał się widząc teraz Artura całego i zdrowego – jej stosunek do niego zdecydowanie ochłódł, do tego stopnia, że lepiej było zejść jej z drogi na kilka godzin. Zastanawiał się, co powinien był zrobić poza tym, że niewątpliwie należało ją pocałować przed jej wyjazdem, czego nie zrobił. Był szczerze przekonany, że wcześniejsze czułości wystarczyły. Wszystko wymagało nieustannego potwierdzania. Nadejście fatalnej przesyłki nastąpiło w najmniej odpowiednim momencie. Ale w końcu nie była to jego wina. Wydarzenia uświadomiły jej, że świat nie należy tylko do niej i to był podstawowy kłopot. Żadnemu z nich dwojga nie przychodziło łatwo zauważenie tego prostego faktu.

Roger napchał sobie usta ostatnimi okruchami chleba i popił taką ilością whisky z wodą, że cienki strumień wyciekł mu z powrotem. Zdołał wysunąć głowę do przodu i oszczędzić ubranie. Wstał i ruszył w kierunku dwóch drzew. Powietrze było świeże i czyste, wiał słaby, ledwie chłodzący wiatr. Silny blask księżyca i nieregularne światła lamp tworzyły wiele odcieni zieloności i mieszaninę cieni. Przypadkowa blada smuga odbiła się od wody. Roger patrzył prosto przed siebie, przedzierając się w obranym kierunku przez grupy anonimowych kobiet i mężczyzn.

Tuż za miejscem, gdzie odbywało się przyjęcie, ktoś podszedł do niego z boku. Roger zatrzymał się i odwrócił głowę.

– Czy to nie wspaniałe? – spytała Mollie Atkins. – Jestem pewna, że są tu jeszcze ładniejsze miejsca, ale nie jestem teraz w stanie pomyśleć o żadnym. Czy widziałeś kiedyś piękniejszą noc?

– Niewątpliwie jest bardzo przyjemnie.

Podeszła do niego i spojrzała mu w twarz.

– Wydajesz się zagubiony, przyjacielu. Z moją poszerzoną wiedzą na temat twoich zwyczajów i talentów wydaje mi się to do ciebie niepodobne. Dziwne. A jednak. Ta łódź i piknik, to jest nawet zabawne, co? Choć słabo zorganizowane. Zdajesz sobie sprawę, że zebranie teraz tych wszystkich ludzi z powrotem na łodzi może zająć nawet pół godziny, nawet gdyby zacząć już teraz? A oni nie zaczynają. Wyobrażasz sobie?

W odległości pięćdziesięciu metrów pojawił się ktoś, kto zaczął iść w ich kierunku. Mogła to być Suzanne Klein. Umysł Rogera zbił się w bryłę.

– Nie myślałem o tym – powiedział.

– No to lepiej zacznij, kochanie. Inna sprawa: czy ty znasz tę wyspę?

– Nigdy tu nie byłem.

– Znam ją jak własną kieszeń. Nie twierdzę, że znam moją kieszeń szczególnie dobrze, ale prawdopodobnie lepiej niż ty. Chcesz poznać jej mniej znane atrakcje?

Zbliżająca się postać okazała się Suzanne Klein, która szła dokładnie w ich kierunku. Celowo.

– Byłoby wspaniale – rzekł Roger – ale czy nie moglibyśmy odłożyć tego na trochę?

Mollie odwróciła się na jego skiniecie.

– No i co z tego? Ruszmy się wreszcie.

– Hm, obawiam się, że nie możemy. Zobaczyła nas.

– No i co z tego, na Boga? Czy nie możemy pójść na spacer?

– Nie byłbym z tego zadowolony.

– Wy, Brytyjczycy tak dbacie o to, co inni myślą, prawda? Musiałeś mieć chyba na tej łodzi szalone powodzenie. Cześć, Suzanne.

– Cześć, Mollie. – Suzanne podeszła do nich i stanęła, spoglądając raz na jedno, raz na drugie. Była niższa niż Roger myślał. – No – powiedziała do niego w końcu. – Stawiam się na rozkaz, kapitanie, jak pan chciał.

Zanim skończyła mówić, Mollie zaczęła:

– Wiesz, to bardzo dziwne, ale nagle ogarnęło mnie tak palące pragnienie, że mogłabym chyba umrzeć. Nie mogę myśleć o niczym innym tylko o mojej butelce przy ognisku. Więc, dzieci, przeproszę was i oddalę się. Nie bądźcie tu za długo. Do zobaczenia.

– Już prawie straciłam nadzieję – powiedziała Suzanne, gdy Mollie poszła.

– Wiadomo było. Zrobiłaś to bardzo dobrze. Jeśli już się zacznie rozmawiać, to można tak bzdużyć przez godzinę. No to co, idziemy na ten krótki spacer, o którym mówiliśmy?

– Za momencik. Na początek jakaś zaliczka, co?

Chwyciwszy ją, spostrzegł przez jej ramię nagłą zmianę w oświetleniu, jak gdyby ktoś wszedł lub upadł na stojący reflektor. Nie wiedział, czy to przez to są z Suzanne bardziej widoczni, ale on sam był w stanie rozróżnić grupę trzech czy czterech osób stojących w odległości około dwudziestu metrów. Ci ludzie mogli równie dobrze ich widzieć. Jedna osoba miała na sobie białą suknię taką jak Helene. Potem światło odwróciło się ponownie. Padł cień i zmienił białą suknię w drgającą plamę. W każdym razie nagle Roger musiał skierować swoją uwagę na to, co działo się bliżej niego. Usta Suzanne niebezpiecznie poruszyły się ku jego szyi. Roger poczuł, że otwierają się nagle. Dzięki temu zyskał półsekundowe ostrzeżenie, zbyt krótki czas, by uniknąć tego, co miało nastąpić, ale wystarczający by zastąpić charkotliwy, falsetowy wrzask uroczystym krzykiem. Jej ostre zęby wbiły się przez koszulę w jedną z obfitych fałd na ramieniu.

Odkoczyli od siebie, a Roger machnął w jej kierunku pięścią. Jednak Suzanne była czujna i zwinna. Z odległości dwóch metrów powiedziała:

– Nie próbuj. Mogę ruszać się o wiele szybciej niż ty.

Rogerowi stosunkowo rzadko zdarzało się uderzyć kobietę, jeżeli nie był naprawdę zły czy przynajmniej pijany. Teraz jego złość zmieniła się w zdumienie, a nawet delikatny niepokój.

– Co ty, do diabła, robisz? – spytał, trąc ramię i wykrzywiając twarz z bólu.

– Ej, nie ugryzłam cię za mocno, co? Nie chciałam ci zrobić krzywdy. Przepraszam, ale było to pierwsze, na co wpadłam, by cię szybko zatrzymać.

– Ale dlaczego? To znaczy, jeżeli chciałaś mnie zatrzymać, to dlaczego mnie zmusiłaś do ruszenia się, tam na tym cholernym, pływającym domu wariatów? Co?

– Chyba było to zabawne tylko dla mnie. Ale, Roger, nie jest to gorsze niż twoja metoda. Mój sposób powoduje mniej komplikacji i kończy się zdecydowanie szybciej. A naprawdę sądzisz, że twoje zamiary wobec mnie wyszłyby komuś na dobre?

– To mi wygląda na jeden ze wspaniałych pomysłów drogiego Irvinga?

– Tylko częściowo. Wiesz co, wydaje mi się, że on nie ma racji, twierdząc, że ty nigdy nie działasz impulsywnie. Kłóciliśmy się o to wczoraj w nocy. Premedytacja nie jest twoją mocną stroną? Widziałam ten liścik, który ci posłał Irving. Nigdy nie słuchasz, jak cię ludzie ostrzegają? Ostrzegałam cię.

Ta przyjacielska troska po takim napadzie seksualnej i fizycznej wrogości przypomniwała Rogerowi gotowość Machera do wyjaśniania i debatowania.

– Łaskawie wynoś się teraz stąd. Won. Spróbuj na kimś innym. Może kobieta, co? Czy to bardziej w twoim typie? Dziewczynka!

– Naprawdę nie chciałam cię skrzywdzić. To okropne. Mogę na to spojrzeć?

Roger cofnął się.

– Won, natychmiast.

– Dobrze, dobrze, przepraszam.

Gdy poszła, Roger wziął szczyptę Macouba z tabakierki z drzewa tekowego, potem jeszcze więcej, aż jego nozdrza zatkały się i zapłonęły. Rzuci to po powrocie do Anglii. Spacerował powoli pod drzewami przez dziesięć minut, wydmuchując nos w żółtą chustkę i próbując myśleć. Czy to możliwe, żeby nie było mu dane odgryźć się odpowiednio na Macherze? Kiedyś na każdą obrazę Roger odpowiadał przemocą stosowną do potrzeb. Teraz mógł sobie tylko wyobrazić wroga w kadzi z gotującym się olejem i wyjaśnić ewentualnie motywy takiego czynu. Zbyt późno zdał sobie sprawę z tego, że Suzanne być może mogła i chciała pomóc mu w rozwiązaniu tego problemu. Dziwna ta dziewczyna.

Poszedł z powrotem do swoich butelek. Opróżnił jedną i napoczął drugą. Impreza podzieliła się na dwie frakcje: jedna chciała już jechać do domu, druga chciała zostać. Na razie przewaga tej drugiej była znacząca. W tłumie Roger zauważył oplecionych luźno ramionami Joego i Mollie. Podeszedł do nich.

– Atmosfera jest naprawdę świetna, co? – rzekł Joe, gapiąc się na Rogera spod swojej czapeczki baseballowej. – Wszyscy są do siebie przyjaźnie nastawieni i nikogo nie obchodzi, kto z kim jest. No, może trochę obchodzi, ale nie za bardzo. Czemu sobie nie znajdziesz dziewczyny, Roger?

– Już to zrobił. Przynajmniej tak mi się zdawało.

– Ja też tak myślałem – rzekł Roger.

– Coś nie wyszło? Szkoda.

– Masz papierosa, Joe? – spytała Mollie.

– Jasne, kochanie. – Obejmując Mollie, odchylił się na bok, na próżno szukając wolną ręką papierosów w bocznych kieszeniach. Potem z zaciśniętymi ustami przesunął się z nią w drugą stronę i sięgnął do drugiej kieszeni. – Chyba nie... Czekał. – Wyszarpnął zamkniętą paczkę papierosów z górnej kieszeni i nie przestając obejmować Mollie, zaczął tarmosić opakowanie wszystkimi palcami. Mollie, z szyją uwięzioną w zwężającym się coraz bardziej zgięciu łokcia, zaczęła się trochę niepokoić. Joe zabrał się za pudełko zębami. – Te cholerne opakowania! – wrzasnął stłumionym głosem.

– Kochanie, gdybyś mógł...

– Jezu, można by pomyśleć, że próbuję powstrzymać cię od zapalenia. – Uderzył w dno paczki palcem i kilka zdeformowanych papierosów pojawiło się na wierzchu. – Proszę.

– Przepraszam, Joe, nie masz z filtrem, nie?

– Nie, nie mam. Sam zapalę jednego z tych.

– Jasne, pal, tylko nie wiem, czy ci się uda? Roger, stary, znalazłbyś mi papierosa z filtrem? Potem będę już miała wszystko, czego chcę. Dzięki.

Po chwili ludzie zaczęli gromadzić się na łodzi. Roger skoncentrował się na znalezieniu miejsca jak najdalej od orkiestry, gdzie mógłby uniknąć również spotkania się z Helene, Suzanne i Mollie, Joem, Macherem, Castlemaine'em i resztą. Czując mocne uderzenie czy raczej ciężar wypitych drinków i smak Hawany w ustach, ulokował się wreszcie jak dobry chrześcijanin, by przetrwać podróż cierpliwie i z hartem ducha.

Zgiełk w odległym końcu łodzi obudził jego czujność. Dochodziły go okrzyki żartobliwego zachęcania. Ktoś zawołał przenikliwie:

– Czekaj Sam, jeszcze jeden!

Murzyn przy sterach natychmiast zareagował, robiąc użytek z silnika i rumpla. Roger oparty o kotwicę zobaczył wysoką, smukłą sylwetkę człowieka machającego butelką, który biegł szybko do wody, po czym skoczył. Był to Ernst. Odległość nie była większa niż półtora metra, ale Ernst poślizgnął się przy skoku i nie chwycił wyciągniętych ku niemu rąk. Wpadł niezdarnie, trafiając jedną nogą w próżnię pod sobą. Butelka wyleciała płaskim łukiem i została złapana przy pokładzie przez mężczyznę z siwymi włosami, ubranego w kubistyczną koszulkę koloru wina i pomidorów, który rzucił się desperacko ku niej. Wyczyn ten wywołał aplauz.

– Skończone!

– Płyn, lwie, płyn!

– Jak zawsze potężny ten takielunek.

– Przetnij tę linę.

– Czekaście. Zdaje się, że doktor Bang doznał wstrząsu.

Ernst, tutaj!

– Co za szalony wiking!

– Hej, Ernst, w porządku?

– Co stało się z tą butelką? Nie chciałbym, żeby jej się coś przytrafiło.

– Mam ją tu, Ernst, bezpieczna jak niemowlę.

– No, dalej, nalej facetowi trochę, zrobił nam przysługę, nie?

– Kochanie, na pewno ci się nic nie stało? – spytała Helene.

– Może coś sobie skręciłem, poza tym wszystko w porządku.

– W każdym razie teraz jest w porządku, Ernst? Cholera, a kto nie byłby?

Kilka godzin później Roger znalazł się w domu, w którym nie było ścian wewnętrznych wyższych niż wysokość pasa człowieka. Gumowe rośliny, kaktusy, pnącza, książki, tajemnicze stosy pożyłkowanych kamieni, słoiki z tabaką Ivy League, jeże z czarnych żelaznych gwoździ, obrazy w dwóch odcieniach czerni na miniaturowych sztalugach, kawałki drewna z morza, które przypominały jakieś stworzenia lub przedmioty wykonane ręką człowieka, purpurowe i brązowe butelki, zrobione wyraźnie po to, by w nich trzymać ciecze, stały na postrzępionej, łupkowej półce między pionowym cyrkiem z wiśni i obdartą z kory sosną, obok wyżłobionych białych kolumn, pokropionych na różowo. Dobrze miejsce na walkę z bronią w rękę, pomyślał Roger po nalaniu sobie drinka z kamiennej beczki zawieszanej przy ścianie w kącie. Albo na jakąkolwiek walkę.

Co jakiś czas podjeżdżały samochody wypełnione ludźmi. Niektórzy zatrzymywali się po drodze, by kupić pizzę, inni twierdzili, że trudno im było znaleźć drogę albo w ogóle nic nie mówili. Roger stał na górnym stopniu krótkich marmurowych schodów, przy mauryjskich drzwiach, oświetlonych fluorescencyjnym światłem. W tym momencie wszedł Strode Atkins. Był przemoczony od stóp do głów i palił papierosa. Ukłonił się przyjaźnie Rogerowi.

- Zdaje się, że wylądowałem w rzece – rzekł.
- Widzę. Zimno co?

– Chyba tak. Nie mogę powiedzieć z całą pewnością...
Pan jest Anglikiem, prawda?

– Tak i nazywam się Roger Micheldene.

– Jestem pewien, że już się kiedyś... gdzieś...

– Tak, u Derlangerów w ubiegłą niedzielę i żeby ulżyć twojej głowie, dodam, że Tommy'ego Atkinsa już przerobiliśmy. Oraz „oat” i „aboa”, i to, dlaczego was nienawidzimy. A ty jesteś strasznym anglofilem.

Twarz Atkinsa powoli się rozjaśniała.

– Ach, tak... – rzekł, zastanawiając się. – Tak, tak było, przypominam sobie teraz. Jesteś moim stary kumplem Mitchem Deanem. Jak ci się wie dzie, Mitch, staruszku? Podoba ci się w tym kraju?

– Nieźle.

– Wspaniale, hej... – Strode Atkins stał i ociekał wodą, podczas gdy jego twarz pociemniała tak samo powoli i całkowicie jak jeszcze przed chwilą pojaśniała. – Hej! Było coś jeszcze tego wieczora, prawda?

– Strode? Strode, chodź tu i ubierz jakieś suche rzeczy.

– Zaraz idę, Al. Chcę tylko coś ustalić z moim starym przyjacielem Mitchem. Taak, było coś jeszcze... co to było?

– Po chwili, którą Roger wykorzystał na to, by ułożyć nogi w wygodniejszej pozycji, Atkins zdołał coś ustalić. Wyciągnął rękę, spojrział Rogerowi w oczy. – Mitch, stary, przepraszam cię i chcę, żebyś uścisnął mi rękę na znak, że nie żywisz żadnej urazy.

Roger wytrzeszczył oczy.

– Przykro ci? Za co?

– Jeżeli o to chodzi, Mitch, to nie za bardzo potrafię ci powiedzieć, tego sobie nie przypominam, nie wiem, o co chodziło. Jednak pamiętam, były jakieś... nieprzyjemności i obaj mieliśmy w tym swój udział.

– I co z tego?

– To z tego, Mitch, to. Mam taką zasadę, że jeżeli zostaje wmieszany w jakiś kłopot, to potem przepraszam. Prawie zawsze jest to moja wina, a jeżeli nie, to chrzanić to. Lepiej jest zawsze przeprosić. To co? Uściszysz? – Roger uściśnił jego rękę, a Atkins klepnął go w plecy. – Tak jest, mój stary. Wszyscy jesteśmy teraz przyjaciółmi. Na razie.

Powoli, ale bez kłopotów zszedł ze schodów i począpał przez dywaniki, płytki ceramiczne, kawałki drewna w stronę gospodarza ani razu nie wykonując złego ruchu i zwrotu. Szklanka Rogera była pusta.

Napełnił ją po raz drugi, gdy podszedł do niego Nigel Pargeter. Widząc go, Roger zwymiotował w duchu.

O Boże, Pargeter. Co ten facet tu robi, w takim miejscu? Kto go zaprosił i jak on mógł to przyjąć? Pargeter – to straszne uświadomić sobie, że coś takiego istnieje. Można było zakwestionować wyobrażenie kosmosu jako dzieła Wszchemocnego, widząc coś takiego jak Pargeter. Niemniej jednak Roger pozdrowił go wylewnie. Pargeter swoją osobowością przypominał karmiciela zwierząt, co było raczej wzruszające.

– Cześć Pargeter. Anglia jest tam, gdzie była?

Mężczyzna zignorował pytanie i rozejrzał się pospiesznie wokoło. To i sposób, w jaki mówił, sugerowało, że podszedł do Rogera, dlatego że go znał i dlatego, że Roger był sam. Nie zaś dlatego, że Roger był właśnie Rogerem. Powiedział do niego:

– Czy mógłbyś mi pomóc? Tam na zewnątrz są pewne problemy i pomyślałem, że możesz mi pomóc.

– Jakie problemy?

– Problemy z Joem Derlangerem.

Roger poszedł za Pargeterem. Przeszli przez coś, co niewątpliwie było holem lub korytarzem prowadzącym do drzwi wejściowych. W drzwiach były dziury, które ktoś mógł zrobić na przykład rozżarzonymi drutami do robótek.

– Jakie kłopoty?

– Wygłupia się. Chyba trochę się zdenerwował.

– Bije się z kimś?

– Jeszcze nie.

Schodząc z werandy, usłyszeli odgłosy uderzeń twardym przedmiotem o metal. W chwilę później Roger zobaczył Joego oświetlonego potężnymi żarówkami z rybackich latarni, które wisiały na wysokich tyczkach. Joe zrobił krok do przodu i zdecydowanie kopnął drzwi samochodu, jak się okazało – własnego. Ponownie rozległ się huk. Małe wklęsnięcia w całej karoserii świadczyły o wcześniejszych kopnięciach. Pięć metrów od niego stała Grace Derlanger, skulona z twarzą ukrytą w dłoniach. Pargeter podszedł do niej i objął ją ramieniem.

– Proszę, nie, Joe, kochanie! – zawołała. – Proszę nie. Zabierz mnie do domu. Jestem taka zmęczona.

– Nie, dopóki nie będę gotowy – odpowiedział Joe. Zdawał się być pochłonięty czymś innym. – Najpierw skończę z tym, a potem zadzwonię po taksówkę. – Trąc brodę i potrząsając z niezadowoleniem głową, kontemplował samochód przez chwilę, a potem odwrócił się i zdecydowanym krokiem poszedł za dom.

Roger podszedł do Grace i Pargetera.

– Po co on to wszystko robi? – spytał.

– W ten sposób czasami się wkurza – odrzekła Grace, przełykając ślinę. – Nie mam pojęcia, co go mogło wkurzyć i co mu daje teraz to rozwalanie samochodu. Jak go jutro o to zapytam, to powie, że nie pamięta.

– Wejdz do środka, Grace – rzekł Pargeter. – Wypij drinka. Stanie tutaj na nic się nie zda. Może przestanie, gdy wejdiesz do domu.

– Nie, muszę tu zostać i obserwować. Dla niego to nie ma znaczenia, czy tu jestem, czy nie. To nie o mnie chodzi.

– Może sam już ma dosyć i jest w środku – powiedział Pargeter.

– Na pewno wróci. Nie skończył jeszcze. Nie przestanie, zanim tego nie zniszczy.

– Wejdz więc, Grace, i napij się czegoś – nakłaniał Pargeter.

– Zostanę, dzięki, Nigel. Ty idź. O, wraca.

Joe pojawił się znowu w zasięgu wzroku. Niósł coś, co przypominało żelazną sztabę. Uderzył tym w przednie światło. Rozległ się tępy odgłos wybuchu, ale szyba ostała się w całości.

– To jest lepsze – rzekł do siebie, zbliżając się do drugiej lampy.

Roger zainteresował się. Stał naprzeciwko Joego i powiedział:

– Joe, to jest cholerna strata czasu.

– Zejdz mi z drogi, Roger, proszę. – Ton Joego nie brzmiał jak groźba. Równie dobrze mógłby w ten sam sposób prosić swojego przeciwnika w golfie, by ten zostawił mu możliwość strzału do dołka z odległości dwóch metrów.

– Odejdz na bok, dobrze?

– To będzie cię kosztowało trochę szmalu, Joe. I jeszcze kłopotliwe wyjaśnienia. Chyba wolałbym umrzeć, gdybym był tobą. Mówię ci to jako kumpel.

– Im szybciej się przesuniesz, tym szybciej z tym skończę. To jest mój samochód i mogę z nim zrobić, co chcę. Teraz chcę mu trochę dokopać.

Pargeter stanął obok Rogera.

– Daj spokój, Joe, dobrze?

– Słuchajcie, wiem, że chcecie dobrze, ale tylko mnie wstrzymujecie. Przestańcie gadać i dajcie mi skończyć to, co rozpocząłem. Zajmie mi to nie więcej niż minutę, dwie.

– Nie chciał zapalić czy co? – spytał jeszcze Pargeter.

– Nie chodzi o samochód. A teraz zejdźcie ze światła, proszę.

Roger i Pargeter wrócili do Grace. Joe rozbił ostatnią ocalałą lampę i stał, zastanawiając się. Potem trzasnął w przednią szybę. Tym razem odgłos tłuczonego szkła był bardzo donośny. Roger zostawił Grace i Pargetera i wrócił do domu. Jego zainteresowanie wygasło. Dobrze by było powstrzymać Joego, ale z drugiej strony sprawa nie była aż tak istotna. Był niezadowolony. Pamiętał, że chciał się właśnie zwierzyć Joemu ze swojego uczucia do Helene, a nawet, być może, poprosić go o radę. Teraz wiedział, że nie mógłby już tego zrobić. Zrozumiał, że nie można z nimi pogadać o czymś bardziej osobistym niż baseball, chyba że było się w jednej grupie w Yale albo w Phi Ypsilon Kappa.

W chwili gdy wchodził, na nie oświetlonej werandzie ktoś się poruszył. Powtarzające się spotkania z Mollie Atkins upewniły go w przekonaniu, że to znowu ona. To była ona. Stała na jednej nodze, kiwając się lekko do przodu i do tyłu. W ręce trzymała drinka. Wręczyła go Rogerowi bez słowa. Roger wziął i wypił.

– Dziękuję bardzo. – Podeszedł o krok bliżej do drzwi. Ale wobec falującego wewnątrz hałasu działalność Joego typu „zniszcz to sam” tylko nabrała miejskiego uroku. Poza odgłosami tłuczonego szkła panowała tu cisza i spokój. Roger odwrócił się do Mollie i wziął ją za ramię.

– Co powiesz na trochę świeżego powietrza? – zaproponował.

Mollie zeskoczyła i przechyliła się w jego stronę. Jej długi naszyjnik z czegoś, co wyglądało na skamieniałe ptasie jaja (lub paskudną imitację ceramiki), zawinął się boleśnie wokół jego przepony.

– O Boże, nie możesz nawet iść?

– Jeżeli pytasz o to, czy jestem podcięta, to odpowiedź brzmi „tak”. Ale nie to stanowi problem. – Zrobiła następny skok, bolesny dla Rogera. – Nie mam odpowiednich butów do mojego rozmiaru stopy. Właśnie wybierałam się na ich poszukiwanie. Czekaaj chwilę. – Pochyliła się i wyciągnęła sandał na wysokim obcasie.

– Jeśli zostawiłaś drugi w samochodzie u Joego, to wątpię, czy będziesz mogła go jeszcze włożyć. – Zauważył, że była zmęczona.

– Nie zostawiłam go w samochodzie Joego, bo nie przyjechałam tu z nim. Z Joem przyjechała Grace, a ja przyjechałam z Alem jego samochodem.

Od strony samochodu Joego rozległ się jeszcze donośniejszy dźwięk. Roger poprowadził Mollie z pewną trudnością za róg domu. Kobiety, gdy są pijane, stają się albo irytująco zależne od kogoś, albo nieracjonalnie agresywne. W rzeczywistości gdyby nie kilka zakazów, mogłyby się nieznośnie naprzykrzać. Mollie przerwała te rozmyślenia:

– Dobrze przynajmniej, że wyładowuje się na przedmiotach. W stosunku do ludzi jest dość cierpliwy i miły. Raz wysadził w powietrze podgrzewacz do wody. Huknęło bardziej niż się spodziewał. Był przerażony i bał się, czy się komuś nie stała krzywda.

– O czym ty mówisz? – Udało mu się ją oprzeć o dość solidne drzewo. Uznał, że nie ma w ogóle potrzeby rozmawiania o czymkolwiek.

– O Joem. On jest wart w złocie tyle, ile my razem ważymy. A z tobą stary, to już spora waga. Nie wyszło nam dziś dobrze, nie? Dlaczego tak jest, jak myślisz?

– Ale on niszczy swój samochód.

– Wiem. Właśnie o tym mówię. Myślisz, że on jest dziecinny, co? Twoim zdaniem bardziej dorosłe byłoby, gdyby kogoś dorwał i zabawił się jego kosztem, co?

– Słuchaj, jeżeli dalej tak będziesz mówić, to...

Schwyciła jego ramię przez marynarkę i koszulę i przytrzymała w nadspodziewanie mocnym uścisku.

– Rozluźnij się kochanie...

Ku jego lekkiemu zdumieniu pociągnęła go na ziemię. Miał akurat dość czasu na stwierdzenie, że wolałby usiąść, gdy to się stało. Amerykańskie kobiety wydały mu się całkiem bez finezji. Wolał jednak uczciwie poddać się uczciwym zabiegom, z wyjątkiem – przynajmniej teoretycznie – tych kobiet, które uczciwie nie robiły żadnego kroku w jego kierunku.

– ...nadchodzi, gdy nie możesz mieć tego, na co miałbyś ochotę...

O czym ona nudziła? Grzeczności Suzanne Klein wynikały prawdopodobnie z niepewności, z jaką utożsamiała się ze swoim pochodzeniem żydowskim i amerykańskim. Na razie jej młodość była tylko chwilową zaletą przy takich fundamentalnych ułomnościach.

– ...o wiele lepiej, gdy ludzie tacy jak my robią to, co jest do osiągnięcia...

Opierała się o niego, dbając raczej o własny komfort, niż o sprawienie mu przyjemności. Wzbierająca w nim niechęć skupiła się na poczuciu, że jest traktowany jak sofa ogrodowa. To pociąganie i obłapianie najwyraźniej wynikało z tego, iż była starzejącą się nimfomanką, i to bez szczególnego polotu. Gdyby tylko Helene zechciała być wobec niego chociaż grzeczna, pomijając już to, że mogłaby być miła, to żadne z wieczornych upokorzeń nie miałyby miejsca. Poza tym był przecież jej gościem.

Mollie położyła swoją ciepłą, suchą rękę na jego twarzy.

– ...powinno uczynić ludzi w naszej sytuacji miłszymi dla siebie? Co sądzisz, Rog?

Odetchnął głęboko, by zaraz wybuchnąć z ogniem.

– Nie widzę, niestety, żadnych podobieństw naszych sytuacji. Szczęśliwie dla ciebie nie zwracałem uwagi na te bzdury, które wygadujesz. Ale biorąc pod uwagę moment twojego życia, radzę ci, byś zachowała trochę godności. Większość mężczyzn nie gustuje w pijanych kobietach w pewnym wieku, które im się narzucają. Masz odpowiedniego męża. Zwróć na niego większą uwagę. – Stracił jej rękę i z trudnością, nie było bowiem niczego, o co mógłby się wesprzeć, podniósł się.

Zapanowała kompletna cisza. W tym momencie uświadomił sobie, że wszystkie dźwięki wywoływane aktywnością Joego ustały. Mollie leżała tak, jak upadła, gdy przestał ją podtrzymywać: na plecach, patrząc na niego w bezruchu. Potem powiedziała:

– Spieprzaj, panie Angliku. Chcę zostać sama i przypominać sobie waszą dawną kurtuazję. Spieprzaj.

Jej głos był cichy i płaski, ale w intonacji wyższy niż zwykle. Roger stał przez chwilę, przeżywając niezwykłą mieszankę uczuć. Jedno z nich przypominało wzruszenie.

Pospieszył do domu i rozejrzał się za mężczyzną zwanym Alem, który był gospodarzem. Al stał w grupie osób, między innymi z Helene, Suzanne, Macherem, i przemawiał. Z pluszowego fotela przysłuchiwał się temu również Ernst. Jedną nogę miał wyciągniętą przed siebie na podnóżku z rurek z niehartowanej stali. Raz po raz poruszał nią, by sprawdzić jej stan.

– Facet budzi się więc na rogatekach – opowiadał Al, — przy tym, co zostało z jego samochodu i stwierdza, że musiał zwariować, ponieważ pochyła się nad nim jednooki Murzyn, królik wielkości człowieka i Apacz w pióropuszu, z farbą na twarzy. Pierwsza jego myśl to, że trafił do *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Potem Indianin mówi do niego z bostońskim akcentem: „Prawdopodobnie nic się panu nie stało, ale zostanie pan jeszcze zbadany później. Proszę się niczym nie martwić. Jestem lekarzem”. A gość krzyczy: „Nie dotykaj mnie, ty paskudo”. Zanim zrozumie, że to Halloween, jeszcze się wiele wydarzy. Ci trzej idą do...

– Przepraszam – wtrącił Roger w końcu – czy ma pan książkę telefoniczną? Mam coś pilnego do załatwienia.

– Oczywiście, proszę tutaj – rzekł Al, prowadząc go przez różne kąty. – Nic złego, mam nadzieję? Czy mogę w czymś pomóc?

– Dzięki, poradzę sobie. – Roger znalazł szybko adres i chciał zadzwonić po taksówkę, gdy weszła Helene.

– Co się stało, Roger? Źle się czujesz?

– Nie. Po prostu muszę się z kimś zobaczyć.

– Nie możesz zadzwonić? Trochę późno jak na wizyty.

Kto to jest?

– Nie, muszę zobaczyć się osobiście... Dzwonię po taksówkę Keeleya.

– Keeley nie jeździ po północy. Dokąd chcesz jechać?
Daleko?

– To gdzieś w mieście. Nie wiem, jak daleko.

– Nie więcej niż pięć minut. Ile czasu zajęłaby ci wizyta?

– Nie wiem. Piętnaście minut. Może dwadzieścia.

– Zawiozę cię tam i przywiozę, jeżeli nie będzie to trwało zbyt długo. Potem muszę zabrać Ernsta do domu.

– Chciałabyś to zrobić?

– Pewnie. Z kim się chcesz zobaczyć?

– Potem ci powiem. Nie znasz go. Najpierw muszę iść do toalety.

– Spotkamy się na zewnątrz.

W łazience, która, o dziwo, miała ściany od podłogi do sufitu, Roger stwierdził, że nie czuje się źle. Usiadł na chwilę na klapie muszli z tworzywa przypominającego morelowy marmur. Potem napił się wody i zmoczył twarz i kark.

Przed domem czekał na niego zielono-brązowy wygodny wóz Bangów. Roger wszedł i ruszyli. Gdy mijali samochód Joego, który ktoś zepchnął z podjazdu, jakiś głos z tylnego siedzenia odezwał się z zainteresowaniem:

– Ktoś się tutaj wyżywał.

Roger zamknął oczy. Potem spytał bardzo powoli:

– Co tu robi ten mały gnojek?

– Wzięłam Irvinga, żeby mi potowarzyszył, gdy ty będziesz załatwiał swoje sprawy. Samotna dziewczyna nie jest bezpieczna w środku miasta o tej porze.

– Boże, kobieto, będziesz w samochodzie, nie? Nie spodziewasz się chyba, że ktoś do ciebie przyjdzie z żelaznym drągiem, co?

– Nie o to chodzi.

– Nie? Nie o to? Jesteś taka jak zawsze. Księżniczka na ziarnku grochu. Wymagająca opieki, to znaczy wymuszająca nieracjonalne ugody. Chciana. Zawsze dostajesz więcej, niż na to zasługujesz.

– Roger, wiem, że jesteś wściekły, ale jeżeli będziesz się tak dalej zachowywał, to potem będziesz tego żałował.

– Być może masz rację, ale problem leży w tym, że są to sprawy, o których mówię z radością.

Za swoimi plecami Roger usłyszał śmiech Machera.

– Muszę przyznać, że pańska metoda popłaca, panie Micheldene. Ogólnie rzecz biorąc, w porównaniu z moją cuchnie, ale posiada kilka takich punktów, których mojej brakuje.

– Obejdziemy się bez pańskich małosłownych komentarzy, Macher. Wracając... kobiety starają się zawsze uwikłać mężczyznę w sytuację, w której...

Helene nacisnęła hamulec tak gwałtownie, że Roger czołem wyrznął w przednią szybę.

– Może chcesz sobie zrobić spacerek do twojego znajomego? – spytała.

– Ostrożnie proszę... Naprawdę przepraszam. Nie bardzo sobie zdawałem sprawę z tego, co mówię – rzekł szczerze Roger. – Jestem trochę zdenerwowany. Zachowałem się wstrętnie. Nie chciałem. Nie mogę nad tym zapanować. Wybacz mi. – Położył rękę na jej nadgarstku.

Jego ręka leżała na ręce Helene przez kilkanaście sekund. Nikt się nie poruszył ani nie odezwał. Potem dziewczyna rzekła cicho:

– Dobrze, ale bez takich ataków szału – i ruszyła dalej. Reszta drogi przebiegła w milczeniu.

Roger wysiadł na pustą ulicę, przy której stały trzypiętrowe domy. Podszedł do jednego z nich i zadzwonił. Nie było odpowiedzi. Roger zaczął walić w drzwi, krzycząc:

– Zejdź na dół! Natychmiast, ty wyfraczony clownie. Wiem, że tam jesteś. Nie ukrywaj się. Wpuść mnie natychmiast. Ty duchowy dentysto. Chodź tu i zrób to, co masz robić. Wypowiadaj mnie. Jeżeli nie będzie cię tu za minutę, to naślę na ciebie biskupa.

W górnych pokojach zaświeciły się światła i otworzyły się okna. Ktoś przywoływał go do rozsądku. Potem przed Rogerem otworzyły się drzwi. Pojawił się w nich tęgi Murzyn w białej piżamie.

– W czym mogę służyć?

– Pozwól mi wejść.

– W jakim celu?

– Gdzie twój szef?

– Ja jestem szefem tutaj. To mój dom. O co chodzi?

– Gdzie jest Colgate?

– Nazywam się Miller. Żadnego Colgate'a tu nie ma, zapewniam pana.

– Musi być. Księżulo. W obroży.

– A, o to chodzi. Młody człowiek spełniający posługi duchowe mieszka w jednym z domów po drugiej stronie ulicy. Pod numerem dziewiętnastym. Niewątpliwie to o niego chodzi.

– To to nie jest numer dziewiętnasty?

– Nie. Dziewiętnasty jest tam.

– Dziękuję.

– Dobranoc.

W chwilę później Roger siedział w pokoju pełnym doniczkowych palm i akwariów. Ojciec Colgate, ubrany w żółtą podomkę, mówił:

– W pańskim obecnym stanie fizycznym, emocjonalnym i duchowym nie będę mógł spełnić swojego obowiązku i wysłuchać pana. Działa pan pod wpływem egoistycznych pobudek, w których dominuje nienawiść. O ile mogę się zorientować, pańska duma została urażona i pan chce, bym pomógł mu ją odzyskać. Nie wchodzi to w zakres...

– Bzdura, moja дума jest w stanie idealnym. A jeżeli chodzi o nienawiść, to każdy głupiec dostrzegłby, że jestem nią przepełniony i nic dziwnego. Czy ojciec rozumie system, któremu pomaga funkcjonować? To nie jego nieracjonalność atakuję. Nie w tym momencie, w każdym razie. To jest barbarzyńska niesprawiedliwość wobec oczekujących ludzi, którzy stają się bezbronni...

– Powstrzymaj się, mój synu. Uspokój się. To, co ta kobieta ci powiedziała, zakłóciło prawdopodobnie twoje normalne funkcjonowanie. Wyraźnie padła kwestia zachowania seksualnego. Zaś co do innych spraw, które zaszły między wami, to nie potrafię ich rozpoznać. Czy mógłbym ewentualnie dowiedzieć się jakichś szczegółów?

– Powiedziała... Ach, mniejsza z tym, co powiedziała. Nie o to chodzi. Zastanowiło mnie tylko, co w życiu napotyamy. Obecnie oczywiście stajemy twarzą w twarz z ogromem problemów, ale nie trzeba używać *nous*, by stwierdzić...

– Przepraszam, na chwilkę, ale... ale to słowo *no... nous*? Nie bardzo...

– Ach, przepraszam. Zapomniałem, że w tym kraju tylko w pięciu szkołach uczy się greki. *Nous*: inteligencja, przenikliwość, zdolność rozumowania.

– Proszę dalej.

– Dziękuję, chciałem to zrobić. Ludzie mówią innym, że to my sami jesteśmy odpowiedzialni za zło. Pożądanie. Wyraźnie pamiętam odkrycie kobiet. Tak samo z piciem. Ojciec, jestem alkoholikiem. Nie obwiniaj mnie, mój synu. Na tych cholernych tablicach z Góry Synaj nie było nic o destylacji. Dopiero wy tego zabroniliście. Ojciec, jestem narkomanem. Nie możesz powiedzieć, że cię nie ostrzegałem. Powiedziałem ci, nie dotykaj tego jabłka. Ojciec, cierpię na...

– Posłuchaj synu, idź do domu i prześpij się. Wróć, gdy będziesz mniej zdenerwowany, co?

– To ja zaraz cię zdenerwuję, ty odklepująca różaniec ropucho. Nie przyjąłbym twojego rozgrzeszenia, nawet gdybyś mnie o to błagał. Spróbuj rozgrzeszyć siebie z grzechu hańby, jakim jest wywołanie niełaski. I przestań mówić mi, co mam zrobić, ty głupcze.

Roger złapał ojca Colgate'a, poprowadził do największego akwarium i pochylił jego głowę tuż nad falującą powierzchnię wody. Żółte rybki i inne ubarwione pionowymi paskami ryby, ze zdumionymi, niedorozwiniętymi głowami skryły się w zakamarkach akwarium.

– *Auctoritate mihi commissa* – zaintonował Roger – *ego te condemno in nomine Patris* – przy tych słowach zanurzył usta i nos Colgate'a w wodzie – *et Filii* – całą twarz po skraj włosów – *et Spiritus Sancti* – całą głowę i szyję. Wezbrana woda przeląła się przez brzegi. Przez chwilę jeszcze Roger mieszał lekko wodę głową Colgate'a, a następnie wyciągnął go i rzucił na sofę. Ksiądz kaszłał i sapał. – Dobranoc, ojcze i dziękuję. Bardzo mi pomogłeś. Módl się za mnie.

- Z natury była taką rozważną kobietą – rzekł Ernst. Zacisnął wargi i zmienił pozycję swojej zagipsowanej stopy.
- Co za diabelski żart. Jak myślisz, Roger, czy nie była rozważną kobietą?
- Zdecydowanie tak.

– Jestem pewien, że taka była w stosunkach z tobą. To, co stało się teraz, wydaje się pozbawione charakteru, nie uważasz? Żadnej informacji, nic. Ale nie było to spontaniczne. Dziś po południu nadeszła olbrzymia dostawa ze sklepu, więcej niż potrzeba dla mnie i Artura przez weekend. Sue Green wpadła tuż przed twoim przyjściem. Powiedziała, że rozumie, dlaczego Helene wyjechała na kilka dni. Spytała, czy może w czymś pomóc. Więc w jej działaniu była premedytacja, głupie słowo. Prawdopodobnie dostanę jutro jakiś list, który coś wyjaśni, ale... To takie do niej niepodobne, prawda?

– Zdecydowanie się zgadzam. – Roger usiłował przybrać minę doświadczonego i wiarygodnego zbieracza faktów. – Czy kiedykolwiek wcześniej zrobiła coś takiego?

– Nigdy. I to mnie naprawdę niepokoi. Nigdy nie spędziła więcej niż kilka godzin bez powiadomienia, gdzie jest. A teraz... upłynęło już prawie dwanaście godzin. Zniknęła krótko po moim wyjeździe, dziś rano. Mary Selby odebrała Artura ze szkoły i dała mu herbatę. Nie wiem, czy to było ustalone wcześniej? Nie chciałem pytać.

– Może pojechała do rodziców?

– Nie, rozmawiałem z jej matką przez telefon. Musiałem się nieźle natrudzić, by ją przekonać, że nic się nie stało. Wiem z całą pewnością, co się dzieje. Jest z mężczyzną.

– Naprawdę tak sądzisz? – Niezależnie od tego, co naprawdę myślał Ernst, Roger był pewien, że Helene jest z kimś. Myślał o tym stale, od momentu gdy trzy godziny temu Ernst zadzwonił do niego, do Nowego Jorku, i powiedział, że Helene zniknęła. Nie było to miłe. Tak samo jak niemiły był poranek, gdy otrzymał od Helene list, w którym wyjaśniała, że Ernst złamał nogę przy upadku i trudno mu się poruszać, więc musi z nim zostać, a ich wspólny wyjazd trzeba odłożyć. Właściwie nie był tym zaskoczony. Cały dowcip w zadawaniu się z kobietami polegał na tym, że były one właśnie kobietami. Fakt, że złamana noga Ernsta była tylko częściowym hamulcem dla poczynań Helene, był jeszcze trudniejszy do zaakceptowania. Tak samo jak to, że noga Ernsta nie tyle bolała, co po prostu utrudniała chodzenie. Dręczyła go też myśl dotycząca nowego towarzysza Helene.

Ernst podjął te ostatnią kwestię, pytając:

– Jak sądzisz, z kim Helene pojechała?

– To znaczy, że wiesz? Nie pomyślałbym...

– Pytam o twoje zdanie. O opinię eksperta w tym przypadku. Wiesz, Roger, jestem zdumiony, że to się nie zdarzyło wcześniej. Ożeniłem się z bardzo atrakcyjną kobietą. Nie muszę ci mówić, że przez jakiś czas był inny mężczyzna i inne problemy. Nie czuję się dotknięty i z tego powodu nie było nigdy między nami żadnych kłopotów. Jeżeli ona chce spędzić popołudnie w łóżku z którymś z przypadkowych facetów, to już jest jej sprawa.

– A ja myślałem, że ona była ci całkowicie...

– Roger, proszę. – Ernst uśmiechnął się w taki sposób, że grymas grzecznego niedowierzania zamarł na twarzy Rogera. – Wiem, co robi Helene, bez jej wyjaśnień. Na tym polega między innymi małżeństwo; wiesz przecież sam, jesteś żonaty... o, przepraszam bardzo. Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego ona to robi z tymi facetami. Zgadzam się, jest bardzo namiętna. Każdy z nas ma w sobie jakieś osobliwości, zwłaszcza w sferze seksualnej. Poza tym jest bardzo życzliwa. Śmieszne, ale mężczyźni, których na ogół wybiera, są zawsze... no, powiedzmy żaden z nich nigdy nie stwarzał zagrożenia dla stabilności naszego małżeństwa. Aż do teraz. Tym razem jest inaczej. Teraz czuję się zagrożony. Inaczej nie przyszłoby mi do głowy zabierać ci czas moimi problemami. Bardzo się cieszę, że przyszedłeś od razu. Ale skoro tu już jesteś, chcę zapytać cię o opinię. Kto to jest ten facet, twoim zdaniem? Na pewno masz jakiś pomysł.

– Irving Macher – odrzekł Roger.

– Tak samo pomyślałem. Był tu kilka razy wieczorem. Nie zniechęcałem go, bo jest inteligentny i zabawny. Nie podejrzewałem, że jest w typie Helene. W pewnym sensie nadal w to nie wierzę. Dziwne... Wiesz, Roger, gdy odeszła, przez chwilę myślałem, że to ty możesz być tego sprawcą. Ale potem uznałem, że nie. Musimy być cierpliwi. Mam przeczucie, że dostaniemy jakąś wiadomość rano. Przepraszam na chwilę, zobaczę, czy Artur czegoś nie chce.

– Wstał i wykuśtykał z pokoju.

Roger siedział i próbował myśleć. Przychodziło mu to z trudem. Był emocjonalnie wykończony tłumieniem nieprzeparanej ciekawości. Ernst nie podał mu przez telefon żadnych szczegółów. Roger dręczył się jeszcze godzinę po przyjeździe tutaj. Jak łatwo było przewidzieć, Artur ciągle nie spał. Bezustannie zadawał pytania o ciotkę w Cincinnati, o to, czy mama poleciała tam samolotem odrzutowym i tak dalej.

Obecność Artura – jego jak zwykle krzykliwy ton w rozmowie, słyszalny co jakiś czas z daleka – był mniej irytujący niż myśli o Helene. Wszystko wskazywało na to, że Macher powinien zostać przeanalizowany, stać się celem spisku, następnie należało go złapać i ukarać. Niestety, ilekroć Roger próbował się nad tym zastanowić, jego myśli biegły ku Helene. Niewątpliwie obecność w tym domu nie służyła mu.

Ernst wrócił, stukając nieregularnie gipsem po podłodze.

– Napijmy się jeszcze. Mam na to ochotę dziś wieczór.
Upijmy się razem, co?

– Z przyjemnością, Ernst, ale mam jeszcze czas tylko na jednego. Muszę wracać do Nowego Jorku. Mam pociąg...

– Dlaczego? Miałem nadzieję, że wystąpisz dziś w charakterze przyjaciela rodziny i wesprzesz mnie. Myślałem, że zostaniesz na noc.

– Obawiam się, że nie wchodzi to w rachubę. I tak nie będę wcześniej w domu niż dobrze po jedenastej, a jutro skoro świt muszę jechać do New Haven. Szkoda, mogło być miło.

– No to chociaż jednego na drogę. Jak już tam jesteś, to nalej mi też.

Roger zapatrzył się w swojego drinka.

– Ciekawe, dokąd pojechali – powiedział z namysłem.

– Niewątpliwie gdzieś do Nowego Jorku. Na pewno wyjechali stąd, a Helene uwielbia Nowy Jork. Namawia mnie zawsze, byśmy tam pojechali i posłuchali prawdziwego jazzu. Mówi, że jazz w Skandynawii jest dobry, ale nie tak autentyczny jak tu. Sam nie znam się na tym, przyznaję.

– Ani ja, szczerze mówiąc. Czy dobrze zna Nowy Jork?

– Nigdy tam nie mieszkała.

– Ma jakichś przyjaciół?

– Nikogo, kogo bym znał. Są pewnie w jakimś hotelu.

– Więc nie wiesz, gdzie mogliby być?

– Nie, nie wiem, a nawet gdybym wiedział... – Ernst przerwał, uśmiechając się i marszcząc. – Zaraźliwe, co, nie wydaje ci się?

– Co?

– Ta amerykańska gramatyka. To tak jakby Amerykanie uważali posiadanie czegoś za aktywność, podczas gdy Anglicy za stan. I tak dalej. Fascynujące jest obserwowanie, jak pewne fundamentalne cele i założenia kulturowe znajdują swoje odbicie w idiomach. Fascynujące, ale nie zdumiewające. Język jest przede wszystkim narzędziem społecznym.

– Tak – zgodził się Roger. – Muszę jednak zawołać taksówkę, bo przegapię pociąg.

Taksówką pojechał nie na stację, ale pod główną bramę college'u Budweiser. W czymś, co parodiowało oksfordzką portiernię, siedział człowiek ubrany jak policjant.

– Pilsener 33 – odpowiedział na pytanie Rogera. – Tam na końcu pierwszego placu.

Pierwszy plac był gotycki, pokryty bluszczem, AD MCMXXIX, jak głosiła tablica na kaplicy z przyporami i kilkoma rzygaczami. Zanim znalazł właściwą klatkę schodową, zajrzał do bramy zbudowanej na wzór college'u Caiusa w Cambridge i zobaczył olbrzymie szklano-cementowe pudło, które równie dobrze mogło stać w centrum biznesu na Manhattanie. Zrobili tu postępy.

Za drzwiami z napisem „I.A. Macher” nie było nikogo. Bez lepszych efektów pukał do drzwi z napisem. „P.M. Castlemaine”, „T. Shumway Jr.”, „P.C. Hubler”. Dwie graniczące ściany ostatniego pokoju pokryte były prostokątami z czarnego kartonu. Na jednym z nich wisiało kilka fotografii mężczyzn, przynajmniej dwóch ras, dmuchających w coś, co Roger zidentyfikował jako różnego rodzaju saksofony. Na drugim kartonie było około pięciuset fotografii dziewczyn. Spojrzał na to niespokojnie. Miał mieszane uczucia. Jakie prawo miał P.C. Hubler, by interesować się tą dziedziną? Młodemu ludziom obecnie zdaje się, że mogą zabierać się za dziewczyny, gdy tylko mają na to ochotę.

Roger miał właśnie wyjść, gdy w wejściu pojawił się inny policjant.

– Halo, czego pan tu szuka? – spytał, mierząc Rogera wzrokiem od stóp do głów.

– Szukam pana Castlemaine'a lub...

– Trzeba spróbować w jego pokoju.

– Próbowałem. Nie ma go.

– Ach, nie ma. To pewnie jest teraz na zbiorce. Poszło na nią bardzo dużo osób. Przypuszczam, że to jeszcze trwa. Jest tam, na pewno. Jeżeli oczywiście nie jest kujonem. Czy on jest kujonem?

– Co to właściwie za zbiórka?

– Przed jutrzejszym meczem. Z Rheingold. Tam przy Dunkles Arch. To ma być taka demonstracja. Słyszysz pan ich teraz? – W odległości stu metrów słysząc było śmiechy, okrzyki, a w pewnej chwili dał się słyszeć wybuch. – To oni. Odpalili armatę.

– Już ich chyba znajdę, dziękuję.

– Ale jest pan pewien, że Castlemaine nie zakuwa? Bo jeżeli zakuwa, to go tam nie będzie, będzie...

– Co to znaczy kujon?

– Kujon to młody człowiek, który bardzo lubi czytać książki. Tak jest tym zainteresowany, że spędza nad nimi większość swego czasu. Siedzi w bibliotece. Nie chodzi na żadne spotkania, bo...

– Dziękuję, dziękuję. Proszę mi powiedzieć, dlaczego jest tu tylu policjantów? Czy spodziewacie się jakichś kłopotów?

– Nie więcej niż zwykle. Poza tym nie jestem policjantem, nie zwykłym policjantem. Jestem tak ubrany, ale zajmuję się tu porządkiem.

Zajmuje się porządkiem, pomyślał Roger i wspomniał szlachetnych, ascetycznych dziekanów (uznawanych w innych sytuacjach za pompatycznych cymbałów), którzy w strojach i szarfach piastowali godność starożytnego urzędu (antyczne błazeństwo) na jego własnym uniwersytecie.

– Proszę się nie niepokoić. To nie ja to wymyśliłem, tylko ci, którzy mi płacą. Myśli pan, że powinienem to zmienić?

Dunkles Arch i jego otoczenie oświetlone były łańcuchami elektrycznych żarówek zwieszających się z okien. Wystarczyło, by Roger zdołał znaleźć jednego z kolegów Machera w kilkusetosobowej grupie ludzi. Błąkał się między nimi, próbując zatkać uszy na otaczający go tumult. Zaintonowano jakąś pieśń. Przewodzili jej ludzie zaopatrzeni w megafony, kiwający się rytmicznie na stopniach pod łukiem. Między nimi pojawił się ktoś przebrany w skórę niedźwiedzia. Działo wypaliło. Śpiewano przy akompaniamencie orkiestry dętej. Na wezwania publiczności wprowadzony został człowiek zwany „trener Oxenreider”. Powiedział coś, co miało być słowami otuchy. Roger stracił orientację w jego przemowie. Potem kolejno przedstawiali się inni, którzy przedstawiali jeszcze innych. Jeden z nich mówił: „...gwiazda prawej obrony... nie bardzo bystry, ale z pewnością umie grać w futbol... świetna gra przeciwko Schlitzowi. Prasa też tak sądzi... przebył całą drogę z Portland Maine, by zagrać dla Budweiser... na ławce większość ubiegłej jesieni i już...” Drugi powiedział: „... jak tylko zobaczyłem nogę, złamałem ją”.

Odruch zdecydowanego protestu narastał w Rogerze. Teraz, słuchając pustych głosów i widząc głębokie cienie drgające gwałtownie na ścianach, Roger zaczął wpadać w zdumienie. W tym samym momencie spostrzegł Castelmaine'a stojącego z innym młodzieńcem i dwiema dziewczynami. Ruszył w ich kierunku.

– Czy możemy zamienić słowo?

– To pan Micheldene. Dobry wieczór. Co pana sprowadza do...?

– Sprawa prywatna. – Roger odszedł kilka metrów, a zdziwiony Castelmaine podążył za nim. – Gdzie jest Irving Macher?

– Tego nie wiem na pewno. Nie widziałem go cały dzień. Ale niewątpliwie jest gdzieś...

– Starczy. Gdzie jest?

– Panie Micheldene, chyba jest pan podekscytowany. Myślałem, że Anglicy nie bywają tacy.

– Starczy, Castelmaine. Jeżeli nie uzyskam od pana satysfakcjonującej odpowiedzi, idę prosto do profesora Parrisha i mówię, że mam powód, by wierzyć, że Machera nie ma w college'u. Być może Parrish jest nieodpowiednią osobą i być może ja nie wiem nic na temat zasad panujących w tej dziwnej instytucji i jestem w stanie narobić... – działo wypaliło ponownie i przez twarz Rogera przebiegł grymas – kłopotów Macherowi. Rozumiesz. Więc gdzie on jest?

Castelmaine wpatrywał się w Rogera.

– Jest to tak wstrząsający popis uczciwego zachowania i *fair play*, że z przyjemnością powiem panu wszystko, co wiem. Irving wyjechał do Nowego Jorku. Nie wiem dokładnie dokąd, ale zdaje się, że do mieszkania jego przyjaciela, którego nazwiska nie znam. To powinno zawęzić panu obszar poszukiwań, panie Micheldene.

Roger przyglądał się Castlemaine'owi.

– Czy to wszystko, co powiedział?

– Proszę na mnie spojrzeć. Zbadać moją twarz. Czy wyglądam na takiego, który coś ukrywa?

– Nie. Dziękuję bardzo. Dobranoc.

Roger poszedł do baru naprzeciwko wejścia do college'u i zamówił dużą whisky z wodą, bez lodu.

Barman powtórzył zamówienie i dodał z nie wyjaśnionych powodów:

– I podwójna porcja autorefleksji. Już się robi.

To było niesprawiedliwe, pomyślał Roger, że nie udało mi się wyciągnąć praktycznie żadnych informacji od Castlemaine'a, nawet po poddaniu go pewnej presji, która zdaniem niektórych graniczyć mogła z małym szantażem. Co zatem robić dalej? Macher i Helene prawdopodobnie nie byli w Harlemie ani w Central Parku, ani na Wall Street. Niestety, pozostawało jeszcze wiele innych miejsc na Manhattanie. Nagle Roger uświadomił sobie, że zna jedno miejsce, w którym mogli się zaszyć. Trzeba było je sprawdzić. Szanse na powodzenie nie były zbyt duże, ale na razie nie miał innego tropu. Była jednak mała trudność, którą najpierw należało pokonać.

Dwadzieścia minut później Roger wsłuchiwał się w przerażający dźwięk dzwonów kościelnych, który rozległ się po naciśnięciu dzwonka u drzwi domu Strode'a Atkinsa. Pan domu ubrany w smokingową marynarkę z aksamitu koloru musztardy, z liliową lamówką otworzył drzwi osobiście.

– Cześć, Mitch! – zawołał, sprawiając wrażenie zadowolonego z wizyty Rogera. – Wejdz do środka.

W dużym pokoju Roger dostrzegł Mollie pośród terakotowych statuetek i masek czarowniców.

– Co cię tutaj sprowadza? – spytała.

– Po prostu przechodziłem.

– Dam ci trochę brandy Alexander – odezwał się Atkins.
– Rozgrzewa. Wiem, że nie jest jeszcze zimno, ale lepiej się zabezpieczyć. Pogoda lubi się zmieniać bardzo szybko w tej części stanu. Nie zawracam głowy. Mollie dotrzyma ci towarzystwa.

Gdy Atkins wyszedł do kuchni, Mollie rzekła neutralnym tonem:

– Nie spodziewałam się, że jeszcze cię zobaczę. Czego chcesz?

Roger uznał, że nadszedł czas na mały wstęp.

– Jeżeli powiedziałem coś niewłaściwego tamtego wieczora, to chciałbym cię przeprosić.

– Ale jeżeli mówiłeś tylko konieczne rzeczy, to nie chcesz przeprosić, czy mam rację?

– Byłem okropnie zalany i niewiele pamiętam.

– Świetnie, do diabła. Roger, czego chcesz?

– To bardzo pilne i skomplikowane, inaczej nie śmiałybym cię prosić. Daj mi klucz do mieszkania w Nowym Jorku.

Odwróciła wzrok.

– Ach, tak.

Po dłuższej przerwie Roger powiedział:

– Nie mam zbyt dużo...

– Mamy mnóstwo czasu. – Z kuchni dobiegł dźwięk tłuczonego szkła i przekleństwa. – Rozumiesz, co mam na myśli? Właściwie powinnam chronić moją koleżankę, ale jak wiesz, nie mogę odmówić, ty skurwysynu. Jak ja mogę na sobie polegać? Dobra, dam ci go, gdy będziesz wychodził, co, mam nadzieję, nastąpi wkrótce. Adres jest przy kluczu. Jesteś gnojkiem, wiesz?

– Wiem. – Roger starał się wyglądać na zawstydzonego. – Ale za późno już na zmiany.

Umilkli do czasu, aż Atkins wyszedł z kuchni. Wręczył Rogerowi szklanę z grubego, ciemnego tworzywa.

– Taki drink znaczy więcej niż jedzenie – powiedział Strode. Potem roześmiał się.

Oddając szklanę, Roger gratulował sobie nagłego przebłysku instynktu, który pozwolił mu ukryć powód wzięcia klucza. Dostrzegł też pewien paradoks: nakłaniając do niewierności względem nich, niechętnie komplikują życie innym, nawet ewentualnym rywalkom. Czy to odkrycie nie było kluczem do zrozumienia kobiet?

Roger nasłuchiwał pod drzwiami mieszkania. Cisza. Spod drzwi nie wydobywało się żadne światło. Wprawdzie mogły być bardzo dobrze dopasowane, ale stan holu i windy raczej na to nie wskazywał. Na stacji Pensylwania zastanawiał się, czy nie wykonać kontrolnego telefonu. Jednak nawet gdyby odłożył słuchawkę natychmiast po usłyszeniu głosu Helene lub Machera, całe przedsięwzięcie straciłoby element zaskoczenia. Poza tym mogli w ogóle nie odbierać telefonów. To drugie spostrzeżenie uspokoiło jego ostatnią wątpliwość wynikającą z tego, że nie poprosił Mollie, by nic nie mówiła Strode'owi. Był przekonany, że stan pożycia małżeńskiego Atkinsów wyklucza taką możliwość, ale nie był pewien, czy Strode – jeżeli nie uda mu się zatelefonować – nie wsiądzie do samochodu i nie pojedzie do Nowego Jorku po to, by zapobiec lub przynajmniej załagodzić jakąś brzydką scenę. Roger wsłuchał się ponownie. Nic. Albo ich nie ma, albo śpią. Przekręcił klucz i wszedł po cichu.

Najpierw poczuł zapach kurzu i sadzy. W świetle padającym z ulicy meble wyglądały, jakby były przygarbione. Poruszał się ostrożnie, ale podłoga pod jego stopami skrzypiała jak rozłaząca się tratwa. Dopóki stary, powyginany miedziany żyrandol nie zapalił się, Roger tkwił przyklejony do ściany. Jeśli ta para tu jest, będzie nalegał na to, by wyjaśnili mu, o co chodzi, zanim wyjdą lub wyłgają się niewiedzą. Tymczasem Roger przeszukiwał mieszkanie. Była tam pojedyncza sypialnia, której nikt nie używał, łazienka, kuchnia, podwójna sypialnia z luksusowym łóżkiem, w którym ostatnio ktoś był. Sądząc po półkach w łazience było to dwoje ludzi. Ale czy właśnie ci?

Roger usiłował sobie przypomnieć, czy Helene nosiła kiedykolwiek kolczyki, bawełnianą koszulkę w paski, niebieską, zamszową spódnicę, które wyraźnie należały do obecnej lokatorki, ale nie potrafił. Zazwyczaj w ogóle nie zwracał na to uwagi, uznając takie spostrzeżenia za typowe dla homoseksualistów. W tej chwili byłyby one jednak bardzo użyteczne. Potarł swój pękaty nos. Nieco kłopotliwe mogłoby być spotkanie z innymi znajomymi Strode'a: zapaśnikiem z Milwaukee i jego żoną, lub nowojorskim radcą stanowym i jego kochanką. Wyszedł z sypialni i rozdrażniony błąkał się po mieszkaniu. Nagle za drzwiami łazienki znalazł coś, co na pewno widział w ubiegłym tygodniu – ozdobę w bladoniebiesko-białe paski. Spojrzał na metkę: *lundqvist modes københavn*. Ta nagła pewność spowodowała zdumiewającą zmianę. Roger odkrył, że brakuje mu tchu.

Co teraz? Za dwadzieścia dwunasta. Pewnie zaraz wróćą. Choć może nie. Tacy ludzie nigdy nie zachowują się tak, jak powinni. Macher i Helene mogą wrócić dopiero za dwadzieścia trzecia. Albo za dwadzieścia piąta. Osobiście Roger był pewien, że mając przed sobą wizję całej nocy spędzonej z Helene, byłby z nią już z powrotem, po zjedzonej kolacji, za dwadzieścia dziewiąta. Albo i za dwadzieścia siódma. Macher zaś był inny. Przekonująca była koncepcja, że Macher chce się przespać z Helene tylko w dosłownym sensie i uśmiełby się, gdyby odkrył, że Roger myślał inaczej. To było przekonujące, ale nieprawdopodobne.

Roger uznał, że wołałby nie przebywać w tym miejscu w obecnym stanie przez dwie czy trzy godziny. Chyba że zmieniliby swój obecny stan. Udał się więc na poszukiwanie alkoholu. Znalazł trochę whisky, którą wypił natychmiast bez spoglądania na butelkę. Potem znalazł troszkę więcej wytrawnego wermutu, który wypił, przelotnie rzuciwszy na niego okiem. Na koniec wziął butelkę, w której została jedna trzecia kalifornijskiego *rose*, które wypił po bardzo dokładnym przestudiowaniu butelki. Spojrzał na zegarek. Była za dziesięć dwunasta.

W czasie poszukiwań natrafił na jedzenie, ale nie obudziło to jego zainteresowania. Czy jadł obiad? W każdej innej sytuacji postawienie sobie takiego pytania mogłoby świadczyć tylko o chorobie umysłowej. Nie jadł. Wrócił do kuchni. Zjadł kawałek chleba, który przypominał suchy karton i wypił szklanekę mleka, smakującego jak ciekły karton. Za siedem dwunasta.

Przyjrzał się drzwiom wejściowym, szukając rygla lub innych urządzeń, które mogłyby przeszkodzić komuś, kto ma klucz, w wejściu do środka. Nie było nic. Upewnił się, że klucz Mollie leży w jego kieszeni i wyszedł. Postął na ulicy przez kilka minut, potem poszedł w kierunku skrzyżowania. Po drodze zatrzymał taksówkę.

- Czy gdzieś w tym mieście grają dziś jazz?
- Chyba tak.
- Proszę mnie tam zawieźć.

Z olbrzymią prędkością został zawieszony na Broadway i wysadzony przed czymś, co w miejscowej gwarze nazywano „namiotem”. Przy wejściu, za szybą siedziały dwie Murzynki, które poinformowały go, że wejście kosztować będzie dolara osiemdziesiąt. Roger próbował wyjaśnić, że chce tylko zobaczyć, czy jego przyjaciele są w środku i nie przyszedł tu słuchać muzyki. Odrzekły, że może robić, co chce, ale musi zapłacić dolara osiemdziesiąt. Roger uznał to za zdzierstwo i powiedział, że i tak wejdzie, a one mogą iść do diabła. Wtedy podeszło do niego dwóch największych i najbardziej muskularnych Murzynów, jakich kiedykolwiek widział. Roger podał szybko dolara osiemdziesiąt i skierował się tam, skąd dochodził dziwny, potworny hałas, który nasilił się i nabrał ciężkiej, dotykanej barwy jak przedłużający się wstrząs.

W sali zgromadzonych było kilkuset ludzi różnych ras. Stali lub siedzieli, jeden obok drugiego. Było ciemno. Roger szybko zrozumiał, że znalezienie tutaj Helene i Machera nie będzie łatwe tak samo jak wykorzystanie boskiego daru wolnej woli. Ale jakiś krok trzeba było zrobić. Zaczął przeciskać się do baru, który znajdował się po lewej stronie. Gdy do niego dotarł, hałas ucichł i rozległy się brawa. Niski Murzyn z piskliwym głosem zaangażował się w długi, nagłośniony monolog, będący wprowadzeniem do tego, co miało za chwilę nastąpić. Roger zamówił trzy duże whisky, zlał je w jedną szklanę, dodał wody i wziął pierwszy duży łyk. Wymizerowany Murzyn w oliwkowym garniturze zapiętym na trzy guziki obserwował go uważnie. Zwrócił swoje okulary przeciwsłoneczne w stronę Rogera (co mógł przez nie widzieć?), uśmiechnął się uprzejmie i rzekł:

– Człowieku, *hula mua na mbuto kunahtra inm bizajahti.*

– Słucham?

Niższy, ale czarniejszy Murzyn po drugiej stronie Rogera odwrócił głowę. Ten miał na sobie węglowoszary garnitur, w którym wyglądał bardzo statecznie, jakby pochodził z wyższej klasy niż kłócąca się grupa białych ludzi przy stoliku obok. Powiedział tonem niechętnego wyjaśnienia:

– *El bebuelele nmobu uo kha kha u rupajadan me mun,* człowieku.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

Nie wywołało to zdumienia lub niechęci. Dwaj Murzyni wymienili ze sobą uwagi przez Rogera i wydawało się w końcu, że ustalili wspólną teorię na jego temat, która w żaden sposób nie zmniejszyła jego samooceny. Obaj grzecznie się uklonili Rogerowi i przenieśli uwagę na scenę.

W przerwach między rozglądaniem się za Macherem i Helene Roger obserwował wydarzenia. Z trudnością przedarł się do łazienki, która była takich rozmiarów, jakich można by się spodziewać na pokładzie ciasnego parowego statku obsługującego jednodniowe wycieczki. Powypisywane hasła informowały, że Zoot był czymś innym, że Ptak żył i że CCNY zjadł go. Po powrocie Roger spostrzegł, że przemawiać zaczął inny Murzyn, owłosiony od jednej kości policzkowej do drugiej. Ale ten był śmieszny. Roger wywnioskował to z reakcji ludzi na to, co mówił. Klaskali i pokrzykiwali entuzjastycznie, gdy zaczął dziękować oraz dodał: Patrzcie, jest tu Daz MacSkibbins Vouts O'Rooney ze swoją trąbką. O'Rooney był Murzynem, miał małą kozią bródkę i okulary przeciwsłoneczne, a jego instrument wyglądał tak, jakby go ktoś kiedyś w przypiływie wściekłości zgiał wpół. Roger wpatrywał się w niego apatycznie, kończąc swojego drinka. Grzecznie odmówiono mu kupienia czegoś na wynos, zaś poszukiwanie jakiegoś sklepu wydawało się zbyt męczące, więc zamówił ponownie trzy-w-jednej na drogę. Jakiś John Calvoutie i trzech innych pochodzenia afro-amerykańskiego weszło na scenę w momencie, gdy Roger porzucił wszystkie swoje plany dotyczące tego miejsca i z trudem przeciskał się do wyjścia. Zrobił to w odpowiedniej chwili, bowiem hałas rozległ się ponownie. W powietrzu zawisł przeraźliwie przedłużony, falujący pisk – czyżby O'Rooney lub Calvoutie?

Była za dziesięć pierwsza. Przypomniało mu się to, co powiedział Ernst. Gdy podjechała taksówka, zwrócił się do kierowcy:

– Chcę posłuchać autentycznego jazzu. Czy mógłby mi pan pomóc go znaleźć?

– No, na przykład w centrum West Coast albo bossa nova, albo M.J.Q., albo coś podobnego u Jimma Ryana. A może wolałby pan Eddiego...

– Interesuje mnie autentyczny jazz. Czy grają tu taki?

– Ach, pan chce posłuchać autentycznego jazzu.

– Proszę mnie zawieźć tam, gdzie go grają.

Tym razem nie był to żaden „namiot” ani nic w tym stylu. Wszyscy artyści i większość gości była biała. Tańczono. Jednak hałas był ten sam. Policjant przy wejściu podał Rogerowi kartkę z napisem: „Życzymy przyjemnej zabawy. Prosimy o właściwe zachowanie się”. Dalej widniała lista tych uczynków, które kończyły się natychmiastowym wyrzuceniem. Roger znalazł mały bar, gdzie pod okiem policjanta zamówił trzy duże whisky. Dostał szklany pojemnik zawierający około litra piwa, za które zapłacił. Na skraju podestu dancinowego rozejrzał się za krzesłem. Zauważył kilka opartych o stół. Podeszedł do nich, postawił i usiadł, ale stojący w pobliżu policjant poinformował go, że ich wcześniejsza pozycja oznaczała, że są zarezerwowane i nie wolno nikomu innemu na nich siedzieć. Po chwili zauważył kilka krzeseł pod ścianą. Obserwowany przez dwóch policjantów usiadł na jednym z nich. Skończywszy piwo, ruszył na poszukiwanie Machera i Helene, mamrocząc coś do siebie. Nigdzie ich nie było. Długa kolejka do baru przeszkodziła mu w kupnie następnego piwa. Podeszedł więc do stolika, przy którym siedziało dwóch małych mężczyzn i dwie małe kobiety i poczęstował się ich piwem. Poruszył ustami i spojrzął na nich wściekle. Żadne z nich nie wykonało żadnego ruchu ani nie wypowiedziało słowa. To, co zrobił, mimo że nie było wspomniane na kartoniku, zakończyło się natychmiastowym wyrzuceniem. Zaangażowało się w to trzech policjantów.

Bezwzględnie zakazali mu ponownego wstępu do lokalu, ale nie użyli wobec niego przemocy.

Z taksówki wszystko wyglądało obco. Kilku typowych obywateli amerykańskich, ubranych w kurtki skórzane, stało zbitych w gromadę na rogu ulicy. Ze znudzeniem obserwowali ubranego na białą mężczyznę, który stał w sklepie i podrzucał w górę coś, co mogłoby być kawałkiem jedzenia. W innych sklepach wystawiono rzeczy, które z pewnością nie były Rogerowi potrzebne, na przykład perskie dywany. Kilka razy wpadły Rogerowi w oko znaki i napisy po włosku. Potem taksówka przejechała wzdłuż długich szeregów bloków z czerwonej cegły – koszar tajnej policji lub departamentów ministerstwa propagandy.

Wysiadł z taksówki na ciemną ulicę. Było pusto, tylko z oddali dobiegło go jakieś porykiwanie. Przysiągłby, że przy głównych schodach zauważył kilka śmietników. Pokrywa każdego z nich była zabezpieczona łańcuchem. Zastanowiło to Rogera. Przecież ich podnoszenie musiało być możliwe, bowiem inaczej nie można by ich opróżniać i – przede wszystkim – napełniać. Roger chwycił się poręczy schodów. Obserwował pokrywy i doznał olśnienia. Łańcuchy doczepiono do nich po to, by ludziom uniemożliwić ich kradzież i sprzedaż na czarnym rynku. Ciekawe po ile szły? Kto i dlaczego przedsięwziął środki ostrożności przeciwko złodziejom pokryw od śmietników, w sytuacji gdy inni ludzie siedzieli przed swoimi kolorowymi telewizorami lub jeździli do Vermont na polowania? Odpowiedź na te pytania postawione samemu sobie nie była dla niego kłopotem. Wiedział to od samego początku.

Uznał, że problemy intelektualne wywołane jazdą windą są gorsze od fizycznych wywołanych wędrówką schodami. Gdzienigdzie widział puste wnęki, które kiedyś być może zawierały wizerunki Najświętszej Panienki. Pod drzwiami mieszkania odbył tę samą ceremonię co wcześniej, z tym samym końcowym rezultatem. W domu nie było nikogo. Wydało mu się to niesprawiedliwe. Trzy butelki, opróżnione przez niego już wcześniej, stały nadal puste. Nie wiedział, co z sobą zrobić. Przechadzając się z pokoju do pokoju po nadpalonej i podziurawionej wykładzinie, niegdyś koloru perłowszarego, zauważył gramofon z nieprawdopodobną liczbą odcisniętych pod wpływem ciepła lub alkoholu kółek. Był tu również fotel bujany z jednym oparciem, sofa (skądkolwiek to wszystko pochodziło, to na pewno nie z „Mirandy”), drewniany, płaski krążek, na którym stało wypchane popiersie psa, jamnika. Na dole, na miedzianej tabliczce napisane było: „Mitzi 1946-1953”. Czy Strode był do tego zwierzęcia przywiązany, czy je po prostu zastrzelił? Prawdopodobnie jedno i drugie.

Następnie Roger zaczął przeglądać półki z książkami. Półki zostały pomalowane tak, by przypominały marmur. Leżało na nich kilkadziesiąt egzemplarzy redakcyjnych i paręset oprawionych książek. Wszystkie były wyraźnie powieściami, w kolorowych, atrakcyjnych okładkach. Popatrzył na nie z lekkim wstrętem. Luźna, wewnętrzna obwoluta zawierała szereg cytatów informujących, że książka poszerza tradycję rozpoczętą przez Jane Austen, kontynuowaną przez Henry Jamesa. Roger osobiście nigdy nie słyszał ani o żadnym autorze, ani o tytule. Ziewnął, poczuł to co zwykle, że nie cierpi dobrej lektury.

Biurko zajęte było w dużej części przez wysłużoną maszynę do pisania, ze śladami papierosów i wyglądało bardziej obiecująco. Leżała na nim świeża korespondencja. Roger zajrzał do jednej z otwartych kopert.

Sam list napisany był na kartce pośpiesznie wyrwanej z bloku. Zielonym atramentem skreślono na niej niedbałym pismem kilka linijek. Bez żadnych wstępów nadawca donosił, że niedawno powrócił do Anglii po kilkuletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych i Ameryce Południowej, chciałby przedstawić w jednostce obraz sił zbrojnych w oczach opinii publicznej powyższych krajów i zamierza we właściwym trybie przygotować wykład na ten temat. Napisze znów w niedalekiej przyszłości; podpisał się jako L. S. Caton.

Reszta listów była jeszcze mniej interesująca.

Roger zabrał się dalej za szuflady w biurku. Żadna z nich nie była zamknięta na klucz. Wszystkie wypełnione były do połowy kartonowymi teczkami z maszynopisami. Wyglądały na o wiele starsze niż korespondencja i książki na półkach pozbawione przeszłości, terażniejszości i przyszłości. Prenatalne cmentarzysko słowa pisanego było widokiem zdrowym i pocieszającym. Sprawiało jednak wrażenie, że Strode Atkins musiał kiedyś wykonywać jakąś pracę.

W głowie Rogera pojawiła się pierwsza od paru minut, w pełni ukształtowana myśl. Nie było nieprawdopodobne, że w jednej z tych szuflad spoczywał *Perne in a Gyre*, wyjątek wśród literackich wypowiedzi tego beztalentia – orędownika rozbrojenia nuklearnego – jego szwagra, który twierdził z przekonaniem, że wszyscy wydawcy brytyjscy sprzyśleli się przeciwko niemu w imperialistycznej i niepotrzebnej konspiracji. Odzyskanie tego maszynopisu mogło wpłynąć na poprawę stosunków z Pamelą.

– Zdołałem położyć na tym rękę. Kosztowało mnie to trochę, ale...

– Ach, Roger, niemożliwe. Jak wspaniale.

Napił się wody i zabrał się do systematycznej rewizji szuflad. Najniższa oparła się otwarciu. Nie miała uchwytów i była wypełniona po brzegi tak, że zawartość zablokowała ją od wewnątrz. Nie była jednak zamknięta na klucz i kilka mocnych szarpnięć w stylu Joego poskutkowało. Mniej więcej pośrodku, między dwiema wymiętymi teczkami Roger natknął się na małą książkę dziwnego formatu owiniętą w marmurkowy papier. Chwycił ją niezgrabnie i spomiędzy stron książki wyleciała prostokątna kartka. Roger z trudem odczytywał odręczne pismo:

<i>Lord H</i>	<i>jedno uderzenie biczem</i>
<i>Wm</i>	<i>dwa uderzenia biczem</i>
<i>Watts</i>	<i>trzy uderzenia biczem</i>
<i>Gabriel</i>	<i>dziesięć uderzeń biczem</i>
<i>Algernon</i>	<i>pięćdziesiąt uderzeń biczem.</i>

W chwilę później Roger upewnił się, że nawet jeżeli notatnik nie jest jednym z arcydzieł Swinburne'a, ani najbardziej dla niego zaszczytnym czy najbardziej obiecująco niechlubnym, to jednak wyszedł spod ręki Swinburne'a. I jako taki domagał się odebrania go Amerykanom. Następne żądania przedstawione zostaną w odpowiednim czasie. Bez pośpiechu włożył wszystko z powrotem do szuflady i zamknął. Notatnik Swinburne'a włożył zaś do specjalnej, wewnętrznej kieszeni swojej marynarki. W tym momencie usłyszał zatrzymującą się pod oknami taksówkę. W ciągu sekundy zgasił światło i zastygł w tej pozycji, z ręką na kontakcie. Drzwi windy trzasnęły.

16

Wrażenie, jakie na nich zrobił, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Gdy zapalił światło, Helene krzyknęła, a jej ciałem dwukrotnie wstrząsnął dreszcz. Nawet Macher osłupiał i parę sekund zajęło mu przywrócenie twarzy normalnego wyglądu. Potem wyszczerzył zęby i rzekł:

– Bardzo mądre posunięcie z pana strony, panie Micheldene. Naturalnie ma pan świetną pamięć. Nie przypuszczałem, że słyszał pan, jak Strode oferował mi swoje mieszkanie.

– Na ogół nie udaję, że nie słyszę – odrzekł Roger najciszej jak mógł. W ciągu ostatnich paru godzin zastanawiał się, co zrobi, gdy ten moment nadejdzie. Teraz wiedział przynajmniej jak zacząć. Nie spieszył się. – Wydaje mi się, że ustaliłem, jaka jest moja rola w pańskim życiu. Na szczęście można ją zdefiniować w kategoriach praktycznego pokazu, zatem nie muszę bawić się w słowa. – Zrobił krok w stronę Machera, ale ten nie ustąpił. Roger ciągnął: – Zobaczymy, jak sobie radzisz, kiedy dochodzi do użycia fizycznej przemocy w obronie kogoś, kogo lubisz lub kochasz.

Macher nie był jeszcze w zasięgu ciosu, gdy do akcji wkroczyła Helene. Jej wąskie usta były jeszcze węższe niż zwykle.

Ustalmy od razu jedną sprawę – rzekła podniesionym, zdecydowanym głosem. – Jeżeli ktoś tu kogoś uderzy lub nawet dotknie, to natychmiast opuszczę to miejsce i z żadnym z was już nigdy nie zamienię słowa. Czy to jasne? Roger, czy to jasne?

Odpowiedź przyszła mu z trudnością. Wyjaśnienie kwestii użycia lub nieużycia przemocy wobec Machera wydawało mu się nadzwyczaj ważne, ale jakkolwiek ostrożnie by tego nie przedstawił, powątpiewał, czy Helene zrozumiałaby go, czyby choć próbowała. Kiwnął głową i zamrugął.

– Nie zamierzałem go naprawdę... skrzywdzić – powiedział. – Użyłbym tylko pięści. Żadnych nóg czy kolan, nic takiego. I nie poniżej pasa, naprawdę. Żadnej brutalności.

– Jeśli tkniesz go palcem, jesteś skończony.

Roger nie wiedział, co powiedzieć. Wydał z siebie szydercze sapnięcie.

– Jak się czujesz – zwrócił się do Machera – gdy twoja ukochana błaga o twoje życie? Prawdziwy mężczyzna nie wytrzymałby...

– Ja czuję się świetnie. Ona jest bardziej przekonująca niż mógłbym to sobie wyobrazić. Nie jestem prawdziwym mężczyzną. Jestem bardzo nieprawdziwy. W tym towarzystwie to ty jesteś prawdziwym mężczyzną.

– Jesteś dzieckiem, a nie mężczyzną! – krzyknął Roger. – Mężczyźni postępują zgodnie z zasadami. A ty tego nie robisz, do cholery. Nie, ty jak chcesz czegoś, to to bierzesz. Nie wiesz, co to znaczy mieć prawo do czegoś. Po prostu wpadasz z łomotem i... Jak, cholera, wszyscy Amerykanie. Gdyby nie było to tak przerażające, można by się z tego śmiać. Ty piegowaty głupcze.

– Czy mogę usiąść? – spytał Macher, siadając ostrożnie na brzegu sofy. – Oczywiście – mówił dalej – zdaję sobie sprawę, że to nie fair wobec ciebie, że nie pozwolono ci mnie uderzyć. Przypuszczam, że ktoś zrobił...

– Naprawdę uważaj się za cholernego, chronionego szczęściarza. Zrobiłbym z ciebie miazgę w dwie minuty. Nawet mniej. Dziesięć sekund. Właściwie to ty już jesteś miazgą. Jedno pacnięcie rozłożyłoby cię. Człogałbyś się i błagał, i upokarzał, bylebym cię tylko nie...

– Tak by na pewno było. Na pewno bym tak zrobił – odrzekł Macher z przekonaniem. – Nie uderzono mnie od czasu, gdy skończyłem dwanaście lat. Nie podobało mi się to wtedy i do tej pory nie zmieniłem poglądów w tej kwestii.

– Jesteś tylko nędznym, wyszczekany, pozującym tchórzem.

– Tchórzem z pewnością. Ale to, czego pan zdaje się nie rozumieć, to fakt, że ze mną jest wszystko w porządku. A to daje mi nad panem ogromną przewagę. Jestem nie tylko tchórzem, ale i kłamcą, złodziejem i cenię sukces zbyt mocno. Nie jestem tak uduchowiony jak pan i mam inne wady, o których nie musimy teraz rozmawiać. Chodzi jednak o to, że o tym wszystkim wiem i nie przeszkadza mi to. Gdyby zaś pan był bystrzejszy, znalazłby pan coś, co mi przeszkadza, i tak starałby się pan mnie rozpracować. Ale robi się już powoli za późno na takie innowacje z pańskiej strony, prawda?

– Macher, zanim pogorszysz sprawę, radziłbym ci poważnie, byś schował swoją dumę i spotkał się ze specjalistą.

– Przepraszam, jeżeli moje zachowanie wskazuje na jakąś neurozę, co jest prawdopodobne, to niech sobie ona będzie. W każdym razie kije i kamienie mogą połamać moje kości, ale zgodziliśmy się je wykluczyć. Słowa zaś nigdy mnie nie zranią. Po prostu nie ma takich słów. To co pan zrobi?

– Co zrobię?

– No właśnie. Co zamierza pan zrobić? Jaka jest pańska polityka na najbliższe godziny, zwłaszcza na najbliższą?

Helene stała w pobliżu, patrząc ze złością na Rogera. Teraz odezwała się:

– Dlaczego po prostu sobie nie pójdiesz, Roger? Nie masz tu nic do roboty. Nie będziesz się bił, a my nie mamy ci nic do powiedzenia. Idź więc do domu.

– Tobie mam mnóstwo do powiedzenia, młoda damo, nie myśl, że jest inaczej i będziesz...

– Boże! – Helene zakryła twarz rękoma. – Nie chcę słuchać. Gdybyś wiedział, jak bardzo nie chcę tego słuchać. Chcę iść do łóżka.

– W to nie wątpię.

Helene gwałtownie osłoniła twarz.

– Won, ty gruby łajdaku. Jak mogłam ci się pozwolić kiedyś dotknąć, nie mogę...

– Nie, Helene – przerwał Macher – nie podoba mi się to. On lubi takie zachowanie. My to robimy inaczej. Pokażę ci.

– Pokazał Rogerowi język i zaśpiewał: – „Nadchodzą Brytyjczycy, nadchodzą Brytyjczycy. Zastrzelić ich, zastrzelić ich. Roger idzie na końcu – je je je je je je je”. – Włożył kciuki do uszu i zamachał rękoma. – „Roger nie umie pisać, Roger nie umie myśleć. Wow wow wow wowow”.

– Ten facet jest... facet jest absolutnie... Jak mogłaś... z takim facetem... Mając takiego świetnego męża jak Ernst potem... z facetem...

– Nie mieszaj do tego Ernsta – rzekła Helene, wydymając wargi.

Na tę replikę myśl Rogera zboczyła z obranego toru.

– Udało ci się o nim zapomnieć, co? Taki fajny człowiek, nie rozumiem, jak mogłaś to zrobić. Odchodzi od zmysłów ze zmartwienia, rozumiesz? Widziałem się z nim wieczorem, rozmawialiśmy długo i biedak był całkiem oszalały ze zmartwienia. Ze zmartwienia. Jak mogłaś...

– Bzdura. Wie, że wrócę. Wszystko tak zorganizowałam, żeby nie musiał...

– Może twoim zdaniem wszystko zostało zorganizowane perfekcyjnie, ale w rzeczywistości jest inaczej. Wtedy, tak dawno temu, kiedy umawiałaś się ze mną na wyjazd, zanim nie zmieniałaś zdania w iście kobiecy sposób i nie uznałaś, że wolisz tego potwornego gówniarza... Co stało się z koncepcją wyjazdu do ciotki w Cincinnati? Artur sądzi, że tam jesteś, ale Ernst nie ma złudzeń.

– Po prostu nie mogłam go okłamać. – Po raz pierwszy Helene straciła trochę poczucie pewności. – Chciałam, ale w końcu nie mogłam się na to zdobyć. Przecież on wie, że wrócę.

W głosie Rogera pojawiła się głęboka, prawie smutna nuta.

– Dlaczego to zrobiłaś, kochanie? Dlaczego musiałaś to zrobić? Dlaczego byłaś na mnie taka zła? – Uspokoił się. – Byłaś na mnie zła, prawda?

– Na pewno byłam. Ale teraz to nie ma znaczenia.

Na chwilę do Rogera powróciły obrazy sobotniej nocy.

– Nie miałaś powodu. Nic się nie stało. Ona mnie tylko ugryzła. O tu, możesz zobaczyć, jak chcesz.

– Nie chcę patrzeć. Właściwie na co? O co chodzi? Irving, wiesz o co chodzi?

Irving zaśmiał się po swojemu, ale ciszej.

– Chyba trochę wiem. Zabawiał się z Suzanne na wyspie, w ubiegłą sobotę, a ona go ugryzła. Wtedy przestał się z nią zdawać. Swoją drogą przykro mi z tego powodu. Częściowo byłem za to odpowiedzialny, ale ugryzienie było pomysłem Suzanne. Zaskoczyło mnie to. Brutalne. Myślałem, że będzie bardziej wyrafinowana. Czasami bywa bardzo niedojrzała. Jest miła, ale chyba zbyt łatwo akceptuje moje pomysły. Nie jest niezależna w osądach. Trzeba dać jej czas.

– Jak na to wpadłeś? – spytała Helene Machera.

– Uznaliśmy z Suzanne, że zabawne byłoby zobaczyć, jak zareagowałby pan Micheldene, gdyby dać mu do zrozumienia, że może pojąć Suzanne. To był chyba mój pomysł. Potem miałem w tym już konkretny interes. Już wiedziałem, że mam pewną szansę zdobycia ciebie, lecz nie wiedziałem jak dużą. Łatwo było dostrzec, że nasz angielski przyjaciel jest bardzo tobą zainteresowany. Chciałem się dowiedzieć, jak wyłączone było to zainteresowanie. Otrzymałem odpowiedź. Nie bardzo.

Helene pokiwała głową ze zmęczeniem.

– To znaczy, że ty nic nie wiedziałaś o tej sprawie z Suzanne? – spytał Roger.

Potrząsnęła głową.

– Skąd?

– Myślałem, że nas widziałaś. Zdawało mi się wtedy, że widzę kogoś ubranego w białą suknię taką jak twoja, kto na nas patrzy.

– Czy naprawdę uważasz, że szpieguję całujące się pary?

– Nie, nie miałem na myśli...

– Twój niepokój okazał się zbyt czuły. Nie miałam wtedy na sobie tej sukni.

– Nie miałaś? Dlaczego więc byłaś na mnie taka zła? Co zrobiłem?

– Zachowywałaś się jak zwykle.

– To znaczy?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Przepraszę państwa – rzekł Macher. – Idę się wykąpać albo wziąć prysznic. Zobaczą, na co będę miał ochotę.

Gdy wyszedł, Helene powiedziała:

– W porządku, Roger. Ponieważ mnie zapytałeś, to ci powiem. Źle zrobiłam, mówiąc ci kiedykolwiek, że gdzieś z tobą wyjadę. Ale byłeś taki miły, jak czasami ci się zdarza, bez silenia się, bez udawania. Nie myślałeś tylko o tym, żeby coś ode mnie dostać. Pomyślałam wtedy, że jeżeli z tobą wyjadę, to może uda mi się przestać myśleć o tobie źle, przynajmniej na jakiś czas, więc...

– Źle o mnie myśleć? Dlaczego źle o mnie myślałaś?

– Kiedy idę z tobą do łóżka, to mniej ci współczuję. Mniej mnie wtedy wkurzasz, nie czuję się za ciebie taka odpowiedzialna. A kiedy stajesz się okropny, mogę mieć cię tylko dość, mogę się na ciebie wściekać, w taki sam sposób jak na kogokolwiek innego. Dzieje się to poza moimi emocjami. Kiedy więc tak koniecznie chciałeś dodzwonić się do Maynarda Parrisha, wtedy gdy mogłeś być ze mną jeszcze przez chwilę, poczułam się rozczarowana, ale nie byłam... wstrząśnięta i...

– Czy tylko z tego powodu poszłaś ze mną do łóżka, ponieważ mi...? Czy nigdy nie było ci dobrze?

– Nie zorientowałbyś się, co? To wszystko dla ciebie. Myślisz o tym i robisz to. Jak większość mężczyzn. Przez pierwszych kilka lat kiedy sypiałam z facetami, myślałam, że to, co dla mnie robią, to jest coś. Jak byłam zadowolona i okazywałam to, było w porządku, było świetnie, mieli dowód na to, że są dobrzy, ale nie wolno mi było okazywać zadowolenia zbyt mocno, bo ich zdaniem nie byłam z nimi po to, by się za dobrze bawić. Potem spotkałam kogoś, kto patrzył na mnie czasami, gdy się ze mną kochał. Nie miał stale zamkniętych oczu, jak inni. Wiedział, że to ja jestem z nim. Od początku do końca. Wysłałam za niego za męża.

Roger zauważył ze zdumieniem, że na półce obok pojawiła się butelka whisky. Musieli ją przynieść Macher i Helene. Otworzył ją i pociągnął dwa potężne łyki.

– Nie lubisz mnie wcale, prawda? – powiedział, kaszląc.

– To nie tak. Ty mnie nie lubisz.

– Helene, ja cię kocham. Kocham i chcę, żebyś została moją żoną.

– Być może, ale mnie nie lubisz. Wiesz, kiedy postanowiłam, że z tobą nie pojedę? Wtedy w nocy, gdy wiozłam cię do tego księdza. Tak wtedy ze mną rozmawiałeś.

– Ale byłem pijany. Nie wiedziałem, co mówię. Co mówiłem? Założę się, że też nie pamiętasz. No, co powiedziałem?

– Nie wiem, nie słuchałam. Robiłam, co mogłam, by nie słuchać tego, co mówisz. Ale nie udało mi się nie słyszeć tonu, jakim do mnie mówiłeś. To był taki ton, jakiego używają ludzie, mówiąc do kogoś, kogo nie lubią. Kiedy sobie to uświadomiłam, poczułam się gorzej niż wtedy, gdy byłeś wredny.

– Jeżeli tak mało dla ciebie znaczę, to dlaczego w ogóle mówiłaś, że odejdiesz ze mną na zawsze?

– Nie masz pojęcia, jak mnie to martwiło. Chyba nie byłam w stanie powiedzieć ci prawdy, prosto w twarz. Było to tchórzostwo z mojej strony. Byłam głupia. Wiedziałam to od razu, gdy ci powiedziałam, że pomyślę o tym. Przepraszam, nie powinnam była wtedy tego mówić.

– To nie ma znaczenia. Raczej nigdy w to nie wierzyłem. Helene intensywnie żuła paznokieć kciuka.

– Roger, pójdiesz już?

– Naprawdę cię kocham. Żałuję, że nie umiem lepiej tego okazać.

– Boże, idź już. Proszę.

Macher wrócił z łazienki, zawinięty w ręcznik, niosąc pod pachą rzeczy. Zachowywał się inaczej. Powiedział ostro do Rogera:

– Dlaczego pan tu jeszcze jest? Co pan najlepszego robi? Helene, dlaczego go nie wyrzuciłaś? Na ogół jestem tolerancyjny, ale teraz powoli moja cierpliwość zaczyna się wyczerpywać. Niech pan stąd idzie. Nikt nie chce tu pana widzieć. Nawet jeżeli nie ma pan dokąd iść, to mimo wszystko niech pan stąd wyjdzie.

– Irving, posłuchaj mnie – odezwała się Helene.

– Tak?

– Nie jesteś tu po to... po to, by mu pokazać, że jesteś lepszy od niego, prawda? Nie przyprowadziłeś mnie tu po to, by go wkurzyć?

Macher uśmiechnął się. Przełożył buty z jednej ręki do drugiej i wolną ręką objął Helene.

– Nie, to nie dlatego jestem tutaj. Myślę, że i tak jestem lepszy od niego. Być może naprawdę tak nie jest, ale ja myślę, że tak. Pogląd, którego broniłbym zawsze w każdej kłótni. Zawsze, ale nie teraz. Wierz mi, nie jestem tu z jego powodu. To przecież ty dlatego tu jesteś. Nie bądźmy tacy szczegółowi. Jasne, że nie jest to twój jedyny powód, i być może nawet nie najważniejszy. Nie wiem. Ale zostawmy to na chwilę. Musimy natychmiast przerwać te stosunki anglo-amerykańskie. – Obejmując stale Helene, zwrócił się do Rogera: – Powiedziałem ci, spadaj. Spadaj.

– Proszę, Roger.

– To tak daleko – powiedział Roger. – Na drugim końcu miasta. A jest już późno.

– Możesz wziąć taksówkę.

– Nie mogę. Poza tym w moim mieszkaniu jest zimno.

– Jeśli tak, to jest ono wyjątkowe na całym obszarze na południe od Maine – stwierdził Macher. – Idź spać w rzeczach.

– Nie mógłbym zostać tutaj, w tym małym pokoju? Przyrzekam, będę schodził wam rano z drogi. Proszę.

– Błagania tu nic nie pomogą. Wynocha!

– Pozwól mu zostać, Irving. Co to za różnica?

Macher spojrział na Helene, na sufit i na Rogera.

– Dobra. Ale pod warunkiem, że zachowasz absolutną ciszę. I bez atakowania nas nowymi argumentami – o piątej rano. Zgoda?

– Tak – rzekł Roger. – Dzięki i... dobranoc.

Układał właśnie swoje spodnie na krześle przy łóżku, gdy wszedł Macher.

– Wraca pan do Anglii za kilka dni, więc lepiej wszystko ustalmy od razu. Nie wiem, czy chce pan wydać *Blinkie Heaven* czy nie, ale jeśli tak, to niech się pan nie trudzi. Strode Atkins chce mi pomóc zrobić na tym lepszy interes i ja mu ufam. Druga sprawa. Panu często wydaje się, że ludzie w tym kraju pana nie lubią, bo jest pan Brytyjczykiem. To nie tak. Epoka angielskich żołnierzy skończyła się, nawet jeśli nie dla pana. My nie myślimy już w ten sposób. Nie chodzi o pańską narodowość. My po prostu pana nie lubimy.

– Pożegnam się już, Roger – powiedział Ernst. – Przyjemnej podróży i nie szarżuj tak na wolnołowy alkohol, bo będziesz potrzebował następnej podróży, by wrócić do normalnego stanu. Jak to długo potrwa? Sześć dni?

– Pięć – odrzekł Roger. – Dziękuję, że przyszedłeś, Ernst, zwłaszcza z twoją nogą. Jak się czujesz?

– Jest już o wiele lepiej. Gips zdjęty. Trochę pobolewa, jeśli za długo na niej stoję. – Zwrócił się do Helene: – Poczekam na ciebie przy przejściu, kochanie. Do zobaczenia, Roger. Uważaj na siebie.

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce i Ernst, opierając się na swojej kuli, pokuśtykał po pokładzie statku między krzyczącymi i płaczącymi dziećmi. Dzieci stanowiły tym razem większą część pasażerów, co zdarzało się rzadko. Helene zwróciła się do Rogera:

– Derlangerowie już chyba nie dojadą.

– Joe powiedział mi przez telefon, że mogą nie zdążyć. Jest bardzo zajęty w tym tygodniu.

– Jak on się ma? Nie widziałam go od czasu...

– Od przyjęcia. Głos miał wesoły. Jeżeli chodzi o samochód, złości go tylko to, że nie pamięta, dlaczego to zrobił. Ma zamiar odtworzyć przebieg zajścia, używając starego wraka ze złomowiska, za pięć dolarów. Chce zobaczyć, jakie myśli przyjdą mu do głowy.

Helene roześmiała się, Roger zawtórował.

Jest najbardziej nieskomplikowanym, pokręconym człowiekiem, jakiego spotkałam – rzekła Helene. – Chyba już pójdę, Roger. Nie chcę, żeby Ernst stał tam zbyt długo.

– Nie ma zbyt wiele do dodania, prawda? Poza tym, że przepraszam za wszystko.

– Ja też. Zapomnijmy o tym.

– Trzeba. A jak Ernst cię przyjął?

– Nie stosuje żadnych sankcji wobec mnie. Za kilka tygodni będzie już dobrze.

– Jestem ci wdzięczny, że nie powiedziałaś mi o mojej obecności w tamtym mieszkaniu.

– To by nie pomogło.

– Prawda. Możemy się zobaczyć kiedyś, gdy będziesz po drugiej stronie oceanu?

– Tak szybko nie będę. Ernst dostał propozycję dwuletniego kontraktu w bardzo dobrym instytucie językoznawstwa, na uniwersytecie w Chicago. To może skończyć się nawet stałym zatrudnieniem. Chce to wziąć i jeśli nam się spodoba, to spróbujemy tam osiąść na stałe. Zatem nie wygląda na to, żebyśmy mieli się jeszcze widywać w przyszłości. I jeszcze jedno. Jeżeli zostaniemy tu jeszcze rok, nie będzie wątpliwości, jakiej narodowości będzie dziecko. Ach, nie mówiłam ci, naprawdę? Wiem, że stało się to w Kopenhadze, ale nie byłam pewna jeszcze kilka dni temu. Artur ucieszy się z towarzyszką. Mam nadzieję, że będzie to dziewczynka. – Popatrzyła na niego, ale on milczał. – Gdyby tamtej nocy ktoś mi powiedział, że będzie mi przykro, że wyjeżdżasz, uznałabym go za szaleńca. Ale teraz jest mi przykro. Do widzenia, Roger.

Pocałowała go w policzek i odeszła. W chwilę później zobaczył ją i Ernsta idących przejściem. Ernst mówił coś do niej z ożywieniem. Ona odwróciła kilka razy głowę w jego stronę, by mu odpowiedzieć. Weszli do budynku i zniknęli z pola widzenia.

Roger zszedł na dół. Statek był pełen pasażerów i gaśnic.

Trzech małych, brodatych mężczyzn wyszło z Pergaminowego Pokoju. Dlaczego nie było Biblijnego Pokoju? Człowiek w mundurze, który wyglądał jakby przez ostatnią godzinę smarowano go ciepłym sosem, zbliżył się z papierami w ręku.

– Dzień dobry, Purser – przywitał go Roger.

– Dzień dobry, dzień dobry panu, panie Micheldene. Miło pana znów zobaczyć na pokładzie.

Ten Purser był strasznym człowiekiem. Roger zobaczył go podczas jednej z wcześniejszych podróży prowadzącego bingo w salonie statku. Rogerowi zrobiło się go żal, potem zrozumiał, że Purser to uwielbia. Dobrze było być znowu między swoimi.

W swojej kabinie Roger rozpakował się. Umył się i zadzwonił po stewarda. Zamówił dużą whisky i dał mu na osłode pięć dolarów. Czekaając na jego powrót, przerzucił pospiesznie notatnik Swinburne'a, a potem zamknął go w szufladzie. On też wracał tam, skąd pochodził albo mniej więcej w to miejsce. Roger nie był jeszcze pewien, gdzie notatnik ostatecznie zakończy swoją podróż. Miał tylko przeczucie, że tam, gdzie dobrze płacą.

Hałasy i wibracje uświadomiły mu, że statek ruszył. Wyrzał przez okno i zobaczył przesuwające się nabrzeże. Chciało mu się płakać i z oczu popłynęły mu łzy. Nie było to typowe dla trzeźwego Rogera. Próbował ustalić, dlaczego to robi. Oczywiście miało to wiele wspólnego z Helene. Ale gdy żegnał się z nią i z wieloma innymi dziewczynami w przeszłości, do głowy mu nie przyszło, że może tak zareagować. Co takiego szczególnego było tym razem?

Ogarniająca go wściekłość z powodu braku whisky spowodowała, że zapomniał o łzach. Otarł oczy zieloną chustką i wziął szczyptę Otterburna ze swojej tabakierki z rogu antylopy. Napychanie sobie nosa Macoubą tamtej nocy na wyspie okazało się skuteczną terapią: podwójnej wielkości nozdrze zmniejszyło się do dwóch małych dziurek, znajdujących się poza zasięgiem paznokcia. Jeszcze jedna szczypta i zacznie czuć się dobrze. Za chwilę będzie gotów wyjść na pokład i obejrzeć pasażerki. W duchu nie był tak rozentuzjasmowany obrotem spraw, ale postanowił to zignorować. Lepiej być gnojkiem niż cholernym głupcem, powiedział sobie.

Ktoś zapukał do drzwi. Przetarł jeszcze raz oczy chustką i odwrócił się plecami, gdy otworzyły się drzwi. Jakiś głos rzekł:

– Naprawdę. Na Boga, to on. Co o tym sądzisz?

Roger pozwolił Strode'owi Atkinsowi uściskać swoją dłoń, ale bez słów. Przez jakiś czas zresztą Atkins ich nie wymagał.

– Zdawało mi się, że widzę, jak wchodzisz na pokład, ale nie mogłem dostać się do ciebie. Potem podałem złe nazwisko, ale Purser, złoty chłopak, pomógł mi. Ach te podróże statkiem, płynę co roku, wloką się potwornie, ale jeśli się ma odpowiednie towarzystwo, mogą być całkiem, całkiem. Można kogoś poznać. Taki styl życia jak nasz, Mitch, to rzadkość, co? Wejść – powiedział, gdy rozległo się pukanie do drzwi. – Proszę postawić tutaj i przynieść jeszcze jeden dla mnie. Jak najszybciej – nakazał stewardowi i zwrócił się ponownie do Rogera: – Wiesz, ta podróż dobrze mi robi, czuję to. Tak romantycznie, jeśli to nie brzmi głupio. Powrót do kraju moich przodków, rozumiesz? Wiesz, że z pochodzenia jestem Anglikiem, prawda? Tak, moi przodkowie byli Anglikami. Przybyli do Zachodniej Wirginii w 1811 roku. Powiesz pewnie, że niezły moment sobie wybrali i rozumiem twój punkt widzenia, ale... Do diabła, po co gadać o tym teraz? Mamy mnóstwo czasu.